

MAREK NOWAKOWSKI

KARNAWAŁ I POST

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1988

KARNAWAŁ I POST

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 444

ISSN 0406-0397
ISBN 2-7168-0112-6

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

MAREK NOWAKOWSKI

KARNAWAŁ I POST

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1988

TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECIE « KULTURY »

Raport o stanie wojennym I, 1982 (wyczerpane)

Raport o stanie wojennym II, 1983 (wyczerpane)

Notatki z codzienności, 1983 (wyczerpane)

Dwa dni z Aniołem, 1984

„Grisza, ja тебе скажу...”, 1986.

MOI PISARZE

KARNAWAŁ I POST

Słowa jak dopasowane kamienie. Tworzą spoistą całość. Nie potrzeba zaprawy. Oto dobra proza. Zaprawa jest wypełnieniem pustych miejsc. Puste miejsca w prozie są wyrazem mielizn. Słowa i zdania, które idą nie wzdłuż, ale w głąb. Słowa takie drążą jak świder. Odkrywają warstwę po warstwie. Powodują bogactwo wieloznaczności. Nie tamują wyobraźni. To cecha szczególnie dobrej prozy. Takie spostrzeżenie zanotował na marginesie twórczości Iwana Bunina i Katherine Mansfield Andrzej Bobkowski w „Szkicach piórkiem”, wydanych w 1957. Bardzo trafne.

Niegdyś polowałem na słowa — błyszczące kamyki w szarym piachu, osobliwe, dosadne i zwariowane. Stop barwnych powiedzonek ludu (choćby to, co Benek Kwiciarz powiedział milicjantowi, który nagle zatrzymał go na ulicy i chciał wpakować do radiowozu: „Co pan mi tu będziesz łobuzerkę w mundurze zakładał!”), w symbiozie z wynaturzoną nowomową gazet i przemówień działaczy partyjnych, żargonami technokratów, kryminalistów itp. Ten zabieg językotwórczy zastosowany dla opisu zdeformowanej rzeczywistości, pełnej pustych pojęć, zdławionej w gorszej propagandowego fałszu, wydawał mi się idealną formułą dla moich usiłowań pisarskich.

Dziś myślę inaczej. Suchy, wypreparowany styl, pozbawiony ozdób i barwy, przypominający naukowe, specjalistyczne rozprawy czy raporty, nie pozbawiony jednak humoru i ironii, inkrustowany z rzadka jakimś słowem jak rodzynkiem — oto forma, która pociąga mnie coraz bardziej. Dlaczego? Pewne zjawiska tak są złowrogie i obce człowiekowi, tak odpychające i ponure, iż z tego właśnie powodu pióropusz pawich piór wydawać się może fałszem lub niewczesnym żartem jakiegoś wartogłowa. Po prostu w ze-

tknięciu się z rzeczywistością tęcze pióra szarzeją, nawet spalają się na popiół. A jeżeli już pozostaną, będą jedynie teatralną dekoracją, makietą, pozorem. Nie mogę już, jak dawniej, bawić się i rozkoszować soczystością ludzkich postaci, efektownym dynamizmem zdarzeń, barwą i zapachem przyrody, pięknem życia. Ta rzeczywistość zbyt często jawi się cmentarnie. „Ku Słońcu” nazywa się w pewnym polskim mieście droga prowadząca do cmentarza.

Patrzę więc na opisywaczy igrających z rzeczywistością niby z bajką, obdarzających ją pełnią bogactwa kolorystycznej palety, trochę jak na jarmarcznych oszustów, co to upajając się swym kunsztem plewę podają jako ziarno.

Tak myślę. Ale to żaden dogmat. Tylko pewien punkt widzenia. Wynik własnych doświadczeń.



Proza zwyczajna, zgrzebna, unikająca nadmiernego dramatyzmu na powierzchni, operująca pospolitymi, codziennymi zdarzeniami, zajmująca się banalnymi, szarymi ludźmi. Brak w niej zdarzeń fascynujących i nieoczekiwanych, wymyślnej dramaturgii i zaskakujących point. A mimo to pod taką ubogą powierzchnią kłębi się i gotuje lawa. Za chwilę wybuchnie, rozleje się po niej skorupie, zdeformuje wszystko. Zostawi trwały ślad w wyobraźni czytającego. To kunszt czarodziejski. W tym fachu nie lada majstrem był Antoni Czechow. Jego opowiadania o urzędnikach, oficerach, posiadaczach ziemskich i chytrych kupcach, cała galeria średniego lub niziutkiego formatu. Tajemnica tych pisarskich osiągnięć. I sam Czechow żył tak zwyczajnie, żeby nie powiedzieć — banalnie. Na początku płatny od sztuki humorysta, tyle gazet obsługiwał swym pracowitym piórem, nie stronił od żadnego zamówienia. Przez lata całe w opinii wysublimowanych krytyków humorysta właśnie. A jego życie osobiste aż do nudy przykładne, dbały o rodzinę, pomagał jej z całym poczuciem familijnego obowiązku. I ta późna miłość. Taka jakaś, bez ognia, spokojna, zrezygnowana. Jego żona, Olga Knipper, sławna aktorka, ciągle na występach, fetowana przez wielbicieli, często nieobecna w domu. On zaś najchętniej w swoim gabinecie, pisał i pisał; szare, skromne historie o szarych ludziach. Tyle o nich wiedział! Jak mało znaczy własny życiorys, bogactwo zewnętrznych doświadczeń, przygody, podróże. Wystarczyło w tym gabinecie co dzień i co dzień...



Odmienne Izaak Babel. Choć dużo podobieństw. Też cichy zapewne i skromny człowiek. W morzu rosyjskiego antysemityzmu, wybuchającego pogromami,znaczony piętnem żydostwa. „Czworooki”, jak nazywali go ze względu na okulary Kozacy, krewcy junacy ze stanic nad Donem i Kubaniem. Chciał być może ten kompleks nieśmiałego odmienca utopić w krwawym huraganie rewolucji. Przeistoczyć się w innego człowieka. To już z jego prozy odczytać dosyć łatwo. W zadziwiający sposób fascynowali go ci dzicy, czerwoni kozacy, ludzie zdolni do niebywałego okrucieństwa i bohaterstwa zarazem, równocześnie z tą swoją niesłychaną miłością do koni, obojętni wobec śmierci, ze śmiercią za pan brat, na ogół zwierzęta, chwilami wylewni i czuli. Jak ten Babel trzymał się na koniu? Przecież był z nimi. Pracował w dywizyjnym piśmieku *Krasnyj Kawalerist*. Może jeździł na taczance lub wierzchem na starym, leniwym wałachu? Te kozackie biwaki i Babel — zakompleksiony, marzycielski wychowanek Talmudu z Odessy, tej Marsylii Czarnego Morza. Oni złopią gorzałę kwartami, i jego zmuszają do picia. Często słyszę, jak powiadają z nieustępliwą, groźną życzliwością: „No, ciągnij, Czworooki!”.

Myślę o Bablu nie tylko z tego powodu. Myślę o tajemnicy jego prozy, skąpej ilościowo spuścizny tak odmiennej od nowelistyki Czechowa. Babel to moja zadawniona, wieloletnia sprawa. Od pierwszej lektury, poprzez wielokrotne powroty do „Opowiadań odeskich” i „Konnej Armii”. Miał przekazaną przez przodków, setki lat żywą tradycję głębokiej nieufności do ludzkiego żywiołu, w którym przebywali, rzucani prześladowaniami i anatemami to tu, to tam, Żydzi — wieczni tułacze. Jednocześnie jego świat był ciasno zamknięty w surowych okowach Talmudu. Przenikający dreszczem śpiew kantora, cierpliwe oczekiwanie na Mesjasza. Pokora i tradycyjny obszar getta. Może tak szeroko otwarta na świat portowa Odessa rozsadziła te okowy? Także to coś, co czyni człowieka artystą, co chyba kiełkuje już od narodzin, kazało mu szukać dla siebie miejsca gdzie indziej. Nieobce musiały mu być legendy i przypowieści chasydów, mistycznego ruchu żydowskiej biedoty, który narodził się na pobliskiej Ukrainie. Na pewno słyszał i czytał o Baalszementowie, Berze z Międzyrzecza czy rabbim Gerszonie z Kut, który wypuszczał na targu ptaszki z klatek, nie mogąc znieść widoku ich niewoli. Może te baśnie i legendy rozpały wyobraźnię i kazały mu szukać sensu życia na swój odmienny od tradycyjnego sposób. Jedni szukali tego w wędrówce do Erec Israel, inni w najszcześniejszej ze szczęśliwych przyszłości — tej wizji podanej jako objawienie przez Marksa i budowanej przez Lenina. I pogrążył się z całą żarli-

wością nomady z afrykańskich pustyń w burzę historii, pełną krwi, okrucieństwa, chaosu i zniszczenia. Czy to nie budziło przerażenia w jego wrażliwej duszy? Ale przecież pogromy przeżywał już od dziecka. Ten pamiętny opis pogromu w Odessie. Śmierć dziadka. Straszna, prymitywna dzicz dewastująca żydowskie domostwa. Może obraz pogromu zachowany w pamięci dziecka był straszniejszy od tego, co zdarzyło mu się widzieć później. Ponadto późniejsze hekatomby krwi płynęły w imię szlachetnej sprawy, stanowiły zapowiedź lepszych czasów, czasów, których nigdy dotąd nie było. Czy podążam właściwym tropem? A zarazem aprobując i apoteozując to Nowe (to „żółte”, jak nazywał nadchodzące czasy pesymistyczny wizjoner Aleksander Błok, pisząc w swoim dzienniku mniej więcej tak: „nowe zwyciężyło, znowu wesz zapanowała nad światem”), aprobując przyszłość tak krwawo i boleśnie wschodzącą nad ziemią carów — jako pisarz stawał się jednak dwoisty. Opisy działań Konnej Armii nie zapowiadają dobrej przyszłości. Te kłębiące się namietności, prymitywizm i okrucieństwo biednych-pokrzywdzonych, okraszone wzniosłymi hasłami rewolucji, okrucieństwo przybrane w szaty sprawiedliwości społecznej, brat zabija brata, ojciec syna, trybunał skazuje na śmierć domniemanych winowajców z szybkością szatkownicy; więc uczciwość pisarska (ta siła głębsza, mocniejsza od przyjętych przekonań) kazała mu wszystko widzieć i sprawiedliwie rejestrować. A może to jeszcze coś więcej? Wielkość pisarza starającego się uchwycić w huraganie historii, w tym społecznym trzęsieniu ziemi straszliwość ludzkiej egzystencji, jej cierpienia bez względu na ideały i szczytne hasła, którymi ozdabia swe sztandary ludzkość, podrywająca się do coraz to krwawszych zmagania, bratobójczych rzezi i szaleństwa niszczenia z pobudek nigdy do końca nie wyjaśnionych.

Ten Babel jak gwóźdź w mojej głowie.

Przypomina mi się swoista specjalność więzienna: bywają kryminaliści zaciekli, którzy z nader znikomych pobudek (choćby luksus pobytu w szpitalu) wbijają sobie gwóźdź u nasady nosa i to tak umiejętnie, że nie uszkadzają sobie mózgu, choć liczą się z tą możliwością. Artystyczna gra z życiem.

Może też jedną z przyczyn entuzjazmu Babla do rewolucji była jego niewydarzona kompleksja fizyczna: mały, pękaty, kaczonosy, jak widać z fotografii, mól książkowy i niezgula. Tacy częstokroć ciągną do ludzi krzepkich i prymitywnych. W cieniu ich dzikiej siły doznają swoistej rozkoszy, lżeni i wyszydzani przez dzicz przyjmują obelgi z franciszkańską pokorą. Bo przecież wśród tych Dońców i Kubańców traktowany był zapewne swoiś-

cie. Z jakiegoś opowiadania przypominam sobie, jak dawali głośno dowody swojej pogardy dla narratora — pierdząc głośno, co najmniej jak z kulomiotów. A zarazem w autorze, tym neoficie bolszewizmu, chwilami budzi się sceptyczne, żydowskie widzenie ludzi i życia, jak choćby w opowieści Gedalego. Mistyczny lament pobrzmiewa w opisie zdewastowanych przez zaciekle boje Brodów, małego starego miasteczka na wschodnich rubieżach dawnej c.k. monarchii, lub w nostalgicznych opisach kirkutów, bóżnic. Wtedy jakby się oddalał od swoich kozackich zagonów, stawał na uboczu jak lamentujący pielgrzym na pogorzelsku i odmawiał prastary, rytualny kadysz. Lecz już w następnym z tego cyklu opowiadaniu gwałtowne, kontrastowe przejście. Opis odważnego do szaleństwa kombryga czy jakiegoś tam innego Kozaka, na co dzień tańczącego trepaka ze śmiercią. Fascynowała go także, co najmniej godna zapamiętania w owym czasie, kiedy życie ludzkie nic nie znaczyło, miłość tych dzikich jeźdźców do koni. Koń był stworzeniem naprawdę boskim! Ktoś ochwacił wspinałego wierzchowca. Kara, jaka spadnie na niego za ten czyn, jest tak samo okrutna, jak kara dla schwytanego przeciwnika z tamtej, kontrrewolucyjnej strony. Jako inteligenta, lud pociągał go magnetycznie. Prosty, siermiężny lud, co ujął ster dziejów w swoje ręce. Brodaci muzycy, stanicznicy niby stepowe sokoły drapieżni i bezwzględni, zbuntowani żołnierze w burych szynelach strzelający do swoich oficerów jak do kozic, marynarze-anarchiści w pasiastych koszulkach, obwieszeni złotem i odurzeni alkoholem. Te pyzate, szczere twarze o jasnych, konopnych włosach, oczy rzewne, niebieskie i serca skłonne do nieprzewidywanych przeciwności. Lud, z którym przedtem tak mało miał związków, wychowany w specyficznym klimacie Odessy. Żeby ten konglomerat sprzeczności był jeszcze pełniejszy, należy powiedzieć o jego kulcie dla francuszczyzny. Język francuski był językiem elity, mody, dobrego tonu. Odessa była Marsylią Rosji. Od tego zapewne zaczęły się jego pierwsze tęsknoty, marzenia. Ale nie tylko. Izaak Babel jest mistrzem krótkiej prozy. We Francji miał wspinałego antenata — Guy de Maupassanta. Wczesne lektury, olśnienia nowelami wielkiego Francuza. To samo okrucieństwo i cierpienie życia, tylko w innych wymiarach i na innym tle, opisywane przez pisarza z dalekiej Francji. W tym musi tkwić jeden z elementów jego skomplikowanego rodowodu. Niewydarzony przy tym. Nie tylko fizycznie. W jego rodzinnym mieście była wylęgarnia cudownych dzieci, wunderkindów. Wszyscy wspinali — Jasza Hajfec, Izaak Stern i inni — pochodzą właśnie stamtąd. Małe pulchne dzieciaki w aksamitnych ubrankach z białymi kołnierzykami, prowadzone przez rodziców do renomowa-

ných szkół muzycznych. On, biedaczek, nie miał słuchu ni talentu muzycznego. Więc może kupcem mógłby zostać? Te fortuny kupców zbożowych, wielkich hurtowników, armatorów, giełdźdźarzy! Biedna rodzina Babła żyła w cieniu tego legendarnego bogactwa. Niestety, do kupiectwa też się nie nadawał. Pozostawała jeszcze jedna szansa. Zostać uczonym w Piśmie. Jednak do religijnych studiów nie przykładał się zbyt pilnie. Może tylko działał na chłopięcą wyobraźnię tajemniczy nastrój synagogi, bima skąd słychać zawodzący głos rabina, misternie rzeźbiony Aron Hokadesz, gdzie spoczywają zwoje Tory. Miszna, Gemara, te wszystkie Hagady i Halachy, midrasze i wywody uczonych gaonów były dla niego uciążliwą, nudną lekturą. A rówieśnicy, chłopcy z ulicy, podwórkowych zabaw, wytykali go jako obcego, naznaczonego piętnem odmienności; śmiechy, kpiny, szyderstwa. Najchętniej samotnie uciekał do portu — oglądać statki z dalekiego świata, patrzeć w morze. Z takim bagażem ruszył w rewolucję. Tam chociaż nie wytykano go jako obcego z powodu imienia, wyglądu, rasy. Poczł się potrzebny. Wtopił się w zrewoltowany tłum. Dostał się do samej awangardy, do słynnej Konnej Armii pod wodzą eks-wachmistrza carskiego kozackiego wojska, Siemiona Budionnego. Uznał to za błogosławieństwo. I chciał być bardzo gorliwy. Zapraęął zasłużyć na łaskawe przyjęcie.

Jego proza. Niewielka w ilości zapisanych stronice, jakże jednak nabita, skondensowana! Sam powiedział kiedyś, że pod względem szczupłości dorobku jest chyba pierwszy na liście pisarzy. I tu tkwi dla mnie tajemnicza siła słowa. Często jednostronnicowe, kilkustronicowe opowiadania Babła rozciągają się w mojej recepcji i pamięci w długie, bogate w wydarzenia i refleksje utwory. Choćby tekst objętości półtorej może stronicy o kozaku Pryszczepie. Zawarty jest tam los człowieka czasu wojny i rewolucji. Konstrukcja niezwykle prosta: razem podróżują. Pryszczepa opowiada swoje dzieje. Nie jest to zwykła opowieść. Składa się z supłów, węzłów dramatycznych, takich jak wymordowanie rodziny Kozaka przez białych, odwet, który wziął za to itp. Między tymi węzłami powstają przestrzenie pozornie puste, lecz tam, właśnie między węzłami losów Pryszczepy, odbywa się promieniowanie, powstają swoiste pola magnetyczne, miejsca te wypełnione są tym niewypowiedzianym głosem, lecz zawartym w zdaniach poprzedzających i następnych. Te pulsujące życiem przestrzenie między słowami! Późornie wydawać się może, że pisarz nie powiedział wszystkiego, zapomniął, nie dał rady z oporną materią rzeczywistości. Tymczasem szczelnie wypełnił te miejsca słowem niewidocznym a tak intensywnym. Niezapomniany epizod, kiedy Kozak odbiera z zagród stanicz zrabowane rodzicom

przedmioty, drogę zemsty znaczy krwawym śladem, a potem całe to odebrane mienie podpala, w tajni rzy zapomniany byczek, Kozak rzuca w płomień kosmyk swoich włosów, wsiada na konia i odjeżdża. Ten epizod w kilku zaledwie zdaniach osiąga wymiar wielkiej sztuki. Genialną właściwością Babla jest jego kunszt słowa, uroda, niebywała wyjątkowość tych słów, zdań, brzmiających jak poemat; mimo to nie rozbijają one toku narracji, piękno nie jest tu przysłowiowym kwiatkiem na kożuchu, wręcz przeciwnie, podnosi tę prozę wysoko, dodaje jej skrzydeł. Ta proza będąc ziemią-realizmem staje się równocześnie niebem-poezją. W realistycznym opisie teatru wojny dwudziestego roku, w zgiełku, rzeziach i pożarach — kusztowne metafory, wymyślna rytmika zdań, dbałość o szczegóły, jeden szczegół, co potrafi oświetlić całe zjawisko, opisy przyrody, bitewnego tumultu; cała delikatna tkanina o pięknych deseniach wzmacnia jedynie sugestywność jego prozy będącej zarazem artystycznym dokumentem historii.

Jest w niej coś z Chagalla, tego czarodzieja malarstwa, rodem z Witebska, gdzie cerkwie, bóżnice, święci i zwierzęta tańczą ponad ziemią jak w bajce czy we śnie, choć ziemia na malowidłach twarda, prawdziwa. Chagall i Babel. Rdzenna więź tych sztuk. Łączył ich świat fantazji, legend i opowieści, tysiące lat diaspory, wielkości i małości, ludowego humoru, Tewje Mlecza-rza i mrocznych przypowieści Księgi Zohar. Sięgnęli do tych bogactw i stopiwszy je w doświadczeniu swego czasu, uczynili z nich narzędzia do opisu ludzkiego bytu. Istoty tego bytu. Stworzyli sztukę uniwersalną. Nie należy też zapominać o skracających się dowiecipem, drwiną, poezją i łotrzykowską balladowością przepięknych „Opowiadaniach odeskich”, o Beni Krzyku, którego pierwowzorem był ponoć legendarny Misza Japończyk, przywódca przestępczej szajki z Mołdawanki, zakazanej dzielnicy Odessy.

Widzę w Bablu jeszcze coś z jubilerza czy szlifierza diamentów z Amsterdamu, wybitnego przedstawiciela tej gildii rzemieślników i filozofów zarazem, do której należeli Baruch Spinoza i Uriel da Costa. Ta praca nad mikroświatem opowiadania, szlify, mozolna obróbka drogocennego kamienia, dająca w końcowym rezultacie odbicie całego świata.

A jednocześnie wciąż towarzyszy moim rozważaniom motyw służby dla rewolucji, służby twardej i niewdzięcznej, wymagającej od niego wielu bolesnych wyrzeczeń w pracy nad swoją sztuką. Sztuka ta w odmęcie historycznych wydarzeń mogła się nie-rzadko zdawać niepotrzebnym bibelotem, zgodnie z tym nihilistycznym powiedzeniem: „Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy”. Mimo to kroczył uparcie raz obraną drogą. Wrócił z Francji.

Tam pozostała jego żona i dziecko. W wyniku tej podróży powstał niewielki cykl opowiadań tematycznie związanych z wojażem, jednak już nie tak celny, mniej tam miniaturowych arcydzieł. Jeszcze później próbował pisać opowiadania opiewające ważne wydarzenia w kraju zwycięskiej rewolucji. Te późniejsze opowiadania pamiętam już bardzo mgliście. Mało co mogę o nich powiedzieć. Pióro musiał mieć oporne; zgrzytając utykało na papierze, powstawały kleksy, dużo kleksów.

Zawsze więc myśląc „Babel”, widzę Kozaków z Konnej Armii Budionnego, „mesje” Tartakowskiego, buchającego nieposkromioną żywotnością starego Mendla Krzyka, brawurowych przestępców z Mołdawanki, dziadka narratora, pogrążonego w studiowaniu świętych ksiąg; słyszę też pełne humoru powiedzenia, dialogi; wszystko staje się wirujące, niezwykle kolorowe jak czarodziejski dywan, stapiając na sposób alchemików nadrealność, fantazję, poezję z czarnoziemną, żyzną w pszenice i krew ziemią nad Donem i Kubaniem.

I najchętniej nad skąpym, dwutomowym dorobkiem Izaaka Babla powiesiłbym na ścianie niewielki obraz Chagalla.

Ludzie stąpający podkutymi buciskami ciężko po ziemi niechętni musieli patrzeć na Babla. Wśród nich byli też jego koledzy po piórze. Najbardziej jednak oburzał wojskowych. Legendarny dowódca Konnej Armii, Siemion Budionny, zaprotestował gwałtownie po ukazaniu się książkowego wydania „Konnej Armii”. Uznał, że książka obraża dobre imię sowieckiego konnego wojska i tylko wpływowy Maksym Gorki potrafił zneutralizować gniew kozackiego dowódcy. Pamiętam jeszcze z przedwojennego polskiego czasopisma *Bellona*, poświęconego wojskowości, recenzję z książki Babla o czerwonej konnicy. Tam również nie szczędzono mu potępień, przedstawiając go jako apologetę okrucieństw czerwonej barbarii, autora literacko miernego, przepojonego nieważnością do „pańskiej Polski”. Rzeczą pisał również wojskowy, tylko z przeciwnej strony. Izaak Babel odstawał. Nie mieścił się. Koniec miał smutny. Pisał coraz mniej. Oczy zza okularów patrzyły wyrozumiale i bezradnie. Aż przyszła ta noc. Tak o tym mówi Jan Himilbsbach, warszawski wagabunda, aktor, pisarz i gawędziarz: — Przyszli po niego nocą. Zapukali. Otworzył. Zapytali „Panie Babel, będzie pan pisał dalej czy nie?”. „Będę”, odpowiedział. No to go zabrali. Z tej podróży już nie wrócił.

Trawestując powiedzenie jednego z bohaterów „Opowiadań odeskich” można powiedzieć: „Babel napisał mało, ale smacznie”.



Wracam do surowej, protokolarnej prozy wyzbytej soczystości, w swoisty sposób wyciśniętej przez prasę, która pozostawia samą tylko esencję; prozy, która ostatnio zaprzęta moje myśli, a nawet wodzi moim piórem po papierze. Zawiera ona w sobie piętno czasów ciężkich, jałowych, wisi nad nią niski pułap chmurnego nieba, a jej przestrzeń otoczona jest wysokim murem.

Mimo całego tragizmu i bolesnych przeżyć w czasie tych epokowych wydarzeń, Izaak Babel posiadał w sobie ogień entuzjazmu. Entuzjazm ten pozwalał mu niekiedy spowijać dymną zasłoną, woalem złudzeń wydarzenia krwawe i ponure, przeczące jego szlachetnemu zapałowi neofity. Mógł więc oddzieliwszy się ową zasłoną złudzeń nie widzieć tego, czego nie chciał widzieć, i zajmować się swoim szlifierskim kunsztem pięknego słowa, przepajać swoje stronic bajkowym czarem opowieści o wyczynach Beni Krzyka, weselu brzydkiej Dwojry czy filozoficznej dyspacie starców na kirkucie. Czuł nieustannie ciepły powiew Czarnego Morza, patrzył na pomnik księcia Richelieu na bulwarze jego imienia, soczystość arbusów i kawonów rozpyływała mu się na podniebieniu, Turcy w fezach i sprytni Grecy raczyli go orientalnymi przysmakami. Świat był jeszcze przestronny, otwarty jak widoki z portowych nadbrzeży Odessy. Wszystko zdawało się dyszeć niecierpliwym oczekiwaniem. Proces tworzenia dopiero się zaczynał. Oczekiwanie powodowało miraże.

Mój świat stał się zamknięty, ciasny i duszny. Nie ma Odessy — myślę o Lwowie i Wilnie. Nie ma Talmudu — myślę o etnicznie jednakowej i zunifikowanej ludzkiej masie trzymanej w krótkich cuglach. Misza Japończyk nie stanie nad moim stołem, galopu kozackich junaków też nie słyszać, a okno jest małe i okratowane. Wschód i Zachód stężały w groźnym bezruchu.

Protokół zaczyna być najważniejszym dokumentem literackim epoki. Jego asceza, faktograficzny charakter, rugowanie zbędnej urody, sądowa przylegliwość słów do opisywanych wydarzeń. Niech komentarz, pogląd narratora ukryty zostanie w tej gęstej tkance logicznie dokładnych słów i zdań zawartych w sprawiedliwym, zgodnym z sumieniem piszącego, uzasadnieniu wyroku.



Antoni Czechow nie był bojownikiem, nie służył żadnej rewolucyjnej idei, tylko pisał (może to atawizm z pańszczyzny: jego ojciec pochodził z wyzwolonych chłopów); i to pisanie może się kojarzyć z rytmem pór roku i uprawy ziemi, niezmiennie zmuszanej do wydawania plonów. Jego pisarstwo podbite było dynamiz-

mem (jakim zaskoczeniem jest twarz pisarza — łagodna, zadumana, oczy skryte za okularami, pełne nieśmiałości i skrytości zarazem), pokazywał jak pod spokojną powierzchnią piekła jęczą i wyją udręczeni i ich ciemniźcyiele. Szarość i beznadzieja ludzkiego bytowania. Szlachetne zamiary i bluźniercze przekleństwa. Pisarz operował wyłącznie stłumionymi, delikatnymi akcentami. Choćby to słynne: „Do Moskwy, do Moskwy!” z „Trzech sióstr”. Być może Czechow nie wierzył w społeczną szansę odmiany ludzkiego losu. Samo istnienie, obojętnie w jakich skutkach, było dlań „strasznością najstraszniejszą”. Czy wierzył w Boga? Ci ludzie nawzajem gotujący sobie sobaczy los. Ci inteligenci niewydarzeni i bezpłodni szamocący się w smętnej bezsilności. Ci czynownicy, ziemianie i kupcy podle trawiający swe życie.

Czechow pisywał w rozmaitych pismach, bez względu na ich program, postępowy czy konserwatywny. Był starym współpracownikiem *Nowych Czasów*, gazety wydawanej przez Suworina, reżimowego, oportunistycznego wydawcy.



Wracam znów do Izaaka Babla.

Paweł Hostowiec we wspomnianym tekście „Esej berdyczowski” opisuje swój spacer wieczorny z ojcem na początku naszego wieku, podczas słynnych kontraktów w Berdyczowie. Zawędrowali do mrocznej dzielnicy zapadłych w ziemię domostw żydowskiej biedoty, krawców, szewców, rymarzy, woźniców i tragarzy. Dobiegło ich uszu monotonne zawołanie. Stanęli pod najbliższym domem. W jego wnętrzu, przy świetle naftowej lampy, siedzieli ci biedni ludzie nad „Kapitałem” Marksa. Jeden czytał głośno, inni powtarzali za nim. Uczyli się na pamięć nowej księgi świętej, która obwieszczała dla nich koniec wieków prześladowań i nędzy. Zapowiadała nowy, wspański świat.

Lecz Babel miał przecież naturę sceptyczną, bardziej wierzył w doświadczenie życia niż w pismo. Mimo to nowa Tora musiała wywrzeć na niego silny wpływ. Odurzający narkotycznie. Szczególnie jej rosyjski apostoł — Lenin. I choć ta nowa księga z latami stawała się coraz bardziej podobna do wielu innych ksiąg, trzymał się jej uparcie. Czy wiernie? Nie wiadomo. Nie chciał stracić ostatniej nadziei.

Babel spowijał w poezję czarodziejskich słów kruszący się i rozwiewający świat jego nadziei. Ratował się jeszcze pobłażliwą, ciepłą wyrozumiałością wobec tego świata pełnego zgiefku i furii.

Humorem i ironią. Sam przed sobą ukrywał stratę najcenniejszego. I tak uwikłany w sprzeczności pisywał coraz mniej. Piękne słowa, skrzydlate metafory nie miały już opoki. A przecież był realistą. Utrata tej opoki zamykała jego pisarską wyobraźnię na siedem spustów. Gdy przychodzi ostateczny krach, kiedy złudzenia rozwiewają się niby dym z gasnącego ognia, pisarstwo staje się ostatecznym pytaniem: jak pisać? Jak pisać, żeby słowo przylegało do rzeczy i zjawisk. Żeby mogło być wiernym obrazem widzianego świata. Jego ciała i duszy. Świadczyć o tym wiarygodnie i rzetelnie. Co czynić, skoro wirujące na nieboskłonie fantazji bóżnice i cerkiewki, ludzie i zwierzęta, ptaki i kwiaty schną i rozsypują się niby dekoracje z papieru, a ziemia dyszy mordem, bestialstwem, zniszczeniem. Czyli... „Longobardowie zeszli z gór”, jak zaczyna się wiersz Herberta.



Był jeszcze Iwan Bunin. Dystyngowany, powściągliwy pan o manierach światowca, jak go określa któryś z jego współczesnych. Jego bogata nowelistyka i powieściopisarstwo („Wieś” i „Życie Arseniewa”) są wspaniałą, dotąd ani trochę nie zwietrzałą wizją XIX-wiecznego rosyjskiego świata dworów, wytwornych restauracji, gdzie oficerowie lejbgwardii i arystokraci zaczynali śniadanie szampanem i kawiozem, podróży parowcami po Wołdze, matce rosyjskich rzek, płatnej rozkoszy w plugawych zajazdach lub wielkich miłosnych uniesień przeżywanych przez gimnazjalistów na wakacjach, nastrojowych wieczery na werandach ziemiańskich dworów w guberni kurskiej, tulskiej czy gdzieś pod Orłem, myśliwskich wspominków i dziwnych historii opowiadanych przez ludzi poznających się przypadkiem w pociągu, przemierzającym ten bezkresny kraj. Jest piękno ziemi bogatej we wszelki urodzaj, pokrytej wielkimi lasami, zdobnej w cerkiewki i monastery, gdzie brodaci mnisi śpiewają dudniącym basem swe pieśni. Mimo dominującej „pańskości” są też opisy bydlęcej nędzy chłopskiego bytowania, wsi pełnej pijaństwa do zatury, rozdzierających pożegnań chłopów idących w sołdackie dyby, rozpacz i beznadziei w deszczowe, błotniste dni. Proza ta nade wszystko przepojona jest smutkiem niespełnionych miłości, ostatecznych rozstań, samobójczych pożegnań z życiem. Bije z niej utajone, a wszechobecne źródło: nieszczęście, ludzkie nieszczęście, które jest wieczną pogonią za wciąż uciekającym obłokiem albo dzikim, aż do zwierzęcego wycia, pijaństwem młodego muzyka rozsadanego niewysłowioną rozpaczą. Pozornie w sposób niezrozumiały świat tej smutnej prozy zdobny jest bogato w urodę przyrody tak oszała-

miającą i piękną, jak rzadko zdarza się w literaturze. Uderza ona zwłaszcza w dysonansie z ludzkimi losami przedstawionymi przez pisarza. W piękno wschodów i zachodów słońca, liliowych zmierzchów, liliowych błyskawic rozdzierających w czas letniej burzy niebo. Ten liliowy kolor, nieustannie obecny w prozie Bunina, zastanawia i niepokoi. Dlaczego ciągle tak liliowo w jego przyrodzie? Dlaczego przy zamachu chłopca podnoszącego siekierę na swą wiarołomną żonę tak harmonijnie i pięknie otacza dramat uroda nieba i ziemi? Dlaczego podczas innych, równie groźnych zdarzeń, jego malarska paleta tak pieczołowicie zajmuje się pejzażem? Bunin zresztą nie tylko widzi; wszystko to słyszy i czuje; wszystko u niego pachnie odurzająco. Wyrafinowana, dbała o piękno aż do fanatyzmu zmysłowość jego prozy. W tych dziesiątkach opowiadań, długich i krótkich, miniatur czy zgłębiając poematów czai się nieuchronnie zagłada, schyłek, właśnie schyłek o posmaku fatalizmu — czegoś nie do odwołania. Najwyraźniej przecież malował wieczory, zrazu podobne, spokojne, nagle zmieniające się w gwałtowne burze, pełne huku piorunów i błyskawic; wtedy to stare nianie próbują żarliwymi modłami pod ikoną odpędzić złe moce, wypętlę nie wiadomo skąd. Dlaczego mądry i wrażliwy podróżny płynąc Wołgą nie dopływa nigdy do upragnionej Itaki? Do tej mitycznej Itaki, ostatecznej przystani ludzkiej w ślepej wędrówce po ziemi. Bunin był piewcą końca świata. Swojego świata. Starej Rosji. Tej Rosji pozostał wierny bez względu na jej zło, zgniliznę, bezprawie i nieuchronne staczanie się w przepaść. Po rewolucji opuścił ojczyznę i nigdy już jej nie zobaczył. Podróżował po morzach i oceanach (nowela „Pan z San Francisco”), spacerował po promenadach Nicei, kontemplował surową, skalistą urodę Bretanii, żył w paryskim mieszkaniu, pełnym starych, szerniałych ikon i zawsze w tułacznej wędrówce towarzyszyła mu dawna, pogrzebana Rosja. I choć jej długą agonię, śmiertelną chorobę i bolesny proces rozkładu opisywał już od dawna, nigdy nie dał bezpośredniego słowa osądu; konsekwentnie powstrzymywał się od jakiegokolwiek werdyktu. Może uważał, że śmierć narodów i państw jest procesem nieuchronnym, zależnym tylko od siły najwyższej, boskiej? Może dekadencja świata była dla niego jedyną urodą? Oprawiał ją w pełną przepychu dekorację przyrody — nieba, słońca, księżyca. Tkał jak niezmordowany mistrz gobelinów swoje nowele, gdzie słowa stawiał jak tajemnicze zaklęcia. Nigdy jednak nie ośmielił się być sędzią tamtego świata. Nie chciał. Nie umiał. Być może późniejsze losy jego ojczyzny, które pilnie śledził z daleka, nie dawały mu prawa osądu nad dawnym porządkiem — ostatecznie zburzonym. Toteż zarówno dobro jak i zło są u niego jednakowo

hojnie obdarzone w trucicielskie, dekadencjne piękno. Niegdyś odniosłem podobne wrażenie słuchając płyty z pieśniami Wertyńskiego. Czuję taki sam niezdrowy czar schyłku świata, kiedy już „świnie pożerają pawia”.

Bunin zatrzymał jak na starym dagerotypie Rosję tuż przed eksplozją. Nie mogę powstrzymać się od analogii z „Panem Tadeuszem”, gdzie Mickiewicz przywołując na paryskim wygnaniu Litwę swej młodości, widząc równie przenikliwie jej prowincjonalizm, ciemnotę, sarmackie przywary, ciasnotę umysłu swoich bohaterów, stworzył przecież jeden z najpiękniejszych poematów polskiej literatury.

Z Iwanem Buninem kojarzy mi się również wiersz wielkiego Greka, aleksandryjskiego poety Kawafisa — „Czekając na barbarzyńców”.



W 1890 roku cichy, skromny Czechow, pracowity „wyróbnik pióra” ruszył w podróż na Sachalin. Chory na gruźlicę, nękany przebiegiem i gorączką, wybrał się samotnie w daleką, półroczną podróż. Podróżował wiele tygodni konnym pojazdem, następnie statkiem, aż dotarł do tej ponurej wyspy, osławionej krainy skazańców. I przez krótki czas pobytu na wyspie powstało jego wiekopomne i prekursorskie dzieło pod tytułem „Sachalin”. Około trzystu stron gęsto druk. Niepodważalną wartością dzieła jest bogactwo wiedzy o wyspie. W czasach dzisiejszych dla zebrania, uporządkowania i opatrzenia komentarzem tak obszernego materiału trzeba by zespołu uczonych różnych specjalności, socjologów, psychologów, geografów itp. Czechow sam przemierzył wzdłuż i wszerz surową, chłostaną wiatrami północy wyspę, po brzegach jałową i skalistą, w głębi porośniętą lasami i zamieszkałą przez niewolniczy lud katorżników i przymusowo osiedlonych. Miał listy polecające ze stolicy (życzliwość gubernatora Korfa) i jego dociekliwość badacza, jak można mniemać, mało była ograniczona. Zabroniono mu tylko jakiegokolwiek kontaktu z zesłańcami politycznymi. I tak fenomenem tolerancji ze strony władz można nazwać swobodę daną pisarzowi zwiedzającemu obszar niewoli, hańbę państwa, w którym taki system więzienny istniał od lat. W książce, która z tej „wycieczki” powstała nie ma żadnej urody i przepychu literackiego (Bunin zapewne opisałby wspaniałe surowy, posępny pejzaż wyspy, skłaniający do dumania o moralności ludzkiego życia, albo zjawisko zorzy polarnej, która oświeca tę ziemię bliską Arktyki); asceza słowa doprowadzona została do maksimum, wyrugowane zostały wszel-

kie subiektywne oceny i medytacje o kondycji człowieczej. Czechowa interesowali — pozornie beznamiętnie — żywi ludzie w całej dostępnej mu tutaj różnorodności. Zarówno groźni przestępcy przykuci kajdanami i naznaczeni katorżniczym, wypalonym piętnem, jak i inni — zagnani tu przez przypadek, pomyłkę sądową czy niesprawiedliwe wyroki losu. Rozmawiał ze skazańcami, którzy odbywszy karę, pozostawali na prawie przymusowego osiedlenia po kres swego życia. Poznał też takich, co będąc wolnymi nie widzieli dla siebie innych szans poza tą wyspą. Równocześnie takich, co uporczywie i bezskutecznie ponawiali próby ucieczki stamtąd. Oto co o nich pisał: „Na podstawie danych, którymi rozporządzam, na 1.501 zbiegów schwytano lub wróciło dobrowolnie 1.010 katorżników, zmarłych w czasie pościgu i zabitych znaleziono 40, bez wieści zginęło 451”. Badał warunki pracy w rozmaitych zakładach karnych, przy budowie dróg i karczowaniu lasów, w transporcie i rolnictwie. Jego cierpliwej dociekliwości podlegały też sprawy życia osobistego skazańców, związki wolne i usankcjonowane węzłem małżeństwa, nierząd i kupowanie kobiet. Odkrył wszechobecne przekupstwo — cechujące zresztą całe rosyjskie życie — w tym wielkim więzieniu stojącym na przegniłych fundamentach. Przekupstwo funkcjonujące w świecie więźniów i nadzorców zarazem. Zanotował także fortuny zbijane przez sprytnych urzędników, pływających jak ryby w tym „akwarium niewoli”. Przeprowadził dziesiątki, może setki rozmów ze skazańcami, a sonda jego dociekliwości sięgała samych korzeni ludzkiej egzystencji, poczynając od wspomnień dawno już zatartej, mglistej wolności, do tutejszego twardego bytu. Motywy czynów przestępczych, refleksje po latach, skrucha czy zatwardziałość, obłuda czy szczerość, dramat niewinnie skazanych, cynizm ludzi zepsutych do cna, złe doświadczenia i patologia. Można powiedzieć: badał wytrzymałość ludzkiej odporności na cierpienie i zstępował po szczeblach ludzkiego upadku coraz niżej. Objechał rozległą wyspę, pokonując opór niezbyt chętnych do tak drobiazgowej penetracji władców tej rosyjskiej Ziemi Van Diamena. Widział, co jedli, jak spali i odpoczywali, w co się ubierali, na czym polegała ich praca i rozrywka. Napotykał na swej drodze nieokrzesanych zbirów i ludzi pocziwych, często szlachetnych, niepozabawionych tej swoistej cierpliwości rosyjskiego ludu na każdą udrękę i niesprawiedliwość. Równie wnikliwe rozmowy prowadził ze stroną nadzorującą, poczynając od naczelnika, poprzez rozmaitych urzędników, inspektorów itp. Wyłonił się z tego suchego sprawozdania obraz prawdziwej krainy niewoli, gdzie utęsknioną wolnością bywa często praca w ogródku nadzorcy, usługiwanie przy pańskim stole

i w kuchni. Spostrzegł swoistą osmozę dwóch stron, więzionej i sprawującej nadzór, równie wypaczonych przez życie na tej przeklętej wyspie. Uporczywie badał stan tęsknoty za wolnością. Tęsknota bywała już w wielu przypadkach mocno przytępiona, wygasła, skrywała się w snach i majakach czy wybuchach irracjonalnej wściekłości. Często topiona w alkoholu i próbach samobójczej śmierci. Dla niektórych szczęściem najbardziej oczekiwany był łagodniejszy stopień rygorów czy zmiana katorgi na wieczyste osiedlenie. Styl Czechowa przylegał ściśle, odpowiadał rzeczywistości tego specyficznego społeczeństwa. Pozbawiony wszelkich uroków pięknej prozy, szorstki, do oschłości rzeczowy, ten styl narracji działa jak uderzenie obuchem właśnie przez beznamiętność stosowaną przy opisywaniu koszmaru. A także jak ostry snop światła rzucony na odrutowaną przestrzeń ze strażniczej wieżycy. Również formuła całości tego dzieła najwyczajniej sprawozdawcza, można użyć takiego porównania: przyjeżdżają inspektorzy z najwyższej (z powodu obiektywizmu i przenikliwości spojrzenia) izby kontroli i notują to, co widzą i słyszą. Tym razem inspektorem był pisarz. Ten styl inspektora nieustannie dominuje, pozbawiony patosu, gniewu, oburzenia. Dzieło jest owocem niedługiego, kilkumiesięcznego zaledwie pobytu pisarza na wyspie. Tym bardziej zdumiewa, że Czechow nie był przecież zahartowanym obserwatorem koszmarów, raczej unikał w swoim życiu wszelkiej drastyczności. Nie zaznał też w odróżnieniu od Dostojewskiego, autora „Zapisków z domu umarłych”, katorżniczego żywota, nie sypiał w ponurych izbach etapów w drodze na Sybir, nie schylał grzbietu przy wydobywaniu szlachetnego kruszcu w kopalniach Kary, Nerczyńska czy gdziekolwiek w swej ponurej ojczyźnie. Żył nader spokojnie, tryb dziennych zajęć miał ściśle uregulowany, nieraz odchodził od przyjacielskiego grona do swego gabinetu, żeby zapisać jakieś słowo, zdanie potrzebne do utworu nad którym pracował. Dostatecznie zaświtała mu sława, obsypywano go faworami, miał niepodważalną renomę znakomitego nowelisty i dramaturga, z okien swojego domu na Krymie kontemlował piękno Czarnego Morza, tak sugestywnie przedstawianego na płótnach Ajwazowskiego. Był człowiekiem łagodnym, wyrozumiałym, cierpliwie szukał ciepła i miłości w życiu. Nie angażował się w gwałtowne ruchy protestów przeciw samodzielnemu, stronił od politycznych dyskusji, programów. I nagle na tej więziennej północy zmienił się w beznamiętnego, a jakże w tej beznamiętności zaangażowanego i walczącego kronikarza najgorszego losu, jaki człowiek potrafi zgotować człowiekowi. Pozbawiając swoje sprawozdanie wszelkich uogólnień, uczynił opis wyspy wielkim oskarżeniem systemu. Powstał utwór

niezwykle surowy, w tamtych czasach mógł się nawet wydawać pracą spoza literatury pięknej, płaską, przyziemną, pozbawioną skrzydeł Pegaza. Z latami „Sachalin” rósł, ogromniał. Wykuty był przecież z litej skały. Przetrawił lata.

Dochodzę wreszcie do nowatorskich, moim zdaniem, osiągnięć pisarstwa Czechowa w „Sachalinie”. Jeżeli rejestruje jako protokolant rozmowę z jakimś skazańcem — zwyrodniałym mordercą — nie ulega w opisie tym nieprzewartościowanemu pokusom oceny jego zachowania, mentalności, próby wglądu w jego duszę; trzyma się ściśle podanych faktów, paroma słowami szkicuje jego wygląd zewnętrzny, nade wszystko zaś stara się najwierniej odtworzyć przebieg rozmowy, wyznania swojego interlokutora. Tak samo rzeczowo opisuje pracę katorżników. Zajmując się życiem uczuciowym skazańców i zesłanych, pokazuje bez śladu komentarza fizyczną przeważnie potrzebę kobiety, przypadkowy wybór towarzyszy życia, zależny od wielu okoliczności, całe życie uczuciowe zredukowane do zwierzęcego zaspokojenia żądzy. Wizytując zaś siedziby nadzorców, stara się opisać jedynie poglądy władców tej wyspy-więzienia na temat tutejszych stosunków, ich opinie, spostrzeżenia, uwagi krytyczne — znów wstrzymując się od słowa oceny tych ludzi. Zresztą niektórzy z jego rozmówców sami mają szereg wątpliwości co do sensu tego systemu penitencjarnego. Sposób, w jaki opisuje spotkania, bywa tak zwyczajny, jak zwyczajna jest rozmowa przy herbacie po obiedzie, pozbawiony jakiejkolwiek oceny, od której nie mógłby się powstrzymać wierzący w swą pisarską wszechwiedzę ambitny demiurg-egotysta. Proza jego pozbawiona została celowo literackiej urody, kreacyjnej dramaturgii, efektownych spięć i tendencyjnego zestawienia opisywanych faktów w dążeniu do efektownej pointy. Styl prosty, surowy tym bardziej zastanawia w przypadku Czechowa, którego liryczny, melodyjny język cechował całą dotychczasową twórczość, a obrazy w tej prozie błyszczały często jak piękne malowidła. Tu zaś słowa są szare, chropawe jak kamienisty brzeg wyspy, który zobaczył z parostatku. Niektóre fragmenty „Sachalinu” można porównać do znacznie późniejszej „Kolonii karnej” Kafki, opisującej w upiornie fachowy, czy wręcz naukowo-techniczny sposób, działanie maszyny służącej do zgładzania skazanych; jako narrator występuje tam oficer zajmujący się funkcjonowaniem urzędzenia. Czechow także jak ów oficer spogląda na swoją wyspę z chłodnego dystansu, jednak efekt tego dokonania staje się znacznie mocniejszy od żarliwego sprzeciwu, kiedy to każde słowo piszącego przepaja ogień i gniew. Nasuwa się porównanie dwóch utworów Czechowa. Jego piękna opowieść „Step”, pełna poezji, bezkresnych przestrzeni, rozrzuconych z dala od siebie chutorów,

czumaków ciągnących taborem po sól z limanów Kaspijskiego Morza, barwnych postaci i opowieści. I obok ta groźna niespodzianka — „Sachalin”, rzecz o wyspie skazańców na północnych krańcach imperium. Lekarz z wykształcenia, sięgnął po dawno nie używany lancet, odsłaniając chore trzewia. Czechow nie miał natury działacza, wojownika, który pióro czyni orężem walki. Żył i tworzył przed burzą historii, która żarłocznie zagarnęła Babla. Nie był również wytwornym podróżnikiem i bywałcem dworów i salonów, piewcą piękna rosyjskiej umierającej ziemi jak Bunin, który nieustannie do końca swoich dni, żyjąc na dobrowolnym wygnaniu, wskrzeszał piękność piórem czarnoskóśnika. A jednak dostrzegł najwięcej. Dotarł do rdzenia. Opisał niewolnicze życie swego kraju już na chwilę przed ostatecznym trzęsieniem ziemi. I to odkrycie najbardziej zuniwersalizował. Pokazał pełzający w błocie, strachu i poniżeniu byt człowieczy aż do śmierci, która daje dopiero wyzwolenie. Trawiony gruźlicą, cierpliwie znosząc ostry klimat wyspy i wszelkie niewygody, wynalazł jakby od niechcenia pisarski sposób opisu. Styl inspektora-sprawozdawcy okazał się metodą najskuteczniej dającą sobie radę ze światem zła i przemocy. Dlatego wynalazek podarowany nam w formie opisu Sachalinu nie stał się jedynie jednorazową eksplozją, unikalnym ewenementem. Otworzył drogę dla następców, owocował w latach późniejszych. Prostota, głęboka uczciwość i oschłość słowa pozwala takim dziełom długo zachować posępną młodość. Przyszedł bowiem czas, kiedy obszary nie-ludzkiej ziemi zwiększyły się znacznie. Zachłannie zaczęły pożerać coraz większe połacie globu i wobec stosowanej tam dehumanizacji Sachalin wydawać się może tylko elementarnym wstępem. Literatura była wobec tej ekspansji bezsilna lub wręcz naiwna. Stare narzędzia okazały się nieskuteczne. Bezsilność wyrażała się w szlachetnym i pustym wielosłowniu. Metafory luminarzy pięknej sztuki słowa brzmiały jak oracje na kongresach i innych podniosłych uroczystościach. Śmieszyły naiwnością wobec stanu ludzkiego doświadczenia. A proza psychologiczna, penetrująca głębie ludzkiej duszy, ta stara pełna pychy sztuka — uzurpatorka prawa do wszechwiedzy o człowieku, częstokroć przypominała zwiertrzałe powieści z rupieciarni XIX wieku. Tak wyglądały próby artystów słowa zmagających się z nową rzeczywistością powstałą w cieniu totalitaryzmów. Świat nie-ludzkiej ziemi stanowił *terra incognita*. Domagał się swego Kolumba. Nieporadne, chropawe, lecz mimo to szczerze pamiętnikarskie zapisy naocznych świadków były pierwszą próbą pokazania czasu pogardy i odczłowieczenia. Po nich dopiero przyszli wielcy sprawozdawcy, pisarze surowi i bezwzględni wobec swego pióra, trzymający mocno na wodzy

swą fantazję i twórcze ciągoty, zdający sobie doskonale sprawę z bezsilności dawnych literackich narzędzi wobec rzeczywistości, z którą przyszło im się zmierzyć. Nieprawdą jest, jakoby ten oschły, kancelaryjny język protokołu miał dławić i tłamsić kronikarzy rzeczywistości, nie pozwalając im dotrzeć do sedna zjawiska. Wracając więc do spostrzeżenia Bobkowskiego ze „Szkiców piórkiem” — i takie słowa, suche, kostyczne i ubogie mają swoją głębię, zależy to jedynie od doboru zimnych, pozornie pozabawionych lotności słów, od siły, którą nasycą papier, od umiejętności przechodzenia z jednej sekwencji opisu do drugiej.

Wielcy pisarze-rejestratorzy naszych czasów wygrali batalię z rzeczywistością. Dawać zaczęli uczciwe świadectwo widzialnemu światu. Czy znaczy to, iż wyłącznie ten sposób pisania stał się narzędziem pisarza naszych czasów? Nie. Wcale tak nie myślę. Tu i ówdzie widać przecież renesans hucznego karnawału w literaturze. Hrabal. Inni. Przypominam jedynie o tych pisarzach, żmudnych, niezmordowanych kopaczach, co odkrywają wciąż pokłady zła, bezprawia i kłamstwa, przysypane cienką warstwą ziemi porośniętej nędzną trawą dla złudnego pozoru niewinności.

Szczęśliwym zrządzeniem losu była daleka podróż skromnego, chorego człowieka — Antoniego Czechowa.



Niech mi nie będzie poczytywane za pychę pisanie o sobie w bezpośrednim sąsiedztwie trzech wielkich mistrzów prozy. Jednak przypominając sobie wczesne moje próby nowelistyczne, opisywanie przedmiejsko-złodziejskiego obszaru doświadczeń, gdzie panowała barwna, choć często okrutna i prymitywna obyczajowość, gdzie jeszcze zachowały się tradycyjne więzi z przedwojennym klanem urków i jego dekalogiem — moja chłonność nade wszystko wyławiała specyfikę tego zamkniętego świata, osobliwości języka i odmienność psychiczną ludzi żyjących poza prawem. Uniesienie młodości nie trwało zbyt długo, nie popadłem chyba w monotonną pułapkę rutyny. Stary świat przedmieść, ruder, przechodnich bram i ludzi, którzy pamiętali Tatę Tasiemkę i Felusia Zdankiewicza, wymierał naturalną koleją rzeczy. W miarę życiowego i pisarskiego doświadczenia rzeczywistość przed moimi oczyma szarzała i brzydła, a jej robaczywość i wyłazająca nieustannie spod cienkiej warstewki złudzeń niewola stwarzały mało możliwości do literackich parad i popisów. „Ta szara piechota”, jak powtarza się w „Wielopolu” Kantora, zaczęła przeważać w otaczającym mnie świecie. Któreś ze swoich późniejszych opowiadań

zacząłem tak: „Dominujący jest kolor szary” — słowami Kazika z „Pracusiów”. I moje opisywanie świata stawało się coraz bardziej oszczędne w słowa, unikające nadmiernie jaskrawych kolorów, dążyło naturalnym biegiem doświadczeń do swoistej sprawozdawczości, czego koronnym dowodem są tomy „Zapis” i „Mizerykordia” z lat sześćdziesiątych oraz ostatnie próby. Wchodząc głębiej w materię, w której tkwimy, dążyłem do mocnego osadzenia opisywanych zjawisk w nędzy słów, zdań, obrazów, marząc o ich wierności wobec opisywanego życia.

ELEGIA O UMARŁYM ŚWIECIE

Jest takie opowiadanie Józefa Rotha o zwariowanym polskim arystokracie, który wystawił u bramy wjazdowej swej posiadłości posąg Franciszka Józefa. C.k. monarchia dawno już przestała istnieć, rozpadła się bez śladu, lecz ten oryginał uparcie oddawał honory swemu cesarzowi, ubrany na tę okoliczność w paradny mundur rotmistrza dragonów dawnej monarchii. Zmuszony wreszcie przez lokalne władze do usunięcia pomnika, wyprawił swemu ukochanemu monarsze drugi pogrzeb. Trzech duchownych brało udział w tej uroczystości, ksiądz, paroch i rabin.

Opowiadanie pisane było już w ostatnich latach życia pisarza. Józef Roth był największym piewą schyłku cesarsko-królewskiej monarchii i tej tematyce pozostał wierny do końca. Jaką narkotyczną właściwość musiało mieć to słabe i na zmurszałej podstawie oparte imperium, ten konglomerat wielu narodów targanych sprzecznymi dążeniami, coraz gwałtowniej domagających się prawa do niepodległego bytu? A przecież ta pełna słodkiego czaru legenda wciąż jeszcze trwa. Żywa w ustnych wspomnieniach przekazywanych z pokolenia na pokolenie, także w pamiętnikach i rzeczowych przekazach historyków. A ilu wybitnych pisarzy zajmowało się wyłącznie dziejami c.k. monarchii. Poczynając od Józefa Rotha, węgierskich powieściopisarzy i dramaturgów, nie zapominając o Polaku, Józefie Wittlinie, autorze „Soli ziemi”, czy o tych najmłodszych już współczesnych, mogących jedynie czerpać twórczo z opowiadań starych ludzi i równie starych książ.

Być może urok i piękno domeny Habsburgów tkwiły w jej rozległych przestrzeniach od gór alpejskich do ciepłych mórz, od puszty gdzie czikosi gнали tabuny koni i stada siwych wołów do orientalnych bazarów Sarajewa, Mostaru i Banialuki, zbiegając się zawsze we frywolnym Wiedniu, mieście teatrów i operetek,

wytwornych restauracji Sachera i Jockey-Clubu, konnych maneży, ekskluzywnego Theresianum, wycieczek do gospód i winiarni pagórkowatego lesistego Wienerwaldu. Niewątpliwie również ta czuła apologia, trwająca tyle lat, niby wino, mocniejsze w miarę upływu czasu, oparta była na niespotykanym u schyłku XIX wieku liberalizmie i tolerancji, które zagościły w autokratycznym państwie; tej sprzecznej koegzystencji demokracji i władzy dynastycznej, ludowości i arystokratyzmu, wyrażającego się w hierarchicznym rytuale rang i tytułów (te z emfatyczną powagą celebrowane urzędy hofratów itp.), ale równocześnie w możliwości wspinania się po szczeblach kariery dostępnej nawet dla małych, szarych ludzi z gminu.

A sędziwy cesarz z bokobrodami był właściwie daleki od ducha głębszych reform i prawdziwego postępu. Wywodził się z czasów absolutyzmu i jego poglądom obce być musiały idee demokracji, równości. Wierzył przede wszystkim w swe patriarchalne umiejętności godzenia rozlicznej, podległej mu rodziny narodów. Jak Zeus trwał na wierchołku tej osypującej się góry i całe swe długie i pracowite życie oddał wielkiej sprawie zachowania spójności monarchii. Czar tamtych czasów ozdobiony był farsową lekkością i dlatego katastrofa osuwającej się góry nie stanowiła groźnego widoku.

Płochę życie kwitło niepohamowanie, tiule, muśliny i bajecznie kolorowe lampiony przesłaniały rzeczywistość, swawolny kuplet miał znacznie większą wziętość niż pesymistyczne prognozy na temat jutra. Kostyczna, a mimo to niezwykle sprawna biurokracja c.k. monarchii, przepojona poczuciem swej misji zaszczipionym jej przez cesarza, oraz dekadenska arystokracja krwi i pieniądza, trawiąca czas na balach, hulankach i miłostkach w lupanarach i tingel-tanglach — oto jeden z ówczesnych kontrastów. Równocześnie życiu dynastii towarzyszyło swoiste fatum. Cesarzowa Elżbieta zasztyletowana przez włoskiego anarchistę. Arcyksiążę Rudolf, następca tronu, ginie wraz z Marią Vetzera samobójczą śmiercią (której przyczyna jest wciąż zagadką) w swoim myśliwskim zamku Mayerling. Arcyksiążę Jan Salvator zrzuca się tytułu i praw dynastycznych, jako Jan Orth rusza statkiem w podróż dookoła świata i przepada bez wieści. Inny znów przedstawiciel rodziny panującej z powodu występnego, zboczonego życia umieszczony zostaje przez cesarza w wieczystym odosobnieniu.

Tu i buntowali się poddani, wybuchały korupcyjne afery, nawet armia traciła swą zdrową siłę, czego jaskrawym przykładem jest szpiegowska afera pułkownika Redla, szefa wywiadu, służącego innemu, obcemu wywiadowi.

Ekspansywne Prusy coraz bardziej uzależniały słabą domenę Habsburgów. Na Bałkanach jątrzyła przeciw niej Rosja. Jednak te wstrząsy i dramaty nie zakłócały wesołej niefrasobliwości Wiednia i Budapesztu, walc i czardasz panowały niepodzielnie, książęta i hrabiowie bawili się w swych okazałych pałacach na Herrengasse, plebs tańczył i śpiewał na Praterze, wygalowani hofraci i węgierscy żandarmi z kogucimi piórami na czapkach wyglądali jak postacie z operetkowej sceny.

U schyłku tamtego wieku i na początku naszego austro-węgierską monarchię cechowała nieznana gdzie indziej tolerancja, węgierscy i polscy politycy (Androssy, Badeni) mianowani byli szefami gabinetów ministerialnych, słoweńscy i kroaccy chłopcy zostawali baronami, ozdabiali swe palce herbowymi sygnetami, a w gabinetach ich rodowych siedzib spoglądał z portretu surowym, ojcowskim okiem dostojny starzec w wojskowym, niebieskim mundurze — Franciszek Józef.

Piewcą łagodnego schyłku tamtych osobliwych czasów został Józef Roth, urodzony w pobliżu Brodów, żydowskiego miasteczka na wschodnich rubieżach cesarstwa, tam gdzie granczyło ono z imperium carów, tak bardzo odmiennym w strukturze swej władzy, despotycznym i brutalnie pacyfikującym podbite ludy, pozbawionym tolerancji i nacjonalistycznym w swej esencji, ponurym molochem owianym złą legendą, nawet z religii potrafiącym uczynić jeden z najbardziej posłusznych instrumentów, wspierających carskie władztwo.

Tam na granicy dwóch światów rozpoczynał swe życie Józef Roth. Tam z chłonnością właściwą latom dzieciństwa i wczesnej młodości odbierał pierwsze doświadczenia i kształtował swą wyobraźnię. Pisać zaczął już po pierwszej wojnie światowej, kiedy z c.k. monarchii jedynym realnym śladem pozostała Austria, architektura Wiednia i dawnych pomniejszych metropolii, Budapesztu, Lwowa, Pragi, Zagrzebia. Niezmiennie tkwił w tamtej umarłej atmosferze, wskrzeszał ją z pietyzmem, obdarzał ponownie życiem i tej pasji pozostał wierny do końca.

Może właśnie to łagodne umieranie, gasnący żywot dostojnego starca, który panował taki szmat czasu rządząc w miarę dobrze i uczciwie i zaskarbił sobie uznanie i sympatię poddanych — pozostało na zawsze impulsem pisarskiej wyobraźni Rotha? Może dlatego, że mieszkał na dalekich, wschodnich rubieżach, to prawem kontrastu zapamiętał szczególnie mocno, że w jego monarchii nie było pogromów, czarnej sotni, Pobiedonoscewa, Benckendorffa i ochrany, Sybiru i katorg Nerczyńska, Kary, a także nie objęła jej krwawa pożoga rewolucji, która ogniem i mieczem wypaliła całą Wszechrosję?

C.k. monarchii los oszczędził mąk prokrustowego łoża, rozpadła się po prostu; jej prowincje i kraje koronne od dawna już łączyła wątki spójnia — w rezultacie wojny powstały z nich w sposób naturalny niepodległe państwa. W jego monarchii i ta wojna, dla niej ostatnia, która pochłonęła miliony ofiar w bitwach pod Verdun, nad Marną i Sommą, na polach Tannenbergu i w ofensywie karpackiej, była traktowana zupełnie inaczej niż w innych państwach koalicji czy Ententy, prześcigających się w militarnym patriotyzmie. Spoglądano na nią z dystansu, bardziej sceptycznie, raczej z chłodnym brakiem zaangażowania i nikt się nie kwapił do ofiarnej śmierci za ojczyznę (zbyt abstrakcyjną, zlepioną z tyłu narodowości), a armia od lat była przysłowiową tarczą dla humorystów i satyryków celujących w nią kąśliwymi strzałami. W tej armii brakowało pruskiego drylu i fanatyzmu, wątpliwej jakości też był jej patriotyzm.

Bo za cóż mieli walczyć i ginąć chłopcy z Bośni i Wojewodiny, górale z Czarnohory, mieszczenie z Czech i Moraw, Polacy z Galicji i Lodomerii ze swoim nigdy nie wygasłym marzeniem o wolnej, niepodległej ojczyźnie?

Dlatego Szwejk stał się symbolem tej armii. Jeszcze teraz w naszych czasach korzysta się często z ludowej mądrości dzielnego wojaka, z pozoru tylko sprawiającej wrażenie głupoty. Nie tak dawno temu mówiło się w Warszawie: wezwał Breżniew Szwejka i pokazując mu trzy guziki mówi: — Widzicie, naciskam czerwony i nie ma Europy, naciskam żółty i już po Ameryce, aż wreszcie niebieski i koniec z całym globem! A Szwejk mu na to: — U nas w Budziejowicach pani Sławikowa też miała trzy nocniki — czerwony, żółty i niebieski. Ale nigdy nie zdążyła skorzystać z żadnego, zawsze zesrała się na podłogę!

I nikt tak jak Hašek nie stworzył poprzez plebejski humor i groteskową fabułę frontowych działań bardziej uniwersalnej, nieśmiertelnej opowieści o bezsensie wojny w „Przygodach dzielnego wojaka Szwejka”. Daleko w odkrywczości i głębi swej wizji wyprzedzając szlachetne, pacyfistyczne powieści lat dwudziestych, „Na zachodzie bez zmian” Remarque’a, „Ogień” Barbusse’a czy „Wielką wojnę białych ludzi” Arnolda Zweiga.

W tej monarchii nie działali fanatyczni bojownicy w rodzaju Żelabowa, Kibalczyca, Hryniewieckiego i Perowskiej, ani prowokatorzy na usługach ochrony: osławiony inżynier Afef, Bakaj i inni. Nie powstały tam wstrząsające, ponure dzieje takie jak „Zapiski z martwego domu” i „Sachalin”. Nie narodził się tam Lenin ani Trocki. Odmienna to była gleba. Najwyżej Franciszek Adler, przywódca socjaldemokratów, bulwersował swym radyka-

lizmem płochy Wiedeń. A w ciszy swego gabinetu przykładny, mieszczański mąż i ojciec Zygmunt Freud zgłębiał tajemnice podświadomości, odkrywając w seksualnych kompleksach motywację wielu ludzkich czynów. Wiedeń uwielbiał romanse, plotki z życia wyższych sfer i zabawę. Ludzie woleli spacerować po Ringu, odwiedzać kabarety i ogródkowe kawiarnie niż uczęszczać na mityngi i słuchać poważnych oratorów, rozprawiających o sprawach socjalnych i politycznych; ochoczo tańczyli w karnawale i śpiewali arie z modnych operetek Straussów. Interesowali się żywo śniadaniem starego cesarza z jego wieloletnią przyjaciółką, Katarzyną Schratt, sławnymi rogalikami i kawą ze śmietanką.

Oto co pisał o Wiedniu Józef Roth w „Krypcie kapucynów”: „Wiedeń — ta aż nadmiernie opiewana stolica państwa, czerpiąca soki z krajów koronnych, podobna do błyszczącego i uwodzicielskiego pająka, co rozsiadł się na środku potężnej czerwono-żółtej sieci i bezustannie ssal siłę, sok i blask z otaczających go krajów koronnych”.

Tak więc w świecie Rotha nie było głodowych pomorów na Powołżu, buntu marynarzy na krążowniku „Książ Potiomkin” czy krwawej masakry pokornej demonstracji rosyjskiego ludu podążającej pod wodzą popa Gaponą przed pałac „batuszki” cara. Jego ziemia miała pejzaż malowniczy i przyjemny dla oka, nie zanikała w bezkresach stepów, tajg i tundr, ciągnących się aż pod lodowate obszary Arktyki. Jego cesarz nie był samodzielną, którego słowo stawało się natychmiast dekalogiem. Był przecież jeszcze parlament, zażarte debaty kół i frakcji, popisy sławnych mówców, choćby Ignacego Daszyńskiego, Abrahamowicza, Dzieduszyckiego; często zmieniały się gabinety ministerialne i wolna prasa śmiało wyrażała swoje krytyczne opinie na temat polityki państwowej lub rozmaitych dostojnych osobistości. W stolicy c.k. monarchii nie istniał zakaz osiedlania się Żydów i wielu z nich posiadało tytuły baronów, piastowało odpowiedzialne stanowiska państwowe. Dyrektorami potężnego Landes-Banku byli pospołu hrabia Ludwik Wodzicki i finansista Arnold Rapaport rodem z Krakowa, a Gutman czy baron Hirsch, król kolei żelaznych, posiadali fortuny na miarę Rotszylda. Także na porządku dziennym były mariaże zubożałych arystokratów z córkami magnatów pieniądza. Czołowym publicystą *Neue Freie Presse* był Teodor Herzl, wiedeńczyk z krwi i kości, późniejszy twórca idei syjonizmu, autor „Państwa żydowskiego”, płomienny apostoł exodusu diaspory do Erec Israel.

Ta c.k. monarchia, Kakania, jak powiadano żartobliwie, u schyłku swego żywota stanowiła nie lada zagadkę, a stary Fran-

ciszek Józef do końca wierzył niezachwianie, że swoją dostojną osobą potrafi trzymać na wodzy i godzić wezbrane namiętności i antagonizmy. Żył surowo i skromnie, legendy krążyły o jego pracowitym dniu, który rozpoczynał niezmiennie o czwartej rano. Ta żelazna regularność dawała poddanym poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Wystarczyło przecież spojrzeć na okna pałacu w Schönbrunn, czy okazały masyw Hofburga i pomyśleć, że w którejś z komnat powinien czuwać On. Znamienne było również to, że poza jedyną próbą zamachu na monarchę w pierwszym okresie jego panowania, potem już nigdy więcej nie próbowano porwać się na jego życie.

W takt walca „Nad pięknym modrym Dunajem” (w istocie raczej burym i mętным) barwnie i z pozorami złudnej wieczności płynęło życie rozpadającej się monarchii. Ten walc melodyjnie i rzewnie zagłuszał rodzące się wstrząsy i niepokoje. Przecież burzyli się Rusini, Czesi patrząc zawistnie na Galicję domagali się autonomii, Węgrzy bezlitośnie uciskali mniejszości narodowe w swoim królestwie Św. Stefana. Ten schyłek jednak nie rzucał złowrogiego cienia. Nawet wybryki antysemitki wybranego przez drobnomieszczańskie, nacjonalistyczne warstwy społeczne nowego burmistrza Wiednia Luegera nie stanowiły zarazy, która może ogarnąć całość państwa. Ludziom brakowało fanatyzmu. Choć równocześnie brakowało im energii, stanowiącej o sile życia. Co więc było tym trudno uchwytnym spoiwem dekadenceckiego świata?

Zamiast odpowiedzi posłużę się jeszcze raz cytatem z „Krypty kapucynów”: „W tej monarchii — odparł hrabia Chojnicki, najstarszy z naszej paczki — nie ma rzeczy dziwnych. Oczywiście, gdyby nie te nasze rządowe matolki, wszystko u nas byłoby normalne. Chcę powiedzieć, że to, co gdzie indziej uchodzi za dziwactwo, w Austro-Węgrzech jest rzeczą zwyczajną. Pragnę również nadmienić, że tylko w naszej zwirowanej Europie, pełnej narodowościowych państw i nacjonalizmów, dziwnymi wydają się rzeczy zwyczajne. Oczywiście, że tylko Słoweńcy oraz galicyjscy Polacy i Rusini, tylko chałaciarze z Borysławia i handlarze koni z Baczki, tylko muzułmanie z Sarajewa i sprzedawcy pieczonych kasztanów śpiewają jeszcze Boże wspieraj cesarza. Bo niemieccy studenci z Brna i Chebu, dentyści i aptekarze, czeladnicy fryzjerscy i artyści-fotografowie z Linzu, Grazu i Knittelfeldu, wszyscy ci wołowaci Alpejczycy śpiewają *Wacht am Rhein*. Zobaczycie, panowie, że ta wierność Nibelungów zgubi Austrię. Istotę Austrii stanowią jej peryferia, a nie centrum”.

Trafna to diagnoza. Wkrótce już centrum zaczynało przypominać wyspę wśród powodzi. Zegar historii wybił czas ostateczny

dla istnienia osobliwego stopu wiernych obrzeży z nieczułym, zadufanym w swej wielkości centrum.

W takiej atmosferze rósł i kształtował się młody Józef Roth, a Brody, ten styk Austro-Węgier i Rosji, różnym podlegały prądom. Wszak z głębi Rosji ponure docierały wieści, kwitł przemysłniczy proceder i w przygranicznych leśnych karczmach gromadzili się uciekinierzy, chłopcy zbiegowie przed żołdacką wieloletnią służbą, Żydzi pragnący dotrzeć do Ameryki i wreszcie polityczni, ludzie o płonących, fanatycznych oczach, wynędziali po latach katorgi, twierdz i zsyłek, bojownicy o sprawiedliwy porządek świata. Może właśnie przez te graniczne Brody Roth stał się pisarzem tak bardzo uczulonym na proces agonii, zmierzchu.

Wiedeń i Petersburg. Z jednej strony łagodna płochota i niefrasobliwość utracjusza, z drugiej zaś strony mroźne powiewy carskiego porządku i odgłosy groźnego wrzenia poddanych. Równocześnie czytał zapewne mnóstwo książek. Młody, wrażliwy chłopak musiał pochłaniać dzieła klasyków, poezje, zachwalane nowości. W tych odległych zabitych deskami Brodach znajdowała się księgarnia Jakuba Westa, wydawcy arcydzieł literatury światowej i polskiej. W witrynie jego księgarni także widniały książki w języku niemieckim.

Te Brody Rotha!... Zdeastrowane podczas wojny 20-go roku w trakcie walk konnicy Budionnego z polskim wojskiem. Miaszeczo kilku narodowości, religii, kultur, języków. Józef Roth mówił i pisał po polsku, znał mowę ruskich chłopów z okolicy, język sąsiadów zza granicy, na pewno jidisz; jego narzędziem pisarskim został język niemiecki. Rozpoczął studia we Lwowie, przeniósł się do Wiednia, przyjaźnił się z polskim pisarzem Józefem Wittlinem, późniejszym tłumaczem jego powieści. Z Wiednia ruszył wraz z Józefem Wittlinem na front, przeżył upadek monarchii. Przyjaźń dwóch pisarzy przetrwała lata i kiedy Roth opuścił Austrię przed *Anschluss*'em, na początku swej wędrówki zatrzymał się u Wittlina we Lwowie, pierwszym wielkim mieście małego chłopca z prowincjonalnych Brodów.

Po pierwszej wojnie światowej żył i pisał w Wiedniu, podróżował jako dziennikarz po wielu miastach Europy. Prowadził tryb życia wędrowny, nie zagrzewając nigdzie zbyt długo miejsca. Domem jego były wciąż zmieniające się pokoje hotelowe. Stał się pisarzem przeszłości, bardem schyłku c.k. monarchii. Aż do końca swego życia. Jak ten polski hrabia z opowiadania wspomnianego na początku szkicu, który wznosił pomnik cesarza w swojej posiadłości i pozostał wiernym strażnikiem umarłej przeszłości.



W twórczości Rotha najbardziej zajmuje mnie „Fałszywa waga”, opowieść o małym miasteczku ze wschodnich krańców monarchii, gdzie pociąg przyjeżdża rzadko i wysiada zeń niewielu podróżnych. Najczęściej do niej powracam. Opowieść ta od pierwszych zdań brzmi jak melancholijna elegia o świecie jeszcze żyjącym, lecz już naznaczonym wewnętrznym piętnem rozkładu. Śmiercią u schyłku dnia. To przeczucie zawarte jest w melodyjnej kadencji zdań, w zamglonym choć realistycznym opisie wydarzeń. Tak zamglonym, że prawie nierzeczywistym. Już przechodzącym w niebyt. Ludzie, ich czynności, przedmioty, pejzaż widzimy jak przez mgłę; spowija ona i odrealnia wszystko.

Jednak Roth jest realistą, mocno trzyma się ziemi, pieczołowicie opisuje szczegóły i dba o gęstą, plastyczną osnowę swej prozy. Smutek tej melancholijnej opowieści jest zaraźliwy. Od pierwszej stronicy „Fałszywej wagi” jesteśmy w jej kadzidlany władaniu. Do przygranicznego miasteczka przyjeżdża wraz z żoną pewien urzędnik, ażeby objąć odpowiedzialne stanowisko cechmistrza. Pan Anzelm Eibenschütz. Jest byłym podoficerem, zwolnił się z wojska i otrzymał posadę w tym miasteczku, jakby na końcu świata. Pierwotnie liczył na pracę gdzieś w rodzinnych stronach na Morawach, w wesołej, bogatej krainie. Stało się jednak inaczej. Fabuła rozwija się na pozór banalnie, są to dzieje przeciętności, niewydarzonych zamiarów, nieudanego małżeństwa i przygnębienia. Takich historii w literaturze wiele. Jednak czarodziejska uroda prozy Rotha czyni z każdego, najbardziej zwyczajnego zdarzenia zjawisko podszyte tajemnicą, głęboko skrytym sensem. Pana Anzelma Eibenschütza zdradza żona, przynajmniej ma on dosyć uzasadnione podejrzenie poparte anonimowymi listami. Wybrańcem serca znudzonej i niezbyt czule przez męża traktowanej kobiety zostaje kancelista miejscowego urzędu Józef Nowak, młodzieniec przystojny, choć pospolity, typ prowincjonalnego uwodziciela. Znowu nic szczególnego, rozpoczyna się historia zdradzonego męża, zranionej męskiej dumy i ambicji. Pan Anzelm czuje się bowiem przede wszystkim głęboko dotknięty i ośmieszony; oto jakiś gminny fircyk zdobył względy jego żony. Czy kochał swą żonę? Jest jedno charakterystyczne zdanie w książce na ten temat: „Bardzo był samotny pan cechmistrz. Samotny i w nocy, i we dnie”. Po prostu służąc w garnizonie pewnego dnia postanowił się ożenić i znalazła się akurat młoda, powabna panna, która zdecydowała podobnie jak on. Tyle tylko. Między małżonkami rozpoczyna się stan milczącej separacji i choć wkrótce nie ma już kancelisty, oni są nadal wobec siebie dalecy, obcy. Brzydka, nudna atmosfera miasteczka jeszcze bardziej przygnębia pana Anzelma, otaczająca go obcość, żydowska biedota

(mimo swego pochodzenia nie poczuwa się do żadnej więzi z Żydami, jest katolikiem, austriackim urzędnikiem przede wszystkim), błotnisty rynek, podejrzone indywidua, ciemne interesy, pijaństwo i karty jako jedyna rozrywka miejscowej elity — oto ciasny krąg bez żadnych horyzontów, i w pobliżu granica zamykająca obszar c.k. monarchii.

Pan Anzelm coraz częściej rozmyśla o swoim nijakim, monotonnym życiu i energia życiowa, która go cechowała jeszcze do niedawna, wycieka z niego jak z dziurawego naczynia. Apatia, nostalgia, jałowe wieczory w domu, błagalne spojrzenia udręczonej żony, jej odmienny stan, oczekiwanie na dziecko, które — jak podejrzewa — będzie dzieckiem jej kochanka. Powinności służbowe zmuszają go do podróży po okolicy, jeździ kolaską ze starym, zapijaczonym wachmistrzem o słowiańskim nazwisku. Coraz częściej celem tych wypraw była odległa, przygraniczna karczma podejrzanej renomy, której właścicielem jest Lejbuś Jadłowker. Tam dokonują się jakieś szeptane transakcje, przemyt, może coś więcej. Lejbuś Jadłowker ma opinię człowieka groźnego i bezwzględnego, krążą różne opowieści o posmaku kryminalnym związane z jego osobą. Gości on pana Anzelma z pokorą, zabarwioną kpiącą pobłażliwością silnego, zdecydowanego na wszystko osobnika. Bada i ocenia zamiary swego wroga. Z tytułu służbowego zajęcia pan Anzelm Eibenschütz stanowi przecież groźbę dla jego działalności. W ciemnym plugawym wnętrzu tego szynku popijają okowitę ruscy chłopci, handlarze, przemytnicy, często także ludzie z tamtej, rosyjskiej strony. Trawiony nostalgią, zranioną ambicją zdradzonego męża, czymś jeszcze, z czego trudno mu zdać sobie sprawę, może poczuciem nieudanego życia, pan Anzelm zaczyna gustować w wieczornych posiedzeniach w przygranicznej karczmie. Nagłego olśnienia doznaje na widok pięknej, egzotycznej Eufemii Nikicz. Pojawia się ona nagle, schodząc z piętra tego domostwa. Ta emanująca zmysłową, amoralną urodą i wdziękiem kobieta mieszka w karczmie, dzieląc swe ciało między Lejbusia i Cygana Sameszkiną, sprzedawcę pieczonych kasztanów, który wędruje po świecie i zawsze powraca tutaj wraz z pierwszym śniegiem. Atmosfera gęstnieje, uroda pięknej Eufemii poraża pana Anzelma, zagubionego i samotnego w tym obcym, dzikim zakątku.

I tak powolnie, bez szczególnie gwałtownych wydarzeń snuje się opowieść o ludzkiej, pełnej bólu i smutku egzystencji. Pan Anzelm Eibenschütz zaczyna gwałtownie pożądać Eufemii Nikicz. Zdobywa ją wreszcie. Lecz nie jest to zdobycz ostateczna i nieodwołalna, nie ma znamion męskiej satysfakcji wyłącznego posiadania kobiety. Nieprzenikniona Eufemia Nikicz zdaje się tak samo

szafować swym ciałem wobec innych, być może Lejbuś Jadłowker używa jej jako kuszącego narzędzia w swych interesach. Wobec pana Anzelma bywa niekiedy czuła i oddana, to znów obojętna i ordynarna. Obdarza go pieśszcztami lub odpycha jak uprzykrzonego natręta. W tym kołowrocie namiętności, oczekiwań, spełnienia i niespełnienia, pojawia się czasem smagły Cygan Sameszkin, który traktuje pana Anzelma przyjaźnie i z pokorą. Pan Anzelm staje się regularnym bywalcem karczmy Lejbusia Jadłowkera. Zaniedbuje do reszty swą nieszczęsną żonę, jej skargi i próby przeprosin przyjmuje głuchym milczeniem, marzy o dalekiej i zarazem tak bliskiej Eufemii Nikicz, równocześnie ma świadomość, iż wdał się w nieczystą sprawę. Rozterkę topi w smrodliwej, palącej okowicie, którą raczy go gościnnie Lejbuś Jadłowker. W rzadkich chwilach jasności umysłu widzi rzecz całą we właściwych wymiarach. Nie jest to przecież miłość, to ślepe uniesienia żądz, które gnają go do nieokrzesej, rozwiązłej kobiety. Bywa tak, że wraca szczęśliwy, obdarzony jej tajemniczym uśmiechem lub przenikającym jak prąd dotykiem. Ale zdarza się i tak, że podąża leśną drogą zamroczony alkoholem, wspominając jej dalekie, obojętne spojrzenie lub żarliwe pieśszcztoty, którymi obdarowywała swego Cygana, powracającego nieoczekiwanie z dalekiej podróży. Pan Anzelm zapomniiał już zupełnie o swym martwym domu, gdzie w sypialni usycha z goryczy odtrącona żona i baraszkuje dziecko kancelisty Józefa Nowaka. Nic go z tym domem nie łączy. Niekiedy jeszcze próbuje opędzić się od niezdrowych, trujących miazmatów, których źródłem jest przygraniczna karczma. Próbuje być rozsądnym i silnym człowiekiem. Takim człowiekiem był przecież do niedawna. Zapada jednak beznadziejny wieczór, wieczór samotności, chandry i smutku w zapomnianym przez Boga miasteczku. Wtedy musi koniecznie zaprząć konie do bryczki i jechać poprzez gęsty, posępny las, gdzie ukryta jest karczma Lejbusia Jadłowkera. Ze ślepym, fatalistycznym uporem dąży w odmęty. Wikła się coraz bardziej w sprawy karczmy, przysłowiowa fałszywa waga, którą posługuje się właściciel, nie jest mu obca; bada i ocenia odważanie towarów pod ciężkim, nieco drwiącym spojrzeniem karczmarza i milcząc aprobejuje proceder oszustw. Choć nie dzieje się to tak jednoznacznie i nieodwołalnie. Sprzeczne siły władają panem Anzelmem. Z nagłą zaczyna szaleć jako cechmistrz, stając się bezwzględnyim urzędnikiem. Rujnuje biednych handlarzy i jego twardego serca nie porusza żaden lament. Otacza go strach i nienawiść. Następuje przyspieszenie wydarzeń, wszystkie prowadzą do nieuchronnego, tragicznego finału. Pan Anzelm Eibenschütz popada w konflikt z Lejbusiem Jadłowkerem. Rozwścieczony karczmarz rzuca się

z nożem na wachmistrza żandarmów, asystującego panu cechmistrzowi w jego czynnościach służbowych. Areszt, więzienie; karczmę po Jadłowkerze obejmuje niejaki Kapturak, typ jeszcze bardziej podejrzany od poprzednika, śliski i obłudnie serdeczny. Dochodzi już do tego, że pan Anzelm często całe dnie i noce spędza w karczmie jako domownik pod nieobecność Cygana Sameszki. Łaknie pieśczoć Eufemii Nikicz jak pies. Pomaga jej w handlu i za nic ma utratę swego prestiżu. Głębia upadku, brak nadziei; jedynym remedium na zagłuszenie wypełniającej jego duszę udręki pozostaje pałaca, mocna okowita pod solony groch, tamtejszą zakąskę.

I jeszcze pragnę powiedzieć o piękności słowa Józefa Rotha, o tych delikatnych, pastelowych odcieniach jego prozy, pod którymi kryje się chaos czynów i pragnień, powodowanych instynktem, uczuciem, podświadomością, ślepym fatum. Wymykają się często prawdom rozumu postęпки pana Anzelma i Eufemii Nikicz, Lejbusia Jadłowkera i Cygana Sameszki oraz innych postaci występujących w tej balladzie. Balladą należy nazwać opowieść Józefa Rotha. Balladą o ludzkim samozniszczeniu, o naznaczonym śmiertelną chorobą świecie, do którego docierają głuche, narastające jak zbliżająca się kanonada odgłosy z dalekiego świata. Niezapomniana scena przybycia do karczmy uciekinierów z tamtej, wschodniej strony. Siedzą i leżą ciasno stłoczeni w izbie, patrzą tępo w dogasający ogień paleniska i czekają. Może przyszedł się wśród nich jakiś rewolucjonista, wywrotowiec? Przeniesie ukryty żar swej idei dalej na zachód?

Aż wreszcie ten zakątek c.k. monarchii nawiedza powódź, potem zaraza. Setkami mrą ludzie. Umiera dziecko, po nim żona pana Anzelma. On sam popada w coraz większą apatię. Smutny schyłek świata, ludzi, miłości, nadziei. Tylko leśna karczma kipi wzmożonym ruchem podejrzanych interesów, jak to zawsze bywa przed kataklizmem. Wróg pana Anzelma Lejbuś Jadłowker, który w międzyczasie uciekł z więzienia, pozornie umiera jako ofiara zarazy. W rzeczywistości przebywa w kryjówce u swego współnika Kapturaka, myśląc nieustannie o zemście, żeby wreszcie dopaść zniecka nieszczęsnego cechmistrza i razić go śmiertelnie kamieniem. Umiera pan Anzelm Eibenschütz. Nikt go nie żałuje, nikt nad nim nie płacze.

Opowieść kończy się odlotem wędrownego ptaka. Cygan Sameszkin spakował swój dobytek i na zawsze opuścił te strony. Eufemia Nikicz z nim iść nie chciała. Widziała już dla siebie nowe możliwości w przygranicznej karczmie. Czasy upadku bowiem dla takich istot jak ona są rajem obfitującym w najlepszy

zer. Oto Brody, z których wyczarował Józef Roth swą „Fałszywą wagę”. Brody jego dziecinnych i młodzieńczych wspomnień. Może była to waga, na której fałszywie zważone zostały losy ludzi i świata? I ta niesprawiedliwość stanowiła bodziec wędrówek pisarza w przeszłość. Wieczne poszukiwanie odpowiedzi na to jedno pytanie — dlaczego?

Teoretycznie rzecz biorąc dawna Austria, położona na skrzyżowaniu ras i kultur Wschodu i Zachodu, Północy i Południa — tak pisał Robert Musil w „Dziennikach” — miała dane po temu, żeby stać się początkiem, modelem wspólnoty różnych narodów, ale w praktyce okazała się niezdolna do takiej roli, bo była anonimowym organizmem administracyjnym, formą bez treści, tworem bez centralnego ośrodka woli i idei i nawet bez własnej kultury¹.

Może o tej straconej szansie myślał Józef Roth? Jego „Fałszywa waga”, napisana w późnych latach trzydziestych, stanowi requiem dla c.k. monarchii. Jest w niej coś z legendy o Atlantydzie, która zapadając się powoli, znika wreszcie ostatecznie. Pozostaje tylko pamięć. Strażnikiem tej pamięci stał się Józef Roth. Nieustannie wskrzeszał tamto życie w swoich powieściach i opowiadaniach. „Marsz Radetzky’ego” — historia słoweńskiego rodu Trottów, nobilitowanego z powodu wojennych zasług jednego z protoplastów, mężnego żołnierza w bitwie pod Solferino; późniejsza dekadencja rodu, zatrata życiowej energii, co najpełniej objawia się w losach ostatnich potomków. „Hotel Savoy” — wracają żołnierze c.k. armii z frontów. Skończyła się już wojna. Skończyła się już monarchia. Skończył się ostatecznie dawny porządek świata. Jeszcze „Krypta kapucynów”, powieść w nastroju jak modlitwa żałobna, opisująca zgon monarchii i jej cienie blakające się później po Wiedniu, stolicy małej Austrii, sięgająca w czasie aż po wkroczenie do Wiedna ludzi w brunatnych koszulach, ozdobionych złowróżbną swastyką. I jak memento dla potomności brzmią słowa z „Krypty kapucynów”, przedstawiające stan ducha jej bohatera na chwilę przed pierwszą wojną światową:

„Przedemną ścieliło się wielkie życie niby wielobarwna łąka, która kończyła się gdzieś bardzo daleko, na ledwo dostrzegalnych krańcach widnokręgu. Obracałem się w wesołej nieposkromionej kompanii młodych arystokratów, a więc w sferze paniczów, którzy w starej monarchii obok artystów stanowili dla mnie najmielsze towarzystwo. Łączyła mnie z nimi sceptyczna lekkomyślność, me-

1. Streszczam wywód z dzienników Musila podany przez Egona Naganowskiego w jego książce „Podróż bez końca”.

lancholijny cynizm, grzeszne niedbalstwo, wyniosła dekadencja, słowem wszystkie cechy upadku. Upadku, którego nadejścia w owym czasie jeszcześmy nie przeczuwali. Ponad kielichami, z których piliśmy tego i zuchwale, niewidzialna śmierć już krzyżowała swoje kościste ręce. Klęliśmy zdrowo, nawet bluźniliśmy, i to bez żadnych skrępow. Samotny i zgrzybiały, daleki i jak gdyby znieruchomiasty, a jednak nam wszystkim tak bliski i wszędzie, w całym tym pstym państwie zawsze przytomny — żył i panował stary cesarz Franciszek Józef. Może w najtajniejszych głębinach naszych dusz leżała uśpiona owa podświadomość zwana przecuciem, świadomość, że stary cesarz umiera z każdym dniem swego życia. Im dłużej żył, tym dłużej trwało to jego umieranie, a wraz z cesarzem ginęła monarchia, nie tyle ojczyzna nasza, ile państwo”.

Józef Roth zmarł w paryskim hoteliku w 1939 roku, zmęczony tułaczką, nadużywaniem alkoholu i być może utratą wiary w lepszą przyszłość świata.



W roku 1977 znalazłem się w Wiedniu. Pensjonat „Alt-Wien” znajdował się blisko Grabenu na cichej uliczce Spiegelgasse. Meble w pokoju na pewno musiały pamiętać czasy Franciszka Józefa. Mała brązowa komódka gustownie intarsjowana czerwonym drzewem. Obszerne małżeńskie łóżko z metalowymi gałkami wieńczącymi wezłowie. Ovalne lustro w złożonych ramach. Wszystko to było nadwerżone zębem czasu, popękane, poobłupywane i stoczone przez korniki; z podziurawionego drzewa sypał się żółty pył.

Widok z okna miałem na wyniosłe wieże katedry Św. Stefana. Śniadanie jadłem w ciemnej jadalni, serwowano tam bułeczki i kawę ze śmietanką. W recepcji urzędowała siwa staruszka o wytwornych manierach, mówiła biegle kilkoma językami i równie biegle robiła coś z wełny na drutach.

Samotnie spędzałem ten czas złotej jesieni, zwiedzając Hofburg, pałace hr. Wilczka i książąt Lichtensteinów na Herrengasse, spacerując Ringiem lub patrząc z kamiennego nabrzeża, zwanego Promenadą Elżbiety, na brunatną wodę Dunaju. Zmęczony włóczęgą robiłem przypadkowe popasy i ze smakiem zjadałem struclę w secesyjnych kawiarniach, gdzie krzeselka miały fantazyjnie wygięte nóżki i oparcia, stoliki zaś opatrzone były płytami ze sztucznego marmuru. Siadywali tam bywalcy, grając w szachy i przeglądając gazety umocowane na kijkach. Zaglądałem w bramy dostojnych, mieszczańskich kamienic, czytałem listy lokato-

rów z licznymi nazwiskami o brzmieniu słowiańskim, węgierskim, nawet orientalnym. Szukałem domu, w którym mieszkał polski dramaturg Tadeusz Rittner, autor „Głupiego Jakuba”. Po pierwszej wojnie światowej w Wiedniu już pozostał i umarł. Przy tej okazji myślałem także o drugim naszym wiedeńczyku, Aleksandrze Chłędowskim, pamiętnikarzu schyłku c.k. monarchii, ministrze do spraw Galicji, koneserze sztuki i podróżniku, którego książki z dziejów włoskiego renesansu dotychczas cieszą się nie-małą popularnością.

Kilka razy przekroczyłem Dunaj i ulicą Taborstrasse docho-dziłem do Prateru. Patrzyłem na wirujące karuzele, dziecięce pociągi, gabinety osobliwości i beczki śmiechu.

Wieczorem najchętniej snułem się na chybił trafił starymi ulicami i zaułkami. Słyszałem swoje kroki na chodniku. Wiedeń nie był zbyt żywy nocą, wcześniej zasypiał.

Tak blakając się i patrząc w czarne okna domów, myślałem często o minionej atmosferze, która wydała wielkich pisarzy nowoczesnych. Franz Kafka, Hermann Broch, Robert Musil, Rainer Maria Rilke. Wszyscy oni czerpali z tego samego źródła.

Gdzie może znajdować się kamienica, w której mieszkał Robert Musil? Zapamiętałem jej widok i okna mieszkania pisarza na drugim piętrze z fotografii zamieszczonej w książce Egona Naganowskiego o twórcy „Człowieka bez właściwości”.

Gdzie są te kawiarnie, w których zbierała się wiedeńska bohema, „Museum Café”, „Café Zentral”, rej tam na pewno wodził słynny aforysta i dziennikarz Karl Kraus, chyba po pierwszej wojnie zachodził tu również młody Arthur Koestler, późniejszy autor słynnej „Ciemności w południe”?

Po dziesięciu dniach zakończyłem ów krótki rekonesans dla konfrontacji swoich myśli i wyobrażeń o c.k. monarchii z tym, co po niej zostało.

PAN JULIAN WOŁOSZYNOWSKI

Twarz miał pociągłą, ptasią, czarne oczy jak połyskliwe kamyki za okularami i szpakowate, gładko przyczesane włosy. Był wysoki, szczupły, ubierał się ze schludną, staromodną elegancją. Marynarka z solidnego, dawnego sukna już nieco wytarta, jednak odprasowana, czysta, kanty spodni nienagannie ostre, nade wszystko zaś zwracały uwagę jego wyczyszczone do lustrzanego połysku półbuty. Chodził lekko i prosto, choć podpierał się bambusową laską. Dużo spacerował, zawsze sam. Był powściągliwy i grzeczny. Trzymał się osobno. Spotykaliśmy się przypadkiem i wymienialiśmy kilka zdawkowych zdań. Kłaniał się uprzejmie i nieraz wyprzedzał mnie ukłonem, co trochę żenowało ze względu na jego wiek.

Wiedziałem przede wszystkim o jego wielkiej miłości do Marii Dulęby, którą poślubił jako kobietę znacznie od siebie starszą i pozostał czułym, kochającym mężem aż do jej śmierci. Słyszałem też, choć nie czytałem, o jego twórczości poetyckiej i prozatorskiej. Zaczynał bardzo dawno temu, bodajże pierwszy wiersz drukował w Kijowie podczas pierwszej wojny światowej. Później pisał poezje. Posiadałem jeden jego tomik w szarej, surowej okładce z czarnymi literami tytułu „Okulary”, wydany przez Gebethnera i Wolffa w roku 1926, kupiony z ciekawości dla starych druków w antykwariacie. W międzywojennym dwudziestolecu znane były jego powieści: „O Twardowskim, synu ziemianki, obywatelu piekieł, dziś księżycowym lokatorze”, „Słowacki”, „Rok 1863”, także beletryzowana gawęda z dziejów Polski od pogańskich Słowian, Piastów i Jagiellonów po czasy najnowsze pt. „Było tak”. Jarosław Iwaszkiewicza w swoich wspomnieniach opisywał jego młodzińczy debiut sceniczny w kijowskim teatrze Stanisławy Wysockiej. Określił go tam jako pięknego,

romantycznego młodzieńca. Rodem był z Kresów. Z dalekiej Ukrainy. Dwór w Serbach — to jego gniazdo rodzinne. Humań, Mohylów, Winnica, Żytomierz, Płosków, Chersoń i inne dalekie obce dla mnie strony i miasta, to był kraj jego lat dziecińczych i młodzieńczych. Tyle o nim wiedziałem. Wydawał mi się człowiekiem i pisarzem dawnego czasu, który bezpowrotnie minął. Czarnym owadem zastygłym w bursztynie.

W kręgach literackich z pewnym ożywieniem mówiono jedynie o jego wielkiej miłości do Marii Dulęby, o kulcie jej pamięci, któremu się poświęcił, kolekcjonując z niezwykłą pieczołowitością recenzje, fotografie kreacji scenicznych tej wybitnej aktorki i pięknej kobiety; wiernie też dedykował jej swoje utwory, używając osobliwej dla mnie formy: Pamięci mej żony Marii Dulęba, a nie, jakby się zdawało — Marii Dulęby.

Nigdy bliżej się z nim nie zetknąłem. Po prostu nie znajdował się w kręgu moich zainteresowań. Odległy, anachroniczny przedstawiciel dawnych pisarzy.

Dopiero cykl „Opowiadań podolskich” zapoczątkował moją przygodę literacką ze starym panem Julianem Wołoszynowskim, żywą do dzisiaj, objawiającą się w wielokrotnej potrzebie lektury tych opowiadań.

Niewielki był ten pierwszy tom. Drugi jeszcze mniejszy. Wydane zostały w latach sześćdziesiątych. Zabierałem się do czytania bez szczególnej ciekawości, raczej z osobistego zainteresowania tym zagadkowym, starym panem.

„Opowiadania podolskie” wywodziły się z bardzo odległego czasu i ze stron tak dalekich. Z Podola, już od I-go zaboru znajdującego się w granicach rosyjskiego imperium. Metropolią tych ziem był Kijów, a miasteczka rozrzucone w stepach i jarach, nad Dnieprem i jego dopływami, przechowywały w swej pamięci siczowych Kozaków, atamanów Doroszeńkę, Nalewajkę i Słobodę, hajdamackie bunty Żelaźniaka i Gonty, rzeź humańską i czasy konfederatów barskich. W tej odkrytej przeze mnie przypadkiem prozie tamte wydarzenia, fakty i legendy, ludzie historyczni i bajeczni, dawno nie żyjący i ci współcześni pisarzowi, wszystko to stapiało się w jedną, osobliwą całość, tak bliskie i żywe, jakby działo się dopiero wczoraj, opisane z realistyczną, namacalną wiernością.

Była to stepowa, czarnoziemna kraina dworów, zajazdów i chutorów rozrzuconych z rzadka po bezdrożach, brodatych arendarzy, zawadiackich bałagunów, ścigających się dwukółkami, zaprzężonymi w śmigłe rysaki, czumaków ciągnących swymi skrzypiącymi wozami po sól i wędzoną rybę nad dalekie morze.

I nie była to proza historyczna, która odtwarza minione, dając twórcy urojoną władzę nad przeszłością. Ta proza żyła osobowością pisarza, jego wspomnieniami, tym co zobaczył i usłyszał jako dziecko, wyczytał w starych bibliotekach kresowych dworów, przechował w pamięci z bająn starych nianiek i ślepych lirników, co prowadzeni przez wyrostków, wędrowali od dworu do dworu, od jarmarku do jarmarku, snując te rzewne dumki ruskiego ludu, opiewające dzieje Siczy Zaporoskiej, konnych wypraw na turecką stronę do paszalików Dobrudży i Rumelii, piracką żeglugę czajkami przez porohy Dniepru po bogactwa padyszachów i krymskich Girejów.

Pejzaż równie ściśle komponował się z tą prozą odległego czasu i przestrzeni. Rozprażone słońcem stepy, burzany, osty i bodiaki, kruki pod niebieskim niebem, dym z ognisk pastuchów wypasujących tabuny koni, starożytne kurhany widoczne na tej wielkiej równinie, jary ze schowanymi wśród wiśniowych sadów chałupami o trzciniowych strzechach, karczmy na rozstajnych drogach, samotne krzyże znaczące mogiły bohaterów, rozbójników i udreńczonych ciężarem życia samobójców. Upalne lata, ostre zimy. Oto Mohylów zasypyany śniegiem, księgarnia polskiego szlachy o dźwięcznym, hiszpańskim nazwisku, bezruch i nuda zagubionej miejsciny, oczekiwanie na pocztę z dalekiego świata — przeklęty kraj — powtarza księgarz, wywodząc nazwę miasteczka od Mohyły czyli mogiły i słowa te nie są tylko wyrazem chwilowego nastroju, odnoszą się do całej historii i losów tych ziem, ich spletanego tragizmu, który zaprzęta myśli i uczucia pisarza. Patrzają więc ludzie tamtejsi przez okna kawiarni „François” na pokryty śniegiem świat i gwarzą o dawnym i niedawnym, co zawiązało się w jeden węzeł, pamiętają równie żywo dni wczorajsze jak czasy bardzo odległe, przeszłość jawi się im jako kolejne powtórzenie zakończonego cyklu. Pijany, buńczuczny woźnica Iwaś pędzi bezdrożami i osaczają go wilki, wilkołaki, realne i nierealne stwory, a jego zwłoki odnajduje o świcie wiejski przygłupek, wiedziony niepojętym nakazem. Ogromne dwory z przybudówkami, dobudowanymi przez pokolenia, gdzie po skrzypiących, woskowanych parkietach tańczą hoże panny z kawalerami w rytm karnawałowej muzyki; domostwa zapadłe ze starości, w których panuje głucha, martwa cisza i tylko siedzą tam i dumają samotni wdowcy, kawalerowie, dziwacy, siedzą tak w przestronnych gabinetach, pełnych książek oprawnych w półskórek, patrzą na dopalające się drwa na palenisku kominka i machinalnie głaszczą łby wierznych legawców, podrzemujących w cieple ognia. Wyprawy do Kijowa, wspomnienia ze szkół i pensji, spacer po eleganckim Kreszczatiku, wyprawy parostatkiem na rzeczne wyspy, widok

tej dzielnicy nad Dnieprem zwanej Padołem, dźwięki dzwonów cerkiewnych i kościelnych, zbożowe kontrakty, miłosne zaklęcia, nieudane mariaże, czarnobrewa Ukrainki o licach jak krew z mlekiem, krwawe zwady, boskie zrządzzenia losu... Tak niezauważalnie ogarnęła jak stepowy piołun i inne wonne zioła atmosfera tych krótkich, najwyższej kilkunastostronnicowych opowiadań, pisanych przez pana Juliana Wołoszynowskiego już w wieku siedemdziesięciu bez mała lat.

Najbardziej sugestywną właściwością tej prozy jest osobliwy stop nierzeczywistego z rzeczywistym, historycznego z teraźniejszym. Świat przeczuć i widziadeł sennych, wywodzących się z podświadomości, pamięci przodków, magicznej przeszłości tej ziemi wędrowek ludów, zboczzonej krwią wielu wojen i buntów. Śmierć, której pierwszym objawem jest brunatne znamię, pojawiające się na twarzy starego samotnika, oddającego się poranym ablucjom i oglądającego się w lustrze; ta śmierć ukryta nieuchronnie w brunatnym znamieniu, mającym kształt czarciego znaku, które wreszcie ścina brzytwą, pragnąc zakończyć udrękę swego życia. Pan z Bahwy, obdarzony duszą wilka wraca nocą z jarmarku, a ze wszystkich stron zbliżają się ku niemu wilki z czerwonymi oczyma, jego bracia. Młoda dziewczyna wybiera się do lasu na grzyby i spotyka niedźwiedzia, niedźwiedź mówi ludzkim głosem, jakieś ludzkie życie jest w nim zakłęte, ta osobliwość nie dziwi dziewczyny i innych świadków tego zdarzenia. Świat tych przeczuć, widziadeł i guseł, przechodzenie zdarzeń realnych w baśniowe lub odwrotnie — brał zapewne swój początek z samotnych, zimowych wieczorów w starych, zapadłych w ziemię dworach, kiedy skrzypi podłoga, jęczy coś i kwili na strychu, portrety sarmackich antenatów rodu pokazują się ze ścian, to znowu znikają w świetle dopalających się świec podczas nocnych rozmyślań przy wtórze wichury za oknem i wycia zgłodniałych wilków w śnieżnych pustaciach. Co się wtedy legło w głowach? O czym rozmyślali ludzie? Co wyobrażał sobie mały chłopiec, kołysany do snu smętną piosenką przez starą piastunkę? Ile reminiscencji z doświadczeń własnych i przekazywanych kształtowało tę świadomość?

Zagadkowa opowieść pt. „Demon secesji” o kaukaskim książtku, które okazuje się z pochodzenia Polakiem (ojciec konfederat barski, zesłany do aresztanckich rot, założył swój ród w górach Dagestanu, Czeczni, tam gdzieś), jego miłość — nie miłość do pięknej Tatiany; czyżby on polskim mścicielem, abrekiem, fanatycznym mordercą, szalonym wojownikiem, którego treścią życia stało się mordowanie niewiernych (w przypadku księcia polska krew z Podola czyni go mścicielem krzywd narodu, za-

kutego przez cara w kajdany). Czyż ta piękna, niewinna Rosjanka ma być jego ofiarą?

Emanuje z tego opowiadania duszna, perfumowana atmosfera dekadencji, secesji, upadku świta, co zostaje zanotowane w *post scriptum*: „działo się w 1918 roku, w przededniu wojny i rewolucji, kiedy na scenach i estradach, w kabaretach i restauracjach całej Rosji królowały piosenki Pierrota-Wiertńskiego: Liliowy Negr, Jedna chwilka i Twoje palce pachną kadzidłem”.

Znajduje się w „Opowiadaniach podolskich” bogactwo wątków i klechd i legend chłopskiej, ruskiej kultury, zło i dobro, moc szlachetna i siła nieczysta toczą ze sobą nieustanną walkę, ludzie częstokroć poruszają się jak w ciemności i wokół czyhają na nich szkaradne wijuny czy pozornie dobroduszne *didko*, diabelski wysłannik.

Równocześnie historia odgrywa tu niebagatelną rolę. Historia tak żywa i wszechobecna w pamięci Juliana Wołoszynowskiego. Dzieje tych ziem naznaczone piętnem kozackich buntów, potyczek konfederatów barskich z carskimi jegrami, Targowicy, patriotów i zdrajców, którzy ginęli w bratobójczych zmaganiach. Zagubione te dzieje w płaskim bezkresie, owianym wiatrami z Morza Kaspijskiego i gór Kaukazu; Orient także tu bliski, oswojony, przez te ziemie biegły szlaki kupców ormiańskich, pędziły tatarskie czambuły krymskiej Ordy, niektórzy z mirzów czy bejów pozostawali tutaj na stałe, za zasługi dla nowej ojczyzny zostawali uszlachceni, stając się sarmackimi szlagonami z podgolonym czubem i śmiesznymi wąsiskami. Twierdza w Kamieńcu Podolskim, „antemurale chrześcijaństwa”, broniła tych ziem przed zakusami Porty Otomańskiej; jeszcze młody pan Julian widywać musiał minarety opuszczonego meczetu w tym mieście, otoczonym pętlą Smotrycza, dopływu Dniestru.

Niebywałą siłę sugestii i umiejętność pięknego wskrzeszania dawnego świata miało pióro pana Juliana Wołoszynowskiego, pisarza niegdyś pisującego poematy liryczne w późnej manierze młodopolskiej i autora powieści zdobnych w styl kwiecisty i wyszukany, dzisiaj już martwych. Tu natomiast, w „Prozie podolskiej”, stworzył kilkanaście opowiadań, stanowiących arcydzieła polskiej nowelistyki. Napisał ich tak niewiele, a tak bujny, przestronny jak ukraińskie stepy jest obszar jego prozy.

Pan Julian Wołoszynowski, samotny po śmierci swej żony, Marii Dulęby, zagubiony w nowym, obcym świecie Polski po drugiej wojnie światowej, przeniósł się w tamten czas swego dzieciństwa i młodości, tam bowiem czuł się najlepiej, stąpał pewnie po swojej czarnoziemnej ziemi, krążył wśród burzanów, wspinał

się na stepowe kurhany, śledził lot jastrzębi i kruków, z tego lotu coś dla siebie znaczącego odczytywać potrafił i podążał kolejnami czumackich taborów, rozgrzebywał wygasłe, spopielale ogniska ich postojów, słuchał dumek lirników i bandurzystów, zaprzęgał brykę w cugowe deresze i odwiedzał dawno nieistniejące dwory i sioła, zatrzymywał się w zajazdach, rozmawiał o życiu i śmierci, o sensie i bezsensie ze starymi, mądrymi Żydami, w Mohylowie zachodził do księgarni pana Piotra de Castro di Medina Coeli, prenumerował u niego literackie nowości sprowadzane z Galicji, Paryża i Petersburga, tomiki francuskich poetów, rosyjskich powieściopisarzy, obaj wspominali zaloty tłustego pana Honoriusza Balzaka do pani Eweliny Hańskiej; wieczorem zaś wracał do swego pustego, pełnego wspomnień dworu rodzinnego w Serbach i nadal słuchał dalekich, stepowych głosów, bezsennymi nocami rozmawiał z dawno umarłymi ludźmi, kozackim pułkownikiem Neczajem, księdzem Markiem, Kazimierzem Pułaskim, tajemniczym księciem z Kaukazu, wiernym stajennym Hryciem czy Stiepanem, może przypominała mu się jakaś hoża młodyca, z którą niedługo w kopicy wonnego, świeżo skoszonego siana...

Cytatę z jednego opowiadania można potraktować jako osobiste wyznanie pisarza: „Zdawało się im obojgu, że są zakopani w wysokim, kresowym kurhanie na pograniczu Dzikich Pól, i śpią teraz oboje wiecznym snem od setek lat, choć nie umarli. Przebiegają po ich mogile zarośniętej bujną, stepową trawą, bediakami, burzanem i czarnomorskim piołunem, konie scytyjskie i sarmackie, tatarskie i tureckie, kozackie i polsko-litewskie. A na koniach tych siedzą ludzie, którzy już dawno pomarli i rozsypali się w proch, gdy oni dwoje — jak w letargu — umarli tylko pozorną śmiercią”.

Dlatego taki obcy i samotny, podpierając się bambusową laską, w pedantycznie wyczyszczonych butach (w czasie pluchy i deszczu osłoniętych getrami) wysoki i szczupły spacerował nieobecny po Warszawie lat sześćdziesiątych XX wieku.

Oczywa wyobraźni widziałem jego warszawskie mieszkanie, zagracone, opuszczone, pełne pamiątek, bibelotów, dziwacznych przedmiotów, rozlatujących się mebli, dagerotypów przodków, gimnazjalnych kajetów z kaligrafii, oprawnych w safian albumów z wklejonymi zdjęciami kreacji Marii Dulęby, być może cudem uchowane roczniki starych pism, tych z Paryża i Petersburga. Widziałem tego starca chudego niby czarny ptak ze stepowego nieba, snującego się wśród tej przeszłości i czekałem niecierpliwie na kolejną jego książkę. W tym drugim i już ostatnim zbiorze opowiadań podolskich pt. „Przed wschodem księżyca” końcową część książki stanowią zapisy zdań, powiedzeń, przysłów, pio-

senek, pojedynczych słów, strzępy snów, zaklęć. Oto niektóre z nich:

„Nie płacz mamciu, nie płacz. Jak dorosnę to kupię mamci czerwoną sukienkę” („Dzieciństwo rewolucjonisty”);

„Jak ten niedźwiedź... Jeszcze chwileczkę pospać... jeszcze chwileczkę...”;

„Zmarłem jak sęp”;

„Przeżyło się trochę, widziało się to i owo... Jezus-Maria!”;

„Życie Kozaka — na starość — samotność lub samobójstwo”;

„Takich śliwek węgierki, jak nasze w Serbach, nigdzie już nie będzie”;

„Liliowa panienka”. „Jedna chwila”. „Motra, Sofija, Nastia”.

„Kijów. Przy ulicy Małej Włodzimierskiej”. „Diabły — to ci potępieni”. „Umarł — zadartł nogi”.

Czy to było tworzywo przyszłych jego opowiadań? Czy w jego wyobraźni pozostały tylko takie sygnały, słowa-fetysze, ewokujące jemu tylko wiadome ciągi skojarzeń i wspomnień z umarłego świata? Te zapisy są zbudowane ze zredukowanych do ostatecznej kondensacji słów, nieraz wyłania się z nich jakaś przepaść, czeluść, tragedia, rozpacz, jeszcze coś niewypowiedzianego, co męczy, dławi i nie da się wypowiedzieć.

Krąży mi uparcie po głowie epizod z jakiegoś pamiętnika z tamtych czasów i stron. Miał pewien chłop ukraiński nazwiskiem Ohij oswojonego zaskronca, ten wąż pił razem z jego dwuletnim synkiem mleko z jednej misy. Synek kochał węża. Przyjęty został na służbę do gospodarstwa parobek. Zobaczył węża i zatłukł go kijem. Dwuletni synek gospodarza odtąd tylko płakał i powtarzał: — Nie ma ptasia. Tak nazywał swego węża. Wkrótce umarł z tęsknoty.

Tajemnica śmierci dziecka kojarzy mi się z podolską prozą pana Juliana Wołoszynowskiego. Nie zdołałem nigdy porozmawiać z nim dłużej. Choć teraz po tylu latach wydaje mi się, że jego okrągłe czarne oczy jak wypolerowane w strumieniu kamyki, ukryte za okularami w chudej, ptasiej twarzy, nieraz zatrzymywały się na mnie nieco dłużej i jakby już za chwilę miała rozpocząć się długa rozmowa, która jednak nigdy się nie odbyła.

Julian Wołoszynowski umarł dziesięć lat temu i raz zdawało mi się, że widzę o zmierzchu przed sobą na samotnym spacerze wysokiego, szczupłego pana, lekko wspierającego się laską. Przyspieszyłem kroku. To było przywidzenie. Być może także magiczny wpływ tych jego osnutych księżycową poświatą „Opowiadań podolskich”.

FOLWARK ZWIERZĘCY GOGOLA

Swoich ludzi nie darzył Gogol sympatią. Mało są oni ludzcy, bardziej animalni. Próby poszukiwania w jego pisarstwie wyższej formacji człowieczeństwa są daremne. Nikogo z bohaterów nie obdarza taką łaską. W swoim widzeniu był niezwykle konsekwentny. Najciekawsze dla mnie jest to, że tak nędznego mniemania o człowieku był już od początku swojej twórczości. Dla udowodnienia tego zająłem się jednym z wcześniejszych opowiadań pisarza pt. „Opowieść o tym, jak pokłócił się Iwan Iwanowicz z Iwanem Nikiforowiczem”.

Opowiadanie jest opatrzone tytułem jak z dziecięcej czytanki. Jego akcja rozgrywa się w Mirgorodzie, małym, sennym miasteczku. Świat miasteczka został szczelnie zabity niby dębowa beczka; nic tutaj nie dociera z zewnątrz. W ciasnej społeczności dokonuje Gogol swej wiwisekcji, ozdobionej pozorami satyryczno-humorystycznej dobroduszości. Gra rolę pocziwca wyrozumiałe spoglądającego na ludzi. Ale już początek zwiastuje niespodzianki. Jacy to są ludzie? Czym się wyróżnia pierwszy z przedstawionych bohaterów? Wspaniała, kosztowną bekieszą. Podniosły, poetycki opis tej bekieszy na barankach popielatych ze szronem, brzmi jak parodia. Człowiek w tym opisie zanika pod bekieszą. Ona jedynie go wyróżnia. Następnie rozkosz jakiej doznaje bohater na widok swojej posiadłości, sadu pełnego drzew owocowych itp. Jego ulubione przysmaki. Lubi nade wszystko kawony. Spożywa ze smakiem, pesteczki wybiera starannie i odkłada na papier, żeby na tymże papierze poczynić dokładny zapis „kawon niniejszy został spożyty tego i tego dnia. Udział brał ten a ten”. Takim to stylem urzędowym rejestruje swoje łakomstwo. Jest wdowcem, ma służącą Hapkę i jej dzieci często biegają po jego podwórzu — dosyć przejrzysta aluzja na temat, kto jest

ich ojcem. Bohater zmarłą żonę zastąpił sobie służącą. Nabożnością cechuje się osobiście: chodzi co niedziela do cerkwi i bardzo ładnie zaciąga basem, wychodząc zaś z bożego przybytku udaje się na rozmowę z żebrakami, dopytuje czy są głodni, co by zjedli, lecz nie ma najmniejszego zamiaru obdarzyć ich jałmużną, kończy pogawrkę takimi oto słowami: „No, to idź z Bogiem. Czegóż tu sterczysz? Nie biję cię przecież?”. Ta nabożność i takie samo miłosierdzie wprowadzają nas w świat nieczuły, odczłowieczony. Charakterystyka wyglądu, trybu życia i upodobań bohaterów posiada znamiona opisu robaków, płazów, stworów raczej z rodzaju pozaludzkiego. Warto zacytować: „Iwan Iwanowicz jest szczupły i wzrostu wysokiego: Iwan Nikiforowicz jest nieco niższy, ale za to rozprzestrzenia się wszcz. Głowa Iwana Iwanowicza podobna jest do rzodkwi z ogonkiem w dół; głowa Nikiforowicza — do rzodkwi z ogonkiem w górę. Iwan Iwanowicz tylko po obiedzie leży w samej koszuli na ganku, pod wieczór wdziewa bekieszę i udaje się gdziekolwiek: albo do sklepu miejskiego, któremu dostarcza mąki, albo w pole łapać przepiórki. Iwan Nikiforowicz leży cały dzień na ganku, a gdy nie ma zbyt wielkiego skwaru, wystawia zazwyczaj plecy do słońca i nigdzie nie chce iść. Jeśli mu coś strzeli do głowy, przespaceruje się z rana po podwórzu, obejrzy gospodarstwo — i znowu odpoczywa”. Czytając ten opis ma się ochotę sięgnąć do podręcznika zoologii i porównać. Czy nie jest to typowa dla zwierząt rozkosz trawienia? Ten sam wniosek wyciągnąć można przeciw, przypatrując się domowym zwierzętom, psom, kotom. Nażarte wypoczywać mogą w nieskończoność. Identycznie wygląda tryb życia szanowanych powszechnie obywateli Mirgorodu. Jeden leży i nic, drugi leży i trochę chodzi. Jeden nie lubi jak mu mucha wpadnie do barszczu, bardzo się złości, może nawet cisnąć talerzem. Drugi lubi się kąpać, siedząc po szyję w wodzie każe wstawić do wody stół i samowar, popija ze smakiem herbatę. Obaj nie lubią pcheł i od Żyda kupują eliksir przeciw robactwu, nie zapominając go wyłajac uprzednio, że wyznaje wiarę żydowską. Jeszcze na okrasę parę cech fizycznych: jeden ma nos w kształcie dojrzalej śliwki, drugi usta, podobne do litery V. Gogolowskim zwierzętom nieobca jest także świadomość szczęścia; a więc uczucia wyższego rzędu, które wyraża się w następujących słowach: „Panie Boże mój, jakież to ze mnie gospodarz! Czegóż ja nie mam? Drób, wieprzki, śpichrze, wszelkie zachcianki, gorzałki i nalewki, w sadzie grusze i śliwy, w ogrodzie mak, kapusta, groch... Czego mi brak? Chciałbym wiedzieć, czego mi brak?”.

Bgniemy dalej w ciepłe, klaskające błoto tego chlewu, śledzimy szczęśliwe bytowanie. Jeden sąsiad zapragnął kupić od dru-

giego fuzję. Spostrzegł ją przypadkiem, wylegując się w cieniu i obserwując sąsiedzkie podwórze. Służąca wynosiła akurat rozmaite zapomniane przedmioty i odzież do przewietrzenia. Zapragnał bardzo tej fuzji. Może to jest odpowiedź na rozważania o szczęściu. Chciałbym wiedzieć, czego mi brak? Fuzji. Idzie więc pertraktować odnośnie nabycia tego przedmiotu do sąsiada i przyjaciela zarazem. Dialog, który następuje jest arcydziełem bełkotu i bzdury goniącej bzdurę, nicości podniesionej do potęgi.

Oto rozmowa przyjaciół:

— Cóż, wypoczywa pan?

— Wypoczywam. A pan, czy wypoczywa?

— Wypoczywałem.

— To pan dopiero wstał?

— Ja? Co też pan mówi? Jakże można spać tak długo. Dopiero co przyjechałem z futuro. Zboże wszędzie przepiękne, zachwycające! I siano wyrosnięte, miękkie, obfite. — Horpyna! — zawołał Iwan Nikiforowicz. — Przynieś panu wódki i pierogów ze śmietaną.

— Ładny mamy czas — rzekł Iwan Iwanowicz.

— Niech pan nie mówi. Diabli nadali! Nie ma się gdzie podziąć w tej spiekocie.

— Pan zawsze musi wspomnieć diabła. Policzą panu te bezbożne słowa na tamtym świecie, ale będzie już za późno. Zobacz pan.

— Czymże pana uraziłem, Iwanie Iwanowiczu? Przecież nie tknąłem ani ojca, ani matki pańskiej. Nie wiem, czym bym miał pana urazić.

— Nie ma o czym mówić”.

Nieśpiesznie toczy się pogwarka, dochodząc wreszcie do sedna, czyli fuzji. Od tego momentu dialog staje się bardziej dynamiczny, przybiera charakter targu. Przyjaciel proponuje przyjacielowi w zamian za fuzję burą świnie (ważną w dalszym toku akcji) i dorzuca dwa worki owsa. Aż wreszcie padają ze strony właściciela fuzji pamiętne słowa:

— „A z pana, mój panie, prawdziwy gąsior!”.

Od tego epitetu, od „gąsiora”, w Mirgorodzie wybuchł konflikt zagorzały; dwaj przyjaciele stają się śmiertelnymi wrogami. To jedno jedyne słowo spowodowało lawinę wydarzeń. Nikłość przyczyny konfliktu zastanawiająca. Jednak w nudzie i trawiennej beżmyślności opisywanej egzystencji nie dzieje się nic większego wymiaru i jak to we śnie bywa, nawet błahy powód zbudzić może nagle gnuśne, wyjątkowione umysły. To też należy do ciężaru gatunkowego zredukowanej egzystencji. Rozpoczyna się zaciekle

spór między sąsiadami. Dotychczasowa przyjaźń przeradza się w nienawiść. Motorem napędzającym to uczucie w przypadku jednego z nich jest niejaka pani Agata, kobieta, która być może ma wobec niego dalekosiężne plany. Płci pięknej również Gogol nie pobraża. Jej uroda tak została opisana: „Pani Agata nosiła na głowie czepiec, trzy brodawki na nosie i kawowy szlafrok w żółte kwiaty. Kibić miała podobną do baryłki, toteż odszukać jej talię było równie trudno, jak zobaczyć bez lustra własny nos. Nóżki miała króciutkie, uformowane na kształt dwóch poduszek. Plotkowała, jadła z rana gotowane buraki i klęła jak huzar; przy wszystkich tych różnorakich zajęciach twarz jej ani na chwilę nie zmieniała swego wyrazu, czego to dokonać mogą tylko kobiety”.

W jego świecie zarówno mężczyźni jak i kobiety odsądzeni zostali od urody, delikatności uczuć itp. Już po kilkunastu stronicach lektury poczworność, brzydota, chytrość, kretynizm, wy czarowane jak w szkaradnej bajce — zaczynają przytłaczać, mimo pozorów humoru i poczciwości, przygnębiać.

Wracam jednak do następstwa wydarzeń w gogolowskim misterium. Temperatura wrogości między sąsiadami nieustannie się podnosi, co zostało tak opisane: „A rzeczy wzięły inny obrót: jeżeli pies Iwana Iwanowicza zapędził się na tamten dziedziniec, walili w niego czym popadło; jeżeli dzieciaki przelazły przez płot, powracały z bekiem i ze śladami różgi pod zadartymi koszulinami; nawet Horpyna, gdy Iwan Iwanowicz zagadnął ją o coś, zrobiła taką nieprzyzwoitość, że Iwan Iwanowicz jako człowiek nadzwyczaj delikatny, splunął tylko i wymamrotał: — Paskudny babsztyl. Gorsza od pana”.

Perfidnym dysonansem, wprowadzonym przez geniusz Gogola jest słodki opis nocy, która ogarnęła miasteczko. „O, gdybym był artystą, odmalowałbym cudnie urok nocy! Przedstawiłbym jak śpi cały Mirgorod; jak nieruchomo spoglądają nań gwiazdy niezliczone; jak bliskie i dalekie poszczekiwanie psów przerywa ciszę; jak mimo nich goni zakochany pałamarz i przełazi przez żywopłot niczym rycerz nieustraszony; jak białe ściany domów, objęte światłem księżycowym stają się jeszcze bielsze; drzewa oceniające je jeszcze ciemniejsze; cienie od drzew jeszcze czarniejsze; uśpione kwiaty i trawy jeszcze wonniejsze; jak świerszcze, niepowściągliwi trubadurzy nocy, zgodnie zawodzą ze wszystkich kątów swoje trzaskliwe pieśni. Przedstawiłbym, jak w jednym z niziutkich domków glinianych rozrzuciła się na samotnej pościeli czarnobrewa mieszcza o drżących, młodych piersiach, jak śni się jej wąs huzarski i ostrogi, a poświata księżowa igra na jej policzkach...”. Ten opis nie może być niczym innym jak

ironią. Gorzkim szyderstwem. Chlew w taką piękną spowity zostaje szatę. A kusząca czarnobrewka jawi się tylko w nocnym, dalekim planie. Jest zwidem, senną marą. Za dnia kobiecej urody nie uświadczysz w ogóle. Konsekwencja Gogola jest nieubłagana. Nie brak tu jedynie ludzi podobnych do rzodkwi czy innych warzyw, zwierząt domowych lub rozdętych na kształt antałów szaf i kufrów. Te stwory przesuwają się niemrawo uliczkami miasteczka, wysiadują na gankach swych domostw, snują się w obejściach. Wracając zaś do nocy, dalsza część jej opisu poświęcona została wypadowi Iwana Iwanowicza na posesję sąsiada, który na jeszcze większe jego pośmiewisko wystawił przy płocie gęsiarnię. Zakradł się więc tam i podpłiował słupy; buda zwała się z hukiem. Cały następny dzień po udanej akcji spędził Iwan Iwanowicz jak w gorączce, obawiał się bowiem zemsty sąsiada, szczególnie podpalenia.

W tak przewrotny sposób zderzył Gogol noc romantyczną, pełną miłosnych, pięknych snów ze złośliwym działaniem człowieka przeciw człowiekowi. Rzecz cała dociera do sądu. Sąsiedzi składają oskarżycielskie pozwy. Osobliwy to sąd, sędzia, urzędnicy, rozmowy, które prowadzą.

Portret sędziego: „Sędzia, człowiek dość otyły, acz nieco cieńszy od Iwana Nikiforowicza, z dobrą miną w zatłuszczonym szlafroku, z fajką i przy filiżance herbaty, rozmawiał z podsędkiem. Sędzia miał wargi pod samym nosem i dzięki temu nos jego mógł wachać górną wargę ile dusza zapagnie. Wargę ta służyła sędziemu zamiast tabakieri, albowiem tabaka, wysyłana pod adresem nosa, osiadała zawsze na wardze”. Napuszcza Gogol deformator jak sforę psów z psiarni: nosy na wargi i brodę, uszy na policzki, oczy na cztery świata strony; dzieli twarz na części i zmienia ich proporcję w stosunku do pozostałych, przepoczwarzając tym sposobem ludzką fizjonomię w jakąś karykaturalną bulwę, porośniętą naroślami; oddala zupełnie od obrazu człowieka stworzonego na podobieństwo boże. Gdyby tak Stwórca zechciał zobaczyć swoje dzieło, tych potomków Adama i Ewy, zamieszkujących Mirgorod?

Nie mogłem się oprzeć pokusie, żeby sięgnąć do innego opowiadania, również z tych wcześniejszych, którego bohaterami są bursarze, udający się na wakacje. Są to adepci stanu duchownego, młodziankowicie przeznaczeni do szczytnego pośrednictwa między ludźmi i Bogiem. Jest to społeczność młodzieńców równie szpetnych fizycznie, co duchowo, wyuzdanych i cynicznych, żarłocznych i nieokrzesanych. Młodzieńcza czystość, szlachetność uczuć marzenia... Nie ma tego ani śladu w duszach przyszłych kapłanów.

Od początku tak paskudnie rozwija się Gogolowski rodzaj ludzki: „Retorzy szli poważniej i odzież mieli często gęsto całą: za to na twarzach nosili zazwyczaj jakieś ozdoby w rodzaju tropu retorycznego: jedno oko na przykład uciekało im pod samą czuprynę, zamiast wargi mieli bąbel lub coś podobnego; mówili i zaklinali się między sobą tenorem. Filozofowie brali oktawę wyżej; w kieszeniach swych prócz korzonków mocnego tytoniu, nic nie miewali. Nigdy nie robili żadnych zapasów; zjadali od razu wszystko, co im wpadło w rękę i zalatywało od nich fajką i gorzałką, niekiedy na taką odległość że mijający ich rzemieślnik przystawał i długo jeszcze, niczym ogar, węszył”.

Przyszli kapłani, słudzy Boga, są jadowicie odpychający. A wiedza tych młodzieńców? Stanowi ona stop przebiegłości, ciemnoty, klepanych bezmyślnie pacierzy i umiejętności cerkiewnego śpiewu. W Mirgorodzie także nie odkryjemy nigdzie śladów życia umysłowego, szlachetnego dowodu wyższości człowieka nad zwierzęciem. Nikt nie zaprzęta sobie głowy myśleniem, czytaniem książek. Jeden ze zwaśnionych sąsiadów czytuje od lat tę samą książkę, tytułu jej nie pamięta — służąca kiedyś wydarła kartę tytułową na rozpałkę; treści również nie pamięta, czyta wyłącznie po to, żeby wprowadzić się w słodką drzemkę. Ludzie z Mirgorodu posiadają pewną umiejętność redagowania pism urzędowych. Przyjmowaniem tych pism zajmuje się sąd. Na razie panuje w budynku tej instytucji spokojna atmosfera wypoczynku i leniwej gawędy. Sędzia opowiadając o podróży służbowej, wspomina posiłek, którym go ugoszczono: „Do wódki podano jesiotra — rarytas!”. Rozpoczyna smakowitą litanie: kawior, wódka brzoskwińowa nastawiona na tysięczniku. Była i szafranowa. Słodycz tych wspomnień burzy nagle pojawienie się petenta, Iwana Iwanowicza, z pozwem na swego sąsiada i przyjaciela. Ledwie Iwan Iwanowicz opuścił kancelarię, zjawił się Iwan Niki-forowicz z takim samym dokumentem. Jego widok (nie pokazywał się przecież nigdzie) wzbudził zdumienie. Był jak wiadomo otyły i trzeba go było przepchnąć przez drzwi, w których się zaklinował, uczynili to krzepki kancelista wspólnie z woźnym inwalidą. Oto reakcja sądowego zespołu: „Jeden kancelista odziany w coś podobnego do bajowego półszlafroka, wziął pióro do ust; drugi połknął muchę. Nawet pełniący obowiązki woźnego inwalida, który stał dotychczas przy drzwiach, drapiąc się pod brudną koszulą, nawet ten inwalida z naszywką na ramieniu rozdziawił gębę i nadeptał komuś na nogę”. Charakterystyki ludzi nie tylko uporczywie akcentują ich szpetność i niechlujstwo. Ci ludzie zachowują się jak krety, rozdziawiają gęby, cieknie im ślina, zjadają muchy, depczą sobie po stopach, są zamroczeni go-

rzalką. („Wówczas jeden z kancelistów o grubych wargach, z mięsistym nosem, patrzący zezem i nietrzeźwo, mający łokcie podarte...” i tak dalej). W sądzie pozostały dokumenty, w których sąsiedzi wzajemnie się oskarżali. Błahe słowo „gąsior” rozpętało burzę. Nie ma śladu dawnej przyjaźni. Pozwy sąsiadów pełne są obelg, donosów, sięgają do najdawniejszej przeszłości.

Fragment pozwu: „Nadmienić należy, że wzmiankowany szaleniec i rozbójnik Iwan, syn Iwana Perepeczko, pochodzenia jest nader haniebnego i siostra jego była znanym światu całemu wyciruchem i uciekła z kompanią jęgrów, która przed pięciu laty stacjonowała w Mirgorodzie; męża zaś swego przypisała do chłopów pańszczyźnianych. Ojciec i matka jego byli to również ludzie bezecni tudzież sprośni pijacy. Wspomniany za się szlachcic i zbój Perepeczko swymi bydlęcymi i pogardy godnymi występkami zakasował całą swoją rodzinę i pod pozorem bogobojności dopuszcza się przestępstw najbardziej gorszących: nie zachowuje postów, albowiem w wigilię św. Filipa zaprzaniec kupił barana i na drugi dzień kazał go zarznąć swej dziewczce Hapce, wymawiając się tym, jakoby zaszła pilna potrzeba łożu na kaganki i świece”. Stylistyka i kompozycja godna wyrafinowanego gatunku literackiego, zwanego donosem. Opowiadanie o Mirgorodzie i dwóch Iwanach także jest swego rodzaju donosem, złożonym przez Gogola przeciw tej „marności najmarniejszej”, jaką jest człowiek.

Przez cały czas lektury prześladowało mnie podejrzenie, że my wszyscy możemy się stać tacy sami jak ci z Mirgorodu. Ta bydlęca, rozkładowa potencja drzemie w każdym i uśpienie ducha, zadowolenie z siebie, nieczułość sumienia mogą nas odczłowieczyć równie łatwo i zamienić w mieszkańców wielkiego, cuchnącego chlewu. Gogol nas ostrzega. Tak myślę. Ale jesteśmy nadal w sądzie. Podczas pakowania przyniesionych przez petentów podarunków w postaci kur, jaj, chleba, pierogów, kołaczy, następuje kulminacyjna scena. Oto do kancelarii wpadła bura świnia i zamiast schwycić jakiś kołacz czy pieróg, porwała pozew złożony przez Iwana Nikiforowicza przeciw Iwanowi Iwanowiczowi i uciekła.

Wejście świni w akcję powoduje urzędowe konsekwencje. Horodniczy składa wizytę Iwanowi Iwanowiczowi, którego własnością jest bura świnia. Gogol nie może się oprzeć pokusie przedstawienia horodniczego w sposób właściwy dla innych postaci na tej scenie. Charakteryzuje go jako jeszcze jedno monstrum swojej menażerii: „Przy mundurze miał horodniczy osiem guzików; dziewiąty urwał się dwa lata temu w czasie procesji z okazji poświęcenia cerkwi. I stójkowi dotychczas nie mogą go odszukać, aczkolwiek horodniczy codziennie przy raportach, które mu skła-

dają rewirowi, zapytuje czy guzik już się odnalazł. Osiem pozostałych guzików było rozsadzonych na mundurze w ten sposób, w jaki baby sadzą bób: jeden na prawo drugi na lewo. Lewą nogę miał horodniczy postrzeloną podczas ostatniej kampanii i z tego powodu utykając, wyrzucał ją tak daleko w bok, że niweczył przez to całą niemal pracę prawej nogi. Im szybciej puszczał horodniczy w ruch całą swoją piechotę, tym wolniej posuwała się ona naprzód”.

W powyższym opisie zawiera się metafora ludzkiego działania, pracy, zbożnych wysiłków; jedno niweczy drugie, działanie jest dreptaniem w miejscu, jałowym ruchem w niewielkim promieniu. Wystarczy wyobrazić sobie wysiłki horodniczego w marszu.

Rozkosz dialogu dwóch kretyńców: „... Bóg wie, co pan opowiada! Wielka mi rzecz, że świnia wyszła na ulicę!

— Pozwól pan sobie zameldować, pozwoli pan, pozwoli, dobrodziej mój, że jest to całkiem niemożliwe. Co robić? Władza tak chce — musimy być posłuszni. Nie przeczę, że kury i gęsi wyłazą niekiedy na ulicę i nawet na rynek — kury i gęsi, proszę zważyć. Świni zaś i kóz nie wolno wypuszczać w miejsca publiczne, o czym wydałem zarządzenie jeszcze w roku ubiegłym, które to zarządzenie z nakazu mojego odbębniłoby i odczytane wobec całego narodu”.

Toczy się niemrawo spór, czy świni wolno wychodzić na ulicę, czy nie wolno, i kto za nią odpowiada. Jedna strona nie przekonała drugiej. U końca urzędowej wizyty horodniczy dopomina się o wyroby z burej świni, będącej przedmiotem tylu komplikacji: „W takim razie, jeżeli nie chce pan jej oddać w ręce policji, niech pan ją zużytkuje jak uważa za stosowne. Niech pan ją zakłuje na Boże Narodzenie i narobi szynka albo tak sobie spożyje. Prosiłbym tylko, w razie gdyby robił pan kiełbasy, żeby mi pan przysłał parę takich, co to je tak smacznie przyrządza Hapka z juszki i słoniny. Moja połowica bardzo je lubi”.

Konflikt sąsiedzki nieustannie pęcznieje. W sprawę ponownie wkracza pani Agata; namawia Iwana Nikiforowicza do dalszego postępowania sądowego, do pisania odpowiednich dokumentów ściągając pokątnego skrybę, którego Gogol opisuje następująco: „Zaraz też znalazła jakiegoś człeczynę w średnim wieku, czarniawego, plamistego na twarzy, w ciemnogranatowym surducie łańcuchem na łokciach — istny kałamarz kancelaryjny! Smarował buty dziegiem, nosił za uchem trzy pióra, a do guzika miał przywiązaną na sznurku flaszeczkę z atramentem zamiast kałamarza. Zjadał za jednym zamachem dziewięć pierogów, zabierając dziesiąty do kieszeni i na jednym arkuszu papieru stempłowego potrafił wy-

pisać tyle wszelkiego matactwa, że nikt by tego nie przeczytał, nie przeplatając czytania kaszlem i kichaniem. To niewielkie podobieństwo człowieka ślęczało, skrobało, pisało”.

Tu Gogol się zdradził! „To niewielkie podobieństwo człowieka”. Powiedział wprost. W jego Mirgorodzie wszyscy bez wyjątku z podobnej są ulepieni gliny. Dostojni obywatele, chłopci, służące, urzędnicy, sędziowie, kanceliści. Warto podkreślić szczególnie upodobanie do pokazywania urzędów, atmosfery w nich panującej. Urząd w wydaniu Gogola jest bezmyślną machiną cechującą się jałowym, skomplikowanym rytuałem, specyficznym językiem. Przekupna chciwa czereda urzędników lub pokątnych skrybów (jak to „niewielkie podobieństwo człowieka”) zajmuje się sporządzaniem odpowiednich podań, wniosków, zażaleń i przyjmowaniem łapówek. Tak nastąpiło w przypadku sporu dwóch Iwanów. Najęty pismak wysmażył zażalenie do sądu i rzecz nabrała urzędowej mocy. Sędzia pragnąc pogodzić zwaśnionych przyjaciół, na razie zatrzymał zażalenie w szafie. Sprawa leżała jeden rok, drugi, trzeci. Na dziedzińcu Iwana Iwanowicza biegało coraz więcej dzieciaków, spółdzonych z Hapką, choć autor dziwi się przewrotnie, skąd one się wzięły. Aż zdarzyła się sposobność pogodzenia. Horodniczy wydawał wielkie przyjęcie i postanowiono usadowić przy stole dwóch sąsiadów. Na wystannika mającego zwabić Iwana Nikiforowicza wyznaczono niejakiego Antona Prokofiewicza, którego żywot przedstawiony przez Gogola godny jest krótkiego streszczenia z powodu swej absurdalności. Zaczyn ten mąż posiadał niegdyś dom, ale sprzedał go i kupił trójkę gniadych koni z bryczką, następnie wymienił to na skrzypce i dziewczkę pańszczyźnianą oraz 25-rublowy banknot. Wreszcie sprzedał skrzypce, a dziewczkę wymienił na ozdobny kapciuch do tytoniu. Na przykładzie owego życiorysu spostrzec można, iż większość ludzi snuje się przez życie na ślepo, jakby to życie zaistniało bez żadnego istotnego powodu; kamień toczony po pochyłości spadnie na sam dół lub zatrzyma się po drodze. Tak odczytuję losy bohaterów Gogola: ten stan ciężkiego półsnu, z którego budzi ich czasem irracjonalna przyczyna. Taka choćby jak groteskowy spór dwóch Iwanów.

Zatem wracając do zasadniczego wątku. Jednak nie pogodzili się oni. Sprowadzonego przez zaskoczenie Iwana Nikiforowicza z trudem ze względu na tuszę przepchnięto przez drzwi, doprowadzono do drugiego Iwana, dawnego przyjaciela; już mieli się godzić nareszcie, kiedy to Iwanowi Nikiforowiczowi znów wypnęło się bezecne słowo „gąsior” i diabli wzięli całą kombinację. Po tym zdarzeniu Iwan Iwanowicz zaszył się w swoim domostwie, otworzył ukrytą skrzynię i posypały się stamtąd złote karbo-

wańce. Złoto przeszło do brudnych rąk kauzypierdów umazanych atramentem, jak pisze Gogol, łącząc sprzedajne słowo pisane ze złotem. Sprawa poszła do apelacji. Już od dziesięciu lat sąd zawiadamia zainteresowanych, że sprawa będzie rozpatrzona następnego dnia.

Zbliżamy się do leniwego finału opowieści o dwóch zacnych obywatelach.

Minął długi czas i narrator, odwiedzając Mirgorod znajduje dwóch zgrzybiałych starców, którzy procesują się nadal z energią niespotykaną w tak sędziwym wieku. Iwan Nikiforowicz wrócił dopiero co z Połtawy. „Co robić? Proces” — powiada. Także Iwan Nikiforowicz oznajmia nowinę: „Jutro, wedle wiadomości z apelacji, sprawa moja będzie na pewno rozstrzygnięta”. Tylko nienawiść, złość i chciwość może poruszyć leniwe, egoistyczne życie. Oto wniosek wynikający z tej starczej krzątaniny.

Pełen przygnębiającego smutku opis Mirgorodu jest końcowym akordem opowieści o dwóch Iawanach. „Kościste szkapy, znane w Mirgorodzie pod nazwą kurierskich, począpywały w błocie, czyniąc kopytami swymi, które się zanurzały w szarą maź, plusk przykry dla ucha. Deszcz zlewał strumieniami Żyda siedzącego na koźle i przykrytego rogożą. Wilgoć przenikała mnie do szpiku. Smutna rogatka z budką, w której inwalida łątał swój szary płaszcz, przesunęła się powoli mimo mnie. Znów to samo pole, zaorane miejscami i czarne, miejscami jeszcze zieleniejące; zmokłe kawki i wrony, jednostajny deszcz, zapłakane i zaciągnięte jak okiem sięgnąć niebo. Nudno jest na tym świecie, proszę państwa”.

Opowiadanie zawiera w zarodku wszystko, co rozwinęło się później w „Martwych duszach”, osiągając wymiar apokaliptycznej wizji świata i ludzi. W Mirgorodzie ciemno i duszno. U Gogola nie ma światła. Nie ma też Boga. Nie widział pisarz żadnego związku swej ziemi z niebem, boskością, nadzieją, wiecznością. Ziemia Gogola jest ziemią bez nieba. Nie ma także żadnego dowodu na przypisywane człowiekowi wyższe piętro egzystencji. To piętro nie istnieje. Jaki jest świat prozy Gogola? Błoto, duchota, niski pułap, szare kolory, ludzie-maszkarony, pokazywani na płask tylko od strony monstrualnej fizyczności czy równie odpychających cech psychiki. Żyją trawiennie, fizjologicznie, brak jakichkolwiek porywów serca czy umysłu, brzęczą pieniądze, słychać mlaskanie przy zastawionych stołach, bełkoczą, szczerzą zębiska, przetaczają się ciężko jak obrzmiałe baki i oszukują się nawzajem.

Pogorzelisko uczuć, namiętności, nawet zwykłego pożądania kobiety przez mężczyznę tu brak, wiadomo: spółkują, choćby

Iwan Iwanowicz ze swoją Hapką; baby jeszcze służą do sporządzania smacznego jadła; to tyle, nic więcej. Tak obnażał Gogol ostrym, chirurgicznym lancetem cuchnące trzewia swoich bliźnich. Proza wciągająca jak bagnisko. Gogola zaliczam do wielkich pesymistów w literaturze, tak niezbędnych dla pełnej wiedzy o człowieku. Po takiej lekturze należy czym prędzej umknąć gdzieś daleko od ludzi, znaleźć sobie malownicze ustroenie: piękno przyrody jako odtrutka, ptaki, drzewa, wysokie, czyste niebo. Chociaż i w tym pięknym zakątku zaczynamy rozglądać się podejrzliwie gdyż jak wiemy z Mirgorodu piękno przyrody funkcjonuje w harmonijnym zespoleniu z ohydą ludzkiego życia.

Wizja Gogolowska to spojrzenie obejmujące całą ludzkość, bez względu na czas i miejsce. Obraz uniwersalny. Rozmyślam o tym pamiętając, że Gogol ukochał Rzym. Tam czuł się najlepiej. Pośród śródziemnomorskiej, łaskawej przyrody i kultury ozdobionej majestatem antyku — pisał „Martwe dusze”.

O „WYROKU NA FRANCISZKA KŁOSA”

Pamięci Stanisława Rembeka

Od pierwszego już czytania książki zastanowił mnie pejzaz opisywanej okolicy. Bliskość Warszawy, kolejka dojazdowa oraz miasteczko, w którym toczyła się akcja powieści. Typowa architektura podwarszawskiego Mazowsza.

Małe, parterowe domki, gdzieś tam wybudowane kamienice, najwyżej trzypiętrowe, i centrum koło dworca, kasa, poczekalnia, restauracja czy bufet, w pobliżu może jeszcze być kiosk z papierosami, skład opału. Sztafaż był znajomy, identyczny z obrazem miasteczka mojego dzieciństwa i młodości. Ta sama bieda — domki kolejarzy i robotników, gołębniki i łopot szmat na długich tykach, zmuszający srebrzyste stado do posłusznego lotu, sklepiki i sodowiarnie; popijało się tam kolorową oranżadę i kwas z grubych butelek, a starsi z tych samych butelek ciągnęli samogon pod kwaszone ogórki. W moim miasteczku też przy dworcu szerokotorowej kolei kończyła swój bieg słynna z punktualności kolejka EKD, te trzy wagoniki koloru niebiesko-żółtego, konduktorzy w brązowych uniformach i czapkach w kształcie francuskiego kepi; znajdowała się tam także knajpa, do której wchodziło się po trzech stopniach schodów, w gablotach na szynkwasię półmiski z gotowanymi jajami bez skorupki, salcesonem, boczkiem i jarzynową sałatką.

No i oczywiście glinianki, głębokie stawy — nasze baseny do pływania, te rozsiane wzdłuż całej trasy kolejki pozostałości po dawnych cegielniach.

Czytając więc pierwszy raz powieść Stanisława Rembeka, odnalazłem krajobraz rodzinnych okolic, brzydką i szarą zabudowę miast i miasteczek tzw. „lewej podmiejskiej”. Przypuszcza-

łem, że miasteczkiem opisywanym w książce mógłby być Grodzisk Mazowiecki.

To było pierwsze wrażenie. Pierwsza warstwa. Również mglista pamięć lat okupacji hitlerowskiej. Fragmenty rozgrywających się wtedy wydarzeń. Żydzi wyciągani z kryjówek na starzych, carskich fortach. Ciężarówka pełna mężczyzn, eskortowanych przez żandarmów. A raz nawet trup, nie wiadomo, mężczyzny czy kobiety, okryty zakrwawionym workiem po cemencie.

I tak rozpoczęła się trwała więź z tą wybitną powieścią, niesprawiedliwie zapomnianą przez krytykę i koneserów literatury. Jej losy nie były łatwe, opornie dostawała się do czytelniczego obiegu; w 1947 roku ukazała się drukiem w małym, prywatnym wydawnictwie, których jeszcze kilka egzystowało przez czas jakiś (Przeworski, Arct, Kuthan, Cukrowski) aż dopiero w większym nakładzie wydana została w 1956 roku przez instytut wydawniczy PAX i przeszła prawie bez echa. Przeczytałem ją przypadkiem w 1960 roku. Potem dwa razy wracałem.

Nade wszystko zafascynowała mnie jej odmienność w stosunku do literatury zajmującej się tematem wojny i okupacji. Literatury pełnej heroizmu, ostatecznych wyborów w imię służby ojczyźnie, męczeństwa i walki narodu z najeźdźcą. Literatury przepojonej szlachetnym patosem, najpełniej służącej temu szczytnemu powołaniu, wyrażonemu niegdyś przez Sienkiewicza słowami „ku pokrzepieniu serc”. I do tej kolekcji tak jednorodnej, jakby przypadkiem dekomponując spoiwość literackiej wizji, brutalnie wtargnął „Wyrok na Franciszka Kłosa”.

Książka wciągała jak głęboka i porośła trzcina, zdradliwa glińianka (nieraz wielu z nas, młodych adeptów nauki pływania, zaznało na tych wodach śmiertelnego strachu człowieka, który tonie i woła słabnącym głosem — Ratunku!); opisywała ludzi pospolitych, niczym szczególnym się nie wyróżniających, akcja pozbawiona była wzniosłego wymiaru tragedii, w który obfitywały stronicie tamtej literatury lat wojny i okupacji.

Bohaterem powieści uczynił Stanisław Rembek młodego człowieka, swoim nazwiskiem Kłos symbolizującego ludowy związek z naszą ziemią i jej płodami. Był on policjantem i obowiązki służby spełniał z sumienną gorliwością. Cenił sobie tę państwową posadę, rokującą nadzieję spokojnej, zabezpieczonej przyszłości. Cichy i skromny, może cierpiał trochę z powodu niskiego wzrostu. Zwykły. Takich młodych ludzi setki, tysiące. Wychował się od dziecka w tym miasteczku, tu miał wielu kolegów jeszcze z czasów szkoły. Matka, kobieta surowa i religijna, wpoila w niego bogoboję. Ojciec, robotnik, uczestnik strajku 1905 roku i żół-

nierz wojny polsko-bolszewickiej, nie zaważył szczególnie w jego życiu, tyle że w odróżnieniu od niego unikał alkoholu.

Hierarchia wartości w życiu Franciszka Kłosa była prosta i niezachwiana. Przełożeni w policyjnej służbie byli dla niego pierwszymi po Bogu i matce. Jaki był jego stosunek do Boga? Nie wiadomo. Żył tak jak większość ludzi w tym miasteczku. Założył rodzinę, doczekał się potomstwa, uczęszczał regularnie na niedzielną mszę do kościoła. I przyszła wojna. Franciszek Kłos pozostał na służbie w policji. Okupacja stanowi najważniejszy czas, w którym pisarz dokonuje wnikliwego studium życia swego bohatera. Franciszek Kłos, spokojny, pospolity człowiek, nie przeżywający nigdy zbyt silnych wstrząsów i uniesień, staje się jednym z najgorliwszych policjantów. Z tą samą co przed wojną gorliwością wykonuje polecenia swych nowych zwierzchników, żandarmów i gestapowców. Zdobywa miano postrachu miasteczka. Ściga konspiratorów i zbiegłych zakładników. Jest strzelcem znakomitym, jego strzały śmiertelnie rażą ściganych. Z pokorną, psią radością przyjmuje pochwały Niemców, którzy chętnie się nim wysługują w krwawym procederze. Ceni sobie ich pochwały. Wzmagają one jego gorliwość, która nigdy nie powoduje kolizji z sumieniem. Jest przecież zgodna z regulaminem służby. Zmienili się jedynie zwierzchnicy i ten fakt nie budzi żadnych w nim wątpliwości. Znajomi, rówieśnicy, towarzysze z czasu kawalerskich zabaw, zażyłość, pokrewieństwo, nawet wywózka ojca do obozu — nie miały dla niego żadnego znaczenia, nie pobłażał nikomu. Otrzymuje polecenie i wykonuje je z całym oddaniem. Jest ideałem policjanta. W wykonywaniu egzekucji wyróżnia się szczególnie. Franciszek Kłos to przecież niegdyś chwała miejscowej policji podczas wojewódzkich zawodów strzeleckich. Rozbawieni tym osobliwym człowiekiem wywodzącym się z narodu niewolników, Niemcy wyręczają się nim dla samej przyjemności widowiska. Franciszka Kłosa poczyną otaczać złowroga aura mordercy. Właściciel knajpy, do której zaszedł przypadkiem po służbowym obchodzie, drżąc ze strachu ręką nalewa mu szklankę samogonu. Kłos pijąc staje się silny i zwarty. Życzliwy i towarzyski. Pozdrowia znajomych, chętnie wdaje się w pogwarki, lecz ludzie go unikają; dziwi go ich rezerwa. Pije więc sam. Zemsty w ogóle nie bierze pod uwagę. Nie ma do siebie najmniejszych zastrzeżeń. Jest dobrym policjantem, skutecznie spełnia swe powinności, przyjemność sprawiają mu pochwały zwierzchników, żandarma Kranca i gestapowca w cywilnym garniturze. Pewną niewygodę budzą tylko w jego duszy ponure przekleństwa matki, jedynej osoby, której boi się naprawdę. Chwilami czuje się samotny i opuszczony.

Niezauważalnie picie staje się koniecznością. Alkohol jedynym sposobem na przywrócenie pogody ducha. Im więcej pije, tym gorliwiej służy Niemcom. Rękę ma nadal pewną i prawie nigdy nie chybia celu. Służąc tak wiernie doczekał się nagrody, został wpisany na listę folksdojców, cieszy go niezmiernie i napawa duma poczucie zrównania z nowymi panami. Toteż głuchy był na wszelkie argumenty i perswazje kolegów policjantów, komendanta posterunku, który był zaangażowany w działalność konspiracyjną, co bardziej ludzkich Niemców, usiłujących osłabić jego krwawą aktywność. Nawet po spowiedzi u miejscowego księdza w chwili słabości i obietnicy zmiany swego postępowania, nadal jest tak samo okrutny i bezwzględny jak dotychczas. Czyżby nienawistny strach miasteczka stanowił dla niego swoistą podniechęć? Jest wreszcie kimś znacznym, zwraca na siebie uwagę, boją się go ludzie. Może to być przecież niebagatelnym bodźcem dla szarego ginącego w tłumie człowieka, który nigdy nie zaznał odurzającego pocucia takiej roli.

Równocześnie przeżywa pewną niewygodę w życiu rodzinnym, opuszcza go żona, przebrała się miara oddania tej prostej kobiety, kiedy dowiedziała się, jak zastrzelił żydowskie dzieci, całą rodzinę ukrywających się Żydów; najgorszymi klątwami, będącymi zarazem cytatami z Biblii, obrzuca go matka i jak Cassandra wróży mu wieczyste potępienie. Co ma więc czynić tak osaczony Kłós? Wzmaga swe mordercze żniwo.

Osobnym motywem powieści są deliryczne majaki Kłosa, te maskary które go obłąkają, zbliżają się zewsząd, prześladują dniem i nocą, daremnie się składa do strzału, zawsze pudłuje, kule się ich nie imają, są coraz bliżej, otaczają ciasnym korowodem, szczerząc krwiożerczo okropne paszczęki. Tylko obfity haust wódki potrafi odegnać tych wysłańców piekieł.

Najmniej istotny w mojej impresji jest koniec Kłosa. Taki być musiał. Podziemie wydało na niego wyrok i ginie zastrzelony obok kolejowego toru. Bardzo zdziwiony, ale zarazem bierny, bezwolny w tej ostatniej chwili.

Nieoczekiwanego bohatera stworzył Stanisław Rembek w tej powieści. Był to pierwszy antybohater w polskiej literaturze powojennej. Ciągłe brzmi on jak memento dla przyszłości. Nic więc dziwnego, że orędownikom bogoojczyźnianych cnót, jak również rzecznikom nowego totalitarnego ładu i porządku książka ta wydała się herezją niemożliwą do strawienia.

Będąc po wielu latach w Grodzisku Mazowieckim i rozmawiając z zasiedziałymi obywatelami miasta dowiedziałem się, iż właśnie Grodzisk był miejscem akcji powieści Rembeka i działał tam policjant granatowy nazwiskiem Franciszek Kłós, kolaborant

i wielokrotny morderca, którego wyrokiem AK zgładzono w pobliżu torów kolejki EKD. Czyli wcale jego symbolicznego nazwiska Stanisław Rembek nie wymyślił.



Niniejszy szkic pisałem w więzieniu. Postanowiłem przeciwstawić się monotonii i wynaturzeniu tych dni, ściśniętych murami, kratami i ryglami. Wrócić do stałego zajęcia. Do pisania. Zapraǳnę pisać o ulubionych swoich książkach, pisarzach. Od razu pomyślałem o „Wyroku na Franciszka Kłosa”. Wyobraźnię intensywnie wypełnił świat tej książki. Zapewne przyczyna brała początek z atmosfery ostatnich lat w kraju. Piętnaście miesięcy nadziei brutalnie zdławionych w jedną noc. Stan wojenny. Ludzie po jednej i drugiej stronie. Powrót okupacyjnego słowa „kolarant”. Wzmrożona obecność policji.

Pierwszymi słuchaczami mojego szkicu byli towarzyszy z celi nr 4 i oficer śledczy z III piętra pawilonu, gdzie wzywano nas na przesłuchania. Pierwszy po wysłuchaniu powiedział tak: przeczytałbym chętnie tę książkę. Jednak nie znaleźliśmy jej w katalogu więziennej biblioteki.

Oficer śledczy zaś wyraźnie się rozczarował, sądził bowiem, że elaborat mój będzie miał jakiś związek z toczącym się przeciwko mnie dochodzeniem.

Piszę te słowa już po śmierci Stanisława Rembeka, którego książki („Ballada o wzgardliwym wisielcu”, „Nagan”) tak bardzo ceniłem.

„Ballada” szczególnie odkrywczą i ciągle aktualną przez spojrzenie na Powstanie Styczniowe oczyma wykonawców woli cara, oficerów i urzędników, Polaków, którzy wybrali wierną służbę u zaborcy.

Był pisarzem mało znanym i skąpo rozpowszechnianym.

Jego głośna powieść o wojnie 20-go roku „W polu” po wojnie została wznowiona tylko przez Instytut Literacki w Paryżu, a druga jej edycja, przygotowana przez Niezależną Oficynę Wydawniczą „Nowa”, dotarła do rąk czytelników zimą 1982 roku.

Stanisław Rembek zmarł 21 marca 1985 roku w wieku 84 lat i pochowany został na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. Jego twórczość pozostanie.

SALONY I KNAJPY

POD GWIAZDAMI

Pracownia zajmowała strych ośmiopiętrowej kamienicy. Była wspiana, rzędy belek podpierały strop, galeryjka; przypominała komnatę jakiegoś zamczyska. Z jej wielkich okien umieszczonych w pochyłym dachu rozciągał się rozległy widok na mrugające światłami miasto i wygwieżdzone niebo, które przywodziło banalne lecz trafne w tej chwili słowa popularnej w tamtych latach piosenki „Wieczór swą melodię rozplótł pod namiotem złotych gwiazd”.

Byliśmy jakby bezpośrednio pod majestatycznym nieboskłonem, owym namiotem złotych gwiazd.

Gospodarzami przyjęcia była para sławnych malarzy. Oboje pełni uroków towarzyskich, dowcipu i lekkości. Ona w dodatku powabna kobieta o zmysłowej urodzie i wibrującym niskim głosie. Profesor brzydki, gnomiczny, twarz miał pomarszczoną, niezwykle ruchliwą, przypominał kłowna.

Początkowo oglądaliśmy obrazy, nowy cykl jego płócien. Te kolorowe, bardzo agresywne kompozycje wyrażały najnowsze tendencje panujące w malarstwie i miały już znaczne wzięcie u zagranicznych marszandów. Pan domu, biegły w sztuce pędzla majster, zaliczał się do krajowej czołówki. Był artystą wszechstronnym. Kiedyś wyróżniał się jako grafik operujący oszczędną, surową kreską i do obowiązującego kanonu należały serie jego rysunków, pokazujące walczące z kolonializmem narody Indochin czy greckich partyzantów generała Markosa. Z tamtego czasu zapamiętałem najlepiej akwarele z Syberii, owoc jego wędrówek ze szkicownikiem; przyroda, egzotyczni mieszkańcy, zwierzęta. Szczególnie piękne były renifery w polarnym pejzażu tundry. Miał szeroką skalę możliwości, to niewątpliwe. Ostatnie prace

też świetne, bezbłędne w kompozycji i kolorystyce. Może zbyt perfekcyjne, przez to jakby bezduszne.

Oprowadzał gości, pykał fajeczkę, czasem wyjmował ją z ust i mruczał coś.

— Co mówisz? — dopytywano mistrza z zainteresowaniem.

— Tu bym jeszcze poprawił... — wskazywał fajeczką jakieś miejsce. — Tu czegoś brakuje.

Tak oglądając oparte o ścianę wielkie płótna zbliżaliśmy się powoli do schodów. Schodami poczęliśmy się wspinać do górnej części pracowni. Tu czekał na nas stół zastawiony jadłem i karczkami z alkoholem. Przyjęcie miało charakter barowy. Każdy nakładał sobie na talerz odpowiednią ilość sałatek, zimnych mięs i ryb, napełniał kieliszek jednym z kilku rodzajów wódki, przechadzał się lub siadał gdzieś na porozrzucanych sposobem tureckim skórzanych poduchach.

Ulokowałem się na ławie przy staroświeckiej, okutej metalem skrzyni. Rozglądałem się ciekawie wokół. Gospodarze posiadli wysoki kunszt wydawania przyjęć. O tym świadczył najlepiej dobór zaproszonych gości, ludzi różnego wieku, rangi towarzyskiej, profesjonalnej i urzędowej. Nawet moja skromna osoba stanowiła drobny lecz istotny element w tej kompozycji. Byłem młodym, dobrze zapowiadającym się malarzem o renomie zbudowanego przedstawiciela swej generacji. Wbrew modzie uprawiałem malarstwo realistyczne o zacięciu społecznym. Zarzucano mi nadmierną deformację rzeczywistości i zaczynałem już mieć kłopoty z wystawianiem swoich obrazów.

Zauważyłem jeszcze kilku swoich rówieśników. Zaproszeni również zostali wiekowi mistrzowie pędzla. Oto ostatni z żyjących impresjonistów, który właściwie był postacią muzealną. Podpiera się laską, drepcze powolnie, posiada aparat w uchu, wszystkim potakuje, zupełnie nieobecny. Tam w kącie znów młodopolski artysta w czarnej pelerynie, też wiekowy starzec, podobno znał Przybyszewskiego, Mehoffera i Wyspiańskiego. Zarejestrowałem także suchą kościstą twarz twórcy obrazów przedstawiających budowę Nowej Huty, pochody 1-majowe i prezydenta Bieruta wśród dzieci.

I kogo tu jeszcze nie było! Modni scenografowie. Architekci znani ze zdobytych nagród na międzynarodowych konkursach. Pisarze, dygnitarze. Japończyk Osuku, plakacista który jest u nas na stypendium, snuł się wśród ludzi z tym swoim ugrzeczniomym, wschodnim uśmiechem. Kłaniał się nisko każdemu. A ten tłusty staruch z siwą lwią grzywą to marszand ze Szwajcarii, przyjechał w poszukiwaniu towaru ze wschodniej Europy do swojej galerii

w Zurychu czy Lozannie. Był już w dużej zażyłości z obojgiem gospodarzy.

Oni umieli uwodzić ludzi. Czynili to bez widocznego wysiłku, od niechcenia. Byli bardzo nowocześni, nic w nich z fałszywej skromności, ukrytych kompleksów i niepewności, która paraliżuje wschodnioeuropejskich artystów. Jak to pisano o nich jako o parze (chyba z tego łączenia w jedność nie byli zadowoleni): „Artyści ci są niezwykle uwrażliwieni na swój czas, jego temperaturę, prądy i wszelkie zarodki nowego, dla innych często jeszcze niewidoczne”.

Napełniłem sobie kieliszek i sącyłem powoli. Patrzyłem z przyjemnością na panią domu. Ubrana w luźną, letnią sukienkę, odśladającą krągłe opalone ramiona, z ciężkim kokiem czarnych włosów (już nieco podfarbowanych), twarz miała orientálną, leniwie wyuzdaną, a zarazem mocny zarys podbródka, duży, mięsisty nos świadczyły o sile charakteru i uporze; może to siła zatem łączyła się w niej ze zmysłowością wschodniej odaliski.

Opuściwszy wzrok niżej potykałem się o kuszące wypukłości jej ciała. Przypadkiem odwróciła głowę i nasze spojrzenia spotkały się na chwilę. Pomachała mi ręką.

— Baw się dobrze — zawołała.

Ona nie pokazywała dziś swoich obrazów. Choć moim zdaniem lepszą była malarką od męża, w obsesyjnych motywach rozkładu i czegoś co można nazwać śmiercią wierna swym autentycznym pasjom. Nigdy nie odznaczała się nadmierną pogonią za modą czy stosowaniem się do zaleceń mecenasów. Od lat uprawiała abstrakcję i poprzedni czas przymusowego realizmu, ideowej figuratywności dotknął ją dosyć dramatycznie; wtedy w ogóle nie wystawiała.

Oddaliła się na przeciwległy kraniec pracowni, a ja jeszcze przez długą chwilę zachowałem jej twarz w oczach. Bardzo pociągającą młodego mężczyznę, którym wówczas byłem.

Powróciłem do beznamietnej obserwacji innych osób na tej scenie. Od początku najbardziej interesowałem się tym tęgim, ospowatym mężczyzną w szarym garniturze, białej koszuli z odpowiednio dobranym krawatem. W odróżnieniu od większości gości ubranych niedbale, z artystyczną oryginalnością, on jeden reprezentował swym wyglądem standardową urzędniczą staranność. Nie miałem jednak wątpliwości, że dla gospodarzy był osobistością najważniejszą. Może nawet ze względu na niego zostało wydane dzisiejsze przyjęcie. Znana była powszednia życzliwość, jaką darzył ludzi pędzla i palety, w szczególności tych dwoje, panią domu i jej męża. Oni mu się odwzajemniali tym samym, nie zapominając wszakże o zachowaniu pewnego dystansu, który

zawsze dzielić będzie ludzi władzy, jednoznacznych decyzji i pragmatycznych zachowań od wolnych artystów żyjących w przestworzach twórczej imaginacji. Traktowali go nawet z pewnym poklepek i wyższością. Znosił te kaprysy nader wyrozumiale. Jego znajomość z parą gospodarzy stanowiła zażyłość trwałą i sprawdzoną. Mężczyzna w szarym garniturze przez lata całe piastował stanowisko ministra kultury w naszym kraju i jako szef tego resortu postępował zgodnie z zaleceniami obowiązującej polityki kulturalnej.

W latach socrealizmu gromił więc burżuazyjną dekadencję i nihilizm, relikty dawnej bazy ekonomicznej (jak wiadomo było z nauk Józefa Stalina, nadbudowa kultury stanowiła pochodną bazy, tego fundamentu z którego wywodzi się duch, myśl, wszystko) rozprawiając się po partyjniacku z wyznawcami innych poglądów w sztuce. Ta postawa gorliwego wykonawcy nie przeszkodziła mu jednak w tym, że to on właśnie spowodował wyjazd pani domu na roczne stypendium do Paryża, tej Mekki artystów. Na ten wyjazd było wielu chętnych, zasłużonych w uprawianiu socrealizmu, wyjechała jednak ona, malarka surowo ganiona za formalizm. Świadczyło to o prawdziwej życzliwości ministra wobec swych przyjaciół.

Następnie, kiedy socrealizm wyrzucono na śmietnik i sztukę obdarzono swobodą poszukiwań formalnych, domagając się jedynie właściwych treści, wieloletni minister i tym razem znalazł się na wysokości zadania. Przede wszystkim czuwał nad literaturą (słowo pisane traktowano tradycyjnie jako najbardziej niebezpieczne), natomiast okazał się niezwykle liberalny wobec sztuk plastycznych. Mówiono o rozkwicie tych sztuk pod jego rządami. Przydzielał artystom pracownie, stypendia, hojnie szafował możliwością zakupów dzieł malarskich dla muzeów, galerii i ozdoby państwowych urzędów. Zasłynął jako brat łąta, dobroduszny patron bohemy w poplamionych fartuchach. Sam też malował. Był niedzielnym twórcą.

— Nawet z pewnym talentem — mawiali o jego twórczości gospodarze dzisiejszego przyjęcia. Przeważnie były to martwe natury z kwiatami i warzywami oraz morskie widoczki.

Musiał być wytrawnym graczem, lisem kutym na cztery łapy, skoro jako minister zwycięsko przeszedł kilka wstrząsów i zakrętów, utrzymując swoje stanowisko. Pokątnie szeptano, że wywodzi się z nieusuwalnej kadry znajdującej się pod najwyższym patronatem. Obecnie sprawował funkcję kierownika wydziału kultury w Komitecie centralnym. Według tutejszej praktyki znać więcej niż minister. Specjaliści od personalnych przesunięć

w łonie władzy przewidywali jego rychły awans na wysoką pozycję sekretarza komitetu centralnego, odpowiedzialnego za cały pion kultury i propagandy. Tak powiadano coraz częściej i fakt zaproszenia go na dzisiejsze party był nie bez związku z tym przewidywaniem.

Barczysty, ospowaty mężczyzna przechadzał się powoli pośród ludzi i płócien. Cechowało go bezpośrednie, nieco rubaszne obejście; gwarzył, uśmiechał się i poklepywał znajomych malarzy. Bardzo swojski, rzec można plebejski.

Oto w tej chwili pan domu dokonuje ceremonii poznania szefa partyjnego resortu kultury z zachodnim marszandem. Przedstawiciele dwóch odmiennych światów podają sobie prawice. Tłumaczką jest pani domu. Biegle mówi po francusku i z wielką starannością przekłada na ten język słowa partyjnego dostojnika. Obaj panowie uśmiechają się do siebie konwencjonalnie. Szwajcar kiwa głową. Szef partyjnej kultury także. Szwajcar wybucha śmiechem. Ubawiło go jakieś powiedzonko ospowatego, celnie przełożone na francuski przez panią domu. Ripostuje czymś równie dowcipnym. Pani domu natychmiast formuje dowcip cudzoziemca po polsku. Nasz dostojnik rzy rubasznie. Nawiązuje się między nimi pewna nić sympatii. Pan domu napełnia kielichy. Stukają się szkłem.

Patrzac na tę scenę przypominałem sobie moją niedawną rozmowę z panem domu. Przybyłem tu jako jeden z pierwszych i profesor (byłem w akademii jego studentem) odciągając mnie na bok, zaszeptał: — Mam dla ciebie dobrą nowinę... Będzie tutaj... — wymienił nazwisko partyjnego dygnitarza. — I wystarczy mu umiejętnie nadmienić! Rozumiesz? Stypendium do Francji masz gwarantowane. Gwarantowane! — powtórzył, chwytając mnie za guzik bluzy i przyciągając do siebie. — Poznam was ze sobą i powiesz mu co trzeba. Należy go także przekonać, że swoim realizmem nie godzisz wcale w ustrój. — Zaśmiał się. Śmiech miał zaraźliwy, niepohamowany. — To ja biorę na siebie!

Nie czekając na moją odpowiedź, podbiegł do kogoś, kto akurat pokazał się w drzwiach.

Taki był. Brutalny, bezpośredni i niezmordowany w zapobiegliwości. Przyszłaję: koleżeński i lojalny w przyjaźni. Dbał nie tylko o swoje interesy.

Ale przypomnienie tej konfidencji miało dla mnie gorzki posmak wstydu, nawet ponizenia. Za kogo mnie uważa? Byłem bardzo młody i unikałem zapobiegliwości w swoich sprawach zawodowych. Sztuka stanowiła dla mnie świętość i naiwnie uwa-

załem, że bez żadnych forteli i krętać, wyłącznie owocami swego talentu, osiągnę to czego pragnę. Uznanie, sławę.

Zawstydziłem się za gospodarza. W myślach zelżyłem go jako tandetnego komiwojażera sztuki. Jak pracowicie uwija się wokół zachodniego marszanda i wschodniego dostojnika. Tańczy i łąsi się. Razem ze swoją połowicą. Właściwie chętnie byłbym odmówił mu miana artysty. Ale przecież mimo wszystko robił sztukę. Może nie na miarę rozgłosu który uzyskał, jednak sztukę.

I tak toczyło się przyjęcie. Gwarno, wesoło. Spacerowałem z kąta w kąt, przystawałem. Z tym i owym zamieniłem kilka słów. Pani domu w przełocie pocałowała mnie w usta. Nie stroniła od romansów i ów pocałunek był jak obietnica. Wyobrażałem sobie nas oboje w erotycznym zapamiętaniu. Imaginacja ta miała bardzo wyrazisty charakter.

Pan domu także dał mi znać o swojej pamięci:

— Niedługo was zderzę ze sobą i wtedy kuj żelazo póki gorące — zaryczał w moją stronę, trącając się kielichem z Japończykiem Osuku.

Zabełkotałem coś niezrozumiale. Znów rozjątrzył swą niedźwiedzią łapą moją ranę. Uciekłem pod ścianę pracowni. Tam zgromadzili się moi rówieśnicy. Malarz, który był asystentem pana domu na akademii. Drugi studiował pod okiem jego żony. Trzeci, którego nie znałem. I jakaś dziewczyna z włosami upiętymi w koński ogon. Dla nich to był wielki świat. Chłonęli szeroko rozwartymi oczyma sławy świata sztuki i możnych mecenasów.

Zachód spersonifikowany w osobach właścicieli galerii, Japończyka, naszej rodaczki stale mieszkającej w Nowym Jorku i jakiegoś Holendra. No i Wschód nie tylko w postaci szefa resortu kultury, pomniejsze tuż też były tu obecne.

— Popatrz! — wskazywali kogoś dyskretnie i ochoczo raczyli się gorzałką.

Uczyli się sztuki życia.

Rozpocząłem konwencjonalną rozmowę z pewnym krytykiem malarstwa, cenionym w kręgach artystycznych złośliwcem. Posiadł on autorytet wyroczni, ustawiał wielkości na piedestale albo strącał.

Nad wyraz życzliwie wyraził się o ostatnich moich pracach:

— Bardzo osobiste i przeciw modzie — mówił cieniem, nosowym głosem. — Nadto forma nienaganna.

Nie wierzyłem jego pochwałom. Rozpoczął po prostu załoty. Był homoseksualistą i swoimi przenikliwymi oczyma zdawał się mnie rozbierać. Ściągał koszulę, spodnie i lubieżnie obmacywał ciało. Parzyły mnie jego oczy. Dalsza rozmowa stała się nieznosna.

Piętrzył komplementy. Pod jakimś pretekstem uciekłem od tego drania.

Tak przesuwalem się pod ścianami, unikając już zupełnie ludzi. Z coraz większą tęsknotą spoglądałem w okna. W oknach letnie, wygwieżdzone niebo. Całe to przyjęcie wydało mi się targowiskiem. Tyle pracowitych wysiłków pod pozorem bez troski i zabawy. Przy spełnianiu toastów, podczas tańca, nawet w drodze do toalety.

Miałem w tamtych latach wysokie mniemanie o godności twórcy i panujący tutaj sposób bycia szczególnie mnie rozdrażnił.

— Giełda i chlew! — powiedziałem do siebie i łapczywym haustem wychyliłem kieliszek wódki. Chciałem się znieczulić. Alkoholem jednak wznagał ostrość widzenia. Wszystko stało się coraz bardziej pokraczne i odpychające.

Chociaż spotykały mnie też objawy bezinteresowności. Ta smukła dziewczyna o twarzy madonny patrzy na mnie z sympatią. Nie wie kim jestem, nie zna mojej sztuki; podobam się jej wyłącznie jako ja bez żadnych przydatków. Przyjemnie muska mnie jej spojrzenie. Dalsza wymiana spojrzeń przerwana została przez marszandę ze Szwajcarii. Zaczepił mnie naraz, coś mówił, uśmiechając się serdecznie i potrząsając moją dłońią. Nic nie rozumiałem, ale potakiwać zacząłem energicznie głową. Aż w pewnym momencie niby tancerz posuwistym piruetem oddaliłem się od siwego grubasa.

Zająłem na powrót pozycję pod ścianą przy masywnej, okutej metalem skrzyni i oddałem się obserwacji barczystego, ospowatego mężczyzny, który był szefem partyjnego resortu kultury. Miałem go teraz w polu swego widzenia, odległego ledwie o kilka metrów. Jak garnęli się do niego artyści! Stosowali różne sztuczki i sposoby. Niby przypadkiem podsuwali się i po chwili udanego zaskoczenia rozpoznawali go wreszcie. Wytyczali drogę swego spaceru po pracowni z dokładnością geometrów i zderzali się z nim. Albo po prostu prosili gospodarzy o łaskę poznania ich z możliwym mecenasem. Podchodzili sztywni i godni, pełni pozornej niezależności i po kilku łaskawych słowach ospowatego topnieli niby воск. Było to widowisko! Wkrótce i ja wystąpię na tej scenie. Pan domu przecież pamięta o swojej obietnicy. Postanowiłem kuć żelazo póki gorące i sam wziąłem sprawę w swoje ręce.

— Stasiu! — zawołałem donośnie. Zwróciłem się do dostojnika zdrobnieniem jego imienia. Obejrzał się od razu. To go zgubiło. Przywołałem go poufałym gestem ręki. Poruszył się niezdecydowanie.

— No, chodźże! — ponowiłem zaproszenie niecierpliwym głosem. Podszedł.

Równocześnie zauważyłem skamieniałe nagle, zastygłe w czujności twarze gospodarzy, profesora i jego żony. Patrzyli z napięciem w naszą stronę.

Nie odtworzę już tej rozmowy ze Stasiem. Daremny trud. Minęło przecież tyle lat. Spróbuję jedynie oddać atmosferę, zacytować strzępy swoich wypowiedzi i opowiedzieć o jego reakcjach.

Otóż traktowałem go z pobłażliwością. Był w tym stosunek badacza, powiedzmy antropologa do przedstawiciela nieznanego nam plemienia, odkrytego w dżunglach Nowej Gwinei czy Borneo. To go bolało. Grymasy jego twarzy świadczyły o tym dobitnie. Wiercił się niespokojnie. Ale nie odchodził. Siłą swego ducha trzymałem go na uwięzi. Właściwie to był sympatyczny. Twarz miał mięsistą, szeroką, pełną dziobów po ospie; wyglądał na jakiegoś majstra, murarza, blacharza pracującego dużo na powietrzu, włosy gęste, falujące, przeczesywał je palcami. Ten ruch dłoni do włosów świadczył o rosnącej nerwowości, coraz częściej przegarniał czuprynę. Nie czułem do niego nienawiści ani szczególnie wrogości, był dla mnie pretekstem, źródłem inspiracji. Raczej podświadomie adresowałem swoją grę gospodarzom, tej parze znakomitych malarzy, którzy tak bujnie renesansowe prowadzili życie.

Począłem dopytywać się dygnitarza o ciężar jego obowiązków, dając mu przy tym do zrozumienia jak są błahе, zgoła fikcyjne i szkodliwe dla wolnego obiegu sztuki. Nawet zdobyłem się na metaforę i mówiłem coś o ślepej, potężnej sile słonia, który kolumnami swych nóg niszczy delikatne, piękne roślinki. Tymi roślinkami była sfera sztuki oczywiście. Także wyszydziłem jego podejrzaną tolerancję wobec malarstwa. Zapytałem perfidnie, czemu tak po macoszemu traktuje literaturę. Wydałem z siebie szyderczy śmiech i zawołałem: — Bo malarstwo jest niegroźne! Bohomazy i geometria. Mistrzowie pędzla popadli w abstrakcjonizm i dla was, cerberów, to jest idylla!

Dodałem jednak, że z młodszymi malarzami będzie miał większy kłopot. Młodzi bowiem wracają do realnego świata, z niego pragną czerpać inspirację.

— Chce malować widzialny świat! — powiedziałem z naciskiem. — Ale nie te kolorowe duperele! — lekceważąco wskazałem ręką dolną kondygnację pracowni, gdzie znajdowały się płótna mego profesora.

Demagogicznie przejawskrawiony wywód. Nie byłem przecież ślepy na walory kolorów czy wirtuozerię geometrycznej abstrakcji.

W oczach dygnitarza pojawił się popłoch. Na początku jeszcze próbował uśmiechać się dobrodusznie, bagatelizował mój monolog. Artyści upijają się często i wtedy ogarnia ich niepohamowane gadulstwo. Znał doskonale bohemę. Sądził więc, że ocknę się wreszcie i incydent zostanie uznany za niebyty.

Nic takiego jednak nie następowało. Nie byłem także pijany. Sprawa mu się skomplikowała. Ci artyści to dla niego zapewne była cwana i pokorna sfera pochlebców.

A ja wtedy naprawdę poczułem się wolny i nie krępowało mnie żadne ograniczenie.

— Sztuka... — wołałem — dość już ma tych wszelakich knebli. Prawdziwa sztuka nie da się wykastrować! — chwyciłem go za klapę marynarki i przyciągnąłem do siebie. — Rozumiesz? Bezwiednie przytaknął. Sapał i dyszał. Już nas otaczał podniecony tłum gapiów. Bardzo blisko uplasowali się gospodarze. Poważni, skupieni. Ani śladu niedawnej wesołości i wdzięku. Mistrz patrzy na mnie wściekłymi oczyma. Pani domu znieruchomiała jak posąg i wcale nie odpowiada na natarczywe pytania marszanda ze Szwajcarii.

A mnie wena w tej improwizacji nie opuszczała nadal. Przeciwnie, rosła. Czułem się jak natchniony demiurg. Bliskość słuchaczy pobudzała do dalszej inwencji.

Rozpocząłem nowy wątek. Zająłem się jego niedzielnym malarstwem. Wyraziłem życzliwe zdziwienie, że przy nawale partyjno-rządowych zajęć posiada jeszcze czas na to hobby. Radziłem poświęcić więcej czasu tej niedzielnej formie wytchnienia. Tylko to po nim zostanie. Jego bezinteresowna wrażliwość zarejestrowana na płótnie.

— Niedługo będziesz miał więcej czasu — powiedziałem zagadkowo.

Dlaczego tak powiedziałem? Nie wiem. Płynąłem przecież na falach improwizacji, która nie rządziła się regułami rozumu, logiki.

I ciągnąłem dalej: — Nie chcę cię zmartwić... — cały czas używałem tego poufalego zdrobnienia — Stasiu — ale wkrótce nastąpią nieoczekiwane zmiany w twoim życiu.

Wpatrywał się we mnie w skupieniu. Może pomyślał o rychłym awansie. Ja zaś niby kapłan chaldejski wpatrzony w swą czardziejską, szklaną kulę, oświadczyłem bez cienia najmniejszej wątpliwości, że dni jego kierowania resortem kultury są policzone. Oczywiście nie ma mowy o stanowisku sekretarza komitetu centralnego.

— Idziesz w odstawkę! — zakończyłem brutalnie. — Zrobią

cię ambasadorem w jakimś peryferyjnym nieważnym kraiku. Tyle że pensję dostawać będziesz w walucie wymienialnej.

Zachnął się gwałtownie. Z tą walutą nieco przesadziłem. Na pewno nie był facetem pazernym na forszę. Raczej władza i jej narkotyczny czar pociągały go najbardziej. Może wierzył w to, co robi. Uważał że inni będą gorsi.

— Czeka cię gorycz i nuda — powiedziałem jeszcze.

W tym momencie nastąpił koniec uniesienia. Zgasłem jak meteor. Poczułem pustkę i zmęczenie. Rozboleła mnie głowa, ucisk w oczodołach. Wpatrzyłem się w okno. Piękny nieboskłon, wysoki i bogato inkrustowany gwiazdami wabił moje zmęczone oczy. Wdychałem chciwie powietrze letniej nocy.

A kiedy odwróciłem spojrzenie od okna, wokół mnie była pustka. Goście otaczali dostojnika. On wyrwał się do wyjścia. Purpurowy i wściekły. Nasadził na głowę kapelusz. Gospodarze zatrzymywali go z gwałtowną serdecznością. Profesor obejmował oburącz, jego żona całowała w dziobaty czerwony policzek.

Przesunąłem się za ich plecami. Ukłuło mnie ostatnie spojrzenie pani domu. Zimne, wrogie. Barbarzyńca w ogrodzie. Zburzyłem im klasyczną harmonię. Tak pomyślałem o sobie z pewnym wyrzutem sumienia wobec gospodarzy. Bardzo byli dla mnie życzliwi.

Nie jest to jednak koniec tej historii. Po dwóch tygodniach przeglądając codzienną gazetę, organ partii, wyczytałem w stałej rubryce pt. „Kronika zmian kadrowych”, że dziobaty dostojnik zwolniony został ze stanowiska kierownika wydziału kultury i powołany na ambasadora do Mongolii. Nie wierzyłem swoim oczom! Przeczytałem jeszcze raz. Tak, nie omyliłem się. Chodziło o ospowatego. Ambasador w Mongolii! Jurta i kumys. Pustynia Gobi. On nawet podobny do Mongoła. Wyobraziłem sobie nadwyżkę wolnego czasu, którą poświęcić może na malowanie.

Byłem dumny z siebie. Moja przepowiednia sprawdziła się co do joty.

I jeszcze nie koniec na tym. W kilka dni potem szedłem ulicą w pobliżu gmachu komitetu centralnego partii i nagle znaleźliśmy się naprzeciw siebie. Taki przypadek. Oko w oko. On i ja. Wysiadał akurat z samochodu. Dziobata twarz skamieniała. Zapatrzył się na mnie. W tym spojrzeniu była bezbrzeżna głębia zdumienia. Jakby nieme pytanie: człowieku, skąd o tym wszystkim wiedziałeś? Dopiero po chwili jego oczy odskoczyły od mojej twarzy. Ruszył z kopyta w kierunku swego gmachu. Obejrzałem się. On też.

ŻYDOWSKI HRABIA

Byłem wtedy w komitywie z Platerem. Hrabia, ale bardzo warszawski, swojski. Mieszkał w starej czynszowej kamienicy w sercu miasta. Znał doskonale życie bazarów i knajp. Namiętnie grywał na wyścigach konnych. Przegrywał i wygrywał z jednakową pogodą ducha. Nie posiadał żadnych kosztowności rodzinnych, bransolet, kolii czy złotych monet. Z dawnej świetności pozostał mu jedynie sygnet. Nosił go zawsze na przedostatnim palcu prawej dłoni. W latach stalinowskich był zamiataczem ulic i jego opowieści o tym zajęciu skrzyły się przewrotnym humorem, urodą życia i komizmem.

Kiedy się poznaliśmy czas swój dzielił na wyścigi i blacharkę samochodową. Pracował dorywczo w warsztacie u prywaciarza. Prywaciarz był snobem i hrabia wprowadzał go w arkana heraldyki, herbarzy i genealogii starych rodów.

Często wyglądało to mniej więcej tak: Zastłuchany szef w wyszmelcowanym kombinezonie, z uniesionymi na czoło okularami i palnikiem acetylenowym w rękach, a z ciemnego kąta szopy dochodził przyjemny głos hrabiego: Książęta Thurn und Taxis spokrewnieni są z Radziwiłłami przez... I tak dalej. W dodatku lekko grasejował.

Tego dnia hrabia otrzymał tygodniówkę od swego pracodawcy i ruszyliśmy w obchód po knajpach. W barze „Metro” przywitał się serdecznie z brodatym śmieciarzem o wyglądzie patriarchy. Niegdyś gościł tego bezdomnego włóczęgę w swoim mieszkaniu. Gdzie indziej wdał się w dyskusję z człowiekiem w okularach. Był to wybitny muzykolog ze skłonnością do alkoholu. Obaj ze znawstwem rozprawiali o wirtuozerii pianistycznej Józefa Hoffmana. Dzwoniło szkło. Hrabia miał szeroki gest i wszędzie

gdzie wstępowaliśmy stawiał hojnie znajomym i nieznajomym. Potrzebującym udzielał pożyczek.

Podziwiałem jego beztroskę: ojciec czworga dzieci, piąte było w drodze. Hołdował zasadzie dni chudych i tłustych. Dziś był dzień tłusty. I zawędrowaliśmy jeszcze do nocnego lokalu, który w tamtych latach cieszył się największą estymą w mieście. Plater pobiegł od razu po schodkach do cocktail-baru. Tam zbierało się doborowe towarzystwo bywalców.

Natomiast ja zostałem zatrzymany przez znajomych oficerów zajmujących łożę na podwyższeniu w sąsiedztwie orkiestry. Było ich trzech. Wszyscy z pionu armijnej kultury i propagandy. Najstarszy był podpułkownikiem, dwaj jego koledzy w randze majorów. Podpułkownik wojsk lotniczych był wiceszefem wydawnictwa. Drugi piastował jakieś stanowisko w zarządzie politycznym armii, a trzeci prowadził dział odpowiedzi na listy czytelników w tygodniku żołnierskim.

Powitali mnie serdecznie. Istniała między nami więź sympatii i podpułkownik w stalowym mundurze nieraz już proponował mi wydanie książki w swoim wydawnictwie.

— Umowę masz u mnie na pniu! — wabił. — Od razu! — Obiecował wyższą stawkę za arkusz.

— Mamy możliwości — powiadał i mrużył jedno oko, drugie było martwe, szklane. Na imię miał Apoloniusz. Major z zarządu politycznego koniecznie chciał zorganizować dla mnie cykl spotkań autorskich z żołnierzami w jednostkach i na poligonach.

— Dwadzieścia, trzydzieści wieczorków... ile chcesz!

Dotąd nie skorzystałem z tych życzliwych ofert, ale od towarzyskich spotkań z nimi nie stroniłem.

Miałem pewną słabość do oficerskiego munduru i grały tu niepoślednią rolę atawizmy z dzieciństwa. Mglista pamięć wujka ułana, albumy ze zdjęciami legionistów Piłsudskiego, opowieści o sławnych zagończykach, partyzanckiej wojnie z okupantem, o tych wszystkich „Kmicicach”, „Bohunach”, „Wirach”, „Młotach” i „Ponurych”.

Patrzyłem więc na trzech roślących, krzepkich mężczyzn z sympatią. Prezentowali się okazale, z baretkami odznaczeń na mundurowych kurtkach. Jednooki podpułkownik Apoloniusz wyglądał jak prawdziwy weteran rozmaitych bitew i szarż, choć nie był frontowcem, tylko po wojnie, jak powiadał, ścierał się z reakcyjnym podziemiem.

Ponadto pili gorzałkę jak wodę, tężyznę w tym względzie mieli imponującą. Podpułkownik Apoloniusz im więcej przyjmował, tym bardziej stawał się skąpy w słowach, ruchach, gestach. A ten z zarządu politycznego, najmłodszy, Grzegorz, śpiewał

dźwięcznym głosem rosyjskie, sprośne piosenki, znał też ukraińskie dumki, ale śpiewania dumek wystrzegał się w miejscach publicznych.

Zasiadłem w tej oficerskiej kompanii i uraczyli mnie gościnnie wódką. Oni nie lubili pić kieliszkami, używali angielek i opróżniali szkło jednym haustem do dna. Często żądali na zakąskę razowego chleba i po wypiciu wachali chleb z rozkoszą.

Emanowała z nich spokojna pewność, siła i energia. Rozmawiali jak zwykle o jakichś naradach, spotkaniach, jak zawsze powoływali się na generała Moczara.

— Mietek powiedział... — używali takiego zwrotu i miało to charakter ostatecznego argumentu.

Tej nocy przedmiotem rozmowy była niedawna uroczystość w pałacyku pod Warszawą, gdzie po części oficjalnej nastąpił piknik na łonie natury i piekli w ognisku baranie mięso, popijali wódkę z blaszanych kwart i generał Moczar coś ważnego im powiedział. Musiało to być szczególnie dla nich ważne, gdyż sięgając po szklaneczki już drugi raz wznosili toast: — Żeby niedługo!

Wyglądali na bardzo zadowolonych i moje pytanie, co takiego wkrótce ma nastąpić, zbyli pobłażliwymi uśmiechami, a jednooki podpułkownik Apoloniusz poklepał mnie po plecach.

— Pożyjesz, zobaczysz — rzekł krótko.

Wraz z orkiestrą występowała śpiewaczka i najmłodszy z nich Grzegorz podbiegł do podium, pocałował ją szarmancko w rękę i poszeptał chwilę. Zaraz ta śpiewaczka w sukni mieniącej się kolorowo niby rybia łuska, ujęła w dłoń mikrofon i zaśpiewała — „O mój rozmarynie, rozwijaj się...”.

— To dla nas — szepnął Grzegorz.

Wszyscy trzej słuchali tej żołnierskiej piosenki w nabożnym skupieniu. Wydało mi się nawet, że to żywe oko podpułkownika Apoloniusza załśniło łzawo. Występ śpiewaczki nagrodzili oklaskami. Biłem w dłonie wraz z nimi.

— Nadchodzą wielkie dni — rzekł major Parobczyk, który odpowiadał na listy w żołnierskim tygodniku; wpatrzył się w sufit ozdobiony migocącymi gwiazdkami.

— Czystki i porządki — dodał jednooki podpułkownik Apoloniusz i walnął szeroką jak łopata dłonią w blat stołu, aż zadzwoniły rozpaczliwym chórem butelki, szklanki, kieliszki i talerze.

Akurat na schodkach prowadzących do cocktail-baru pokazała się wysoka postać Platera. Zawołałem go. Niech pozna moich wojskowych kompanów. Zbliżył się powolnie. Wysoki i ciemno-

włosy, ze swoją małą w szpic przystryżoną bródką, wyglądał jak hiszpański grand. Oficerowie przyglądali mu się z ciekawością. On im też. I — stanawszy przed naszym stolikiem — niedbale wyciągnął dłoń. Uczynił to takim charakterystycznym gestem, jakby podsuwał im ją do całowania i jednocześnie wycodził — hrabia Plater jestem!

Oficerowie wyglądali na skonsternowanych. Wlepili oczy w jego dłoń. Niedbale i luźno podsunął na wysokość ich ust. Z sygnetem na przedostatnim palcu. Mimo pracy fizycznej dłonie miał czyste, wypiełgnowane, o długich, smukłych palcach. Wyzywające. Patrzyli jak zahipnotyzowani. Plater zaś czując swą przewagę, wyłącznie już był pochłonięty kreacją. Wydał lekko wargi i oczyma zdawał się mówić: „Na kolana, chamy!”.

Pierwszy odsunął się jednoooki podpułkownik Apoloniusz. Jego twarz spurpurowiała. Zerwał się z krzesła. Chłop był jak dąb, w złości niebezpieczny. Kiedyś jednym ciosem znokautował znanego autora pieśni patriotycznych, który obraził jego żonę. Wściekły był również major Parobczyk, publicysta z tygodnika żołnierskiego. Zbielały mu palce, którymi trzymał szyję butelki po wodzie mineralnej. Może z powodu nazwiska? Parobczyk i hrabia. Nasuwało się to skojarzenie. Spokój zachował major Grzegorz, ten z zarządu politycznego armii. Stanowczym ruchem ręki powstrzymał gotującego się do ataku podpułkownika Apoloniusza. Roześmiał się i podniósł kieliszek: — To ci błazen! Abyśmy! — Choć najmłodszy wiekiem, był niewątpliwym autorytetem w tym gronie. Rozładował napięcie. Uspokoił się trochę.

A ja czym prędzej odpędziłem Platę od naszego stolika. Oddalił się majestatycznie. Odprowadzili go ciężkimi spojrzeniami.

Próbowałem poprawić popsutą atmosferę.

— Polek! — zwróciłem się do podpułkownika Apoloniusza. — To oryginał. Zresztą autentyczny hrabia. Stary ród, tradycje. No wiesz, Emilia Plater, dziewczica bohater...

Przerwał mi wściekle.

— Jaki tam hrabia! — warknął. — Gudłaj jakiś! Tak wyglądał!

— Ależ Polek!

— Mało to razy arystokracja parzyła się z plutokracją. Mieszali się kurwie! — Kłął długo i szpetnie.

— Gudłaj — powtórzył major Parobczyk i to stwierdzenie jakby mu ulżyło.

Grzegorz, major z zarządu politycznego, uśmiechał się i kręcił młynka palcami. Jego uśmiech był grymasem gracza; oczy pozostawały skupione.

Potem zaczęli rozmawiać ściszonymi głosami. Wyraźnie ignorowali moją obecność. Opuściłem ich i udałem się do baru w poszukiwaniu hrabiego Platera.

Był to luty, od marca zaś moi oficerowie niby orły zaczęli się wzbijać w hierarchii rang i stanowisk.

Apoloniusz został pełnym pułkownikiem. A wkrótce po tym awansie dyrektorem wydawnictwa. Jego zapalczą twarz zacząłem widywać na szklanym ekranie telewizora, zabierał głos w sprawach wagi państwowej i obywatelskiej.

Major Parobczyk z kierownika działu w tygodniku żołnierskim przesunął się na pozycję zastępcy naczelnego redaktora.

Najwyżej awansował major Grzegorz, który w bardzo szybkim tempie został generałem brygady i ważną szyszką w armijnej propagandzie. Jego nazwisko wymieniano w samej czołówce nazwisk z okazji uchwał i oświadczeń zapadających na konferencjach, plenach i zjazdach.

Raz widziałem go jak wysiadał z czarnego samochodu. Generalskie lampasy zdobiły jego spodnie.

W tym samym czasie Plater rozpoczął starania o wyjazd emigracyjny. Podał się za Żyda. Przystosował się należycie do nowej kreacji: puścił sobie brodę, długą i dziką, rabinacką, można powiedzieć, jego płonące oczy wzmacniały ortodoksyjną sugestywność wyglądu. Był jak Josie Kałb z powieści Singera, którą akurat czytałem.

Otrzymał tzw. paszport w jedną stronę. Sprzedał dobytek, mieszkanie; wraz z żoną i pięciorgiem dzieci gotował się w daleką podróż. Jednak w odpowiednim wydziale resortu, zajmującym się pochodzeniem obywateli odkryto jego szyderczy żart i cofnięto go z pociągu przed samą granicą.

— Nie wyszedł wam ten numer — oświadczył cywil, który asystował wopistom przy wysadzaniu go z pociągu.

Plater jednak wcale nie upadł na duchu i jeszcze bardziej umocnił się w swojej roli.

Nosić zaczął czarny kapelusz i czarną jesionkę z aksamitnymi wyłogami na kołnierzu, broda urosła mu do pasa, oczy miał króliczo zaczerwienione, jakby od nocnego ślęczenia nad Talmudem. Istny chasyd, który dziwnym zbiegiem okoliczności zmartwychwstał na tej ziemi.

Nadal uczęszczał na wyścigi i nad wyraz spokojnie znosił spojrzenia i kpiny braci Słowian.

Dalsze dzieje trzech oficerów są mi znane dość powierzchownie. Oto co mogę o nich powiedzieć: żelazny organizm jednookiego pułkownika Apoloniusza nie wytrzymał w końcu naporu wody ognistej. Pewnego razu wracał o świcie z libacji i spostrzegł

nagle jak otaczają go zewsząd niedobici syjoniści. Odrażające postacie wynurzały się z bram i piwnic. Prali go ze wszystkich stron. Nie dał się dzielny wojak. Zaczął ostrzeliwać się z parabelki. Postrzelił bezdomnego włóczęgę, który w tę letnią noc spał pod śmietnikiem. W ataku delirium tremens przewieziony został do szpitala dla wariatów. Jego kariera załamała się definitywnie. Przeniesiono go w stan spoczynku. Generał brygady Grzegorz w tajemniczych okolicznościach zdegradowany został do szeregowca i ostatecznie usunięty z wojska. Podobno pracuje jako księgowy w spółdzielni inwalidów wojennych. Można sobie wyobrazić jego upadek życia. Płacz i zgrzytanie zębów. Na placu boju pozostał jedynie major Parobczyk. Picia alkoholu zaprzestał z powodów wątrobowych. Natomiast Plater po kilku latach koczowania kątem u krewniaków (mieszkanie i cały dobytek sprzedał przecież) otrzymał paszport i wyjechał do Szwecji. Tam wiedzie mu się nieźle. Z rzadka pisuje kartki z pozdrowieniami i wyraźnie zaznaczoną tęsknotą za wyścigami konnymi na Służewcu.

Niedawno spotkałem na spacerze w parku jednookiego Apoloniusza, pułkownika w stanie spoczynku. W cywilnym stroju nie prezentuje się tak okazale jak dawniej. Garnitur przyciasny i pomięty, porusza się niezgrabnie.

Opowiedziałem mu o losach hrabiego Platera.

— Żydowski hrabia! — zazgrzytał sztuczną szczęką. — Jak szczerz opuścił nasz okręt!

I szeptem podzielił się ze mną swoimi najnowszymi podejrzeniami. Dotyczyły osoby generała Jaruzelskiego.

Przyłożył dłoń pod brodę. Gest ten symbolizuje sławetne pejsy.

— Rozumiesz?

Poczułem lekką woń alkoholu. Jednak popija nadal.

HISTORIA PEWNEJ PRZYJAŹNI

Należy wskrzesić pisarkę z pieskiem. Bywała u niego często. Jaki był piesek. Szczegóły są ważne. Z nich buduje się historię. Był to jamnik. Mówię „wskrzesić” nie bez przyczyny. Nie tylko czas minął, nie ma ludzi tamtego czasu. Pisarka twarz miała drobną, wydłużoną i wielkie, czarne oczy. Ekscentryczka, paliła mnóstwo papierosów w długiej, szklanej lufce. Wtedy była mowa o jej książce. Dla dzieci, ale nie tylko. Również dla dorosłych. Książki nie pamiętam. Może nie czytałem. Lub czytałem i nie pozostawiła wrażenia. Często rozmawialiśmy o książkach. W ogóle o literaturze. O wszystkich nowościach. Był to czas październikowy. Życie literackie ożywiło się znacznie.

Mieszkanie, które zajmował było dużym pokojem z kuchenną wnęką. Mnóstwo ludzi. Dom prowadził otwarty. Przychodziła głośna aktorka. Późną nocą po przedstawieniu. Jeszcze jakaś pani, redaktorka w wydawnictwie. Przyjaźnił się z kobietami. Powiernik, zwierzały mu się ze swoich kłopotów, dramatów. Noc, płacz pisarki z pieskiem. Umiał słuchać. Był człowiekiem samotnym i mówiono o jego wielkiej zażyłości z Markiem Hłasko. Hłaski już nie było w Warszawie. Wyjechał do Paryża. W tym mieszkaniu na ostatnim piętrze nieraz go wspominano. Powoli stawał się legendą. W jego opowieściach o Hłasce czuło się miłosną rzewność. Szczególnie po alkoholu. Czas był żywy, pulsujący, chociaż nadzieje października już wygasły. Jednak w kręgach artystów ciągle jeszcze istniał znaczny ferment. Po latach stalinowskiego zacisku świat stawał się bardziej otwarty. Wiele błazenady, wiele pustych słów. Race efektownych improwizacji. Kwitło życie towarzyskie. Można było mówić do woli. Nie miał skłonności do gadulstwa. W rozdyktowanych papuzich towarzystwach milczał lub odzywał się monosylabami. Głos miał

powolny, nosowy. Oczy nieruchome, nieco krowie. Postury barczystej. Trochę głąz. Chodziło się do „Kameralnej”. Nocnej i dziennej. Tam zbierała się elita. Malarze, pisarze, aktorzy. Jerzy Andrzejewski wysiadywał w nocnym barze. Mocno popijał i ludzie spoza branży poszeptywali, wskazując sobie sławnego pisarza.

Jako młody adept literatury odkrywałem nieznane środowisko. Zjawiałem się o zmroku w tym jego mansardowym mieszkaniu i ruszaliśmy w wędrowkę po kawiarniach i knajpach. Był czołowym krytykiem literackim w tamtym czasie. Pisywał pierwsze szkice o twórczości Gombrowicza, omawiał książki z serii obračunkowej dotyczącej „błędów i wypaczeń stalinizmu”, wprowadził na wysoką pozycję giełdy literackiej Marka Hłaskę, także mojej pierwszej książce dał pozytywną notę. Na pewno żywił do mnie szczególnie sentyment ze względu na imię, które przypominało mu przyjaciela, a moja penetracja przedmieść Warszawy i półświatka więziennie-złodziejskiego nasuwała mu skojarzenia z opowiadaniem autora „Pierwszego kroku w chmurach”. Później krytyka zajmująca się szufladkowaniem pisarzy opracowała definicję „hłaskoidów” i jako pierwszy znalazłem się na tej liście. Powracam do wątku pijatyk i knajp. W tym pokutował stereotyp bohemy, Młodej Polski, czegoś takiego. Artysta winien pić i zaznaczać swą odrębność wobec społeczeństwa, tego stada mulistych filistrów. Jeszcze dochodziło nasze, polskie nieszczęście. Ciągłe w jakichś więzach, zakneblowani, pozbawieni możliwości pełnego głosu. Ropiejący cierń. Pili artyści tego i ekscentrycznie.

Pamiętam taki ranek wiosenny: ulica Foksal, ważna ze względu na osławioną „Kameralną” i Klub Dziennikarzy. Nagle z ciemnej czeluści bramy starej kamienicy (tam zachowało się kilka takich kamienic) wynurzył się lunatycznym krokiem znany grafik młodego pokolenia, cały unurzany w węglowym pyłe. Musiał ucztować w jakiejś piwnicy. Najniższego autoramentu pijaczkowie, śmietnikowcy, stare ulicznice-gruzinki; miała ta bohema swoje apartamenty w suterrenach. Artyści zaś chętnie zapuszczali się do samego dna. To należało do kanonu.

Młody grafik nieźle tam popił, oczy miał ślepe, ruchy ślepe i twarz napiętą od wysiłku docelowej drogi. Oczywiście podążał do „Kameralnej”. Wyglądał jak alkoholowy święty. Szedł i powtarzał z uporem takie oto zdanie: Tata Marmieładow przebalał wszystko. — Już piąty dzień jest w cugu — mówili z szacunkiem znawcy.

Starałem się nadażyć za czołówką. Organizm jeszcze nieźle dawał sobie radę z tym obowiązkiem i uchodziłem za dobrego zawodnika.

Mój przewodnik po obszarze sztuki też głowę miał mocną i chadzał ze mną po knajpach i melinach Pragi, Annapola i „Syberii”, skupiskach ruder w okolicach ulicy Towarowej. On otwierał przede mną kluby i salony, ja jemu w rewanżu mordownie, gdzie schodził się półświatek. Prym wodzili faceci w rodzaju niejakiego Heńka Mądrego, starca o kondycji do gorzały niebawiającej, Mądrym przezwanego z powodu notorycznego nieróbstwa. Nigdy nie pracował, był swoistym poetą życia z dnia na dzień, beztroskiego i wolnego. Mojego nowego znajomego zafascynowała życiowa postawa starego wygi i przydał temu filozoficzny sens, wymiar, wywodząc o bezsensie mrówczej krzątaczki wokół kariery, pieniędzy i innych złud.

Odwiedzaliśmy więc wymiennie Bristol czy Klub Artystów lub „Oazę”, dosyć zakazaną praską knajpę. Wychodziliśmy o brzasku, snuliśmy się pustymi ulicami, na których dopiero pojawiali się roznosiciele mleka i patrzyliśmy na wschód słońca nad Wisłą. Jak bardzo smakowały gołąbki w sosie pomidorowym, które podawano w najwcześniejszej otwieranej knajpie na Zieleniak, targowisku, dokąd zjeżdżali furmankami bacylarze z ziemiopłodami na sprzedaż! Wtedy najchętniej rozmawialiśmy. Opowiadałem mu swoje dzieciństwo i wczesną młodość we Włochach pod Warszawą, skłonność do złego towarzystwa, jak mawiała matka, dwukrotny pobyt na Gęsiówce — starym więzieniu wśród gruzów getta, gdzie powstawała nowa dzielnica bloków mieszkalnych, Muranów. On o sobie mówił skąpo. Pochodził z niedużego, mazowieckiego miasteczka. Był starszy ode mnie i zaważył o konspiracji podczas okupacji. Po wyzwoleniu miał jakieś tarapaty z bezpieczeństwem. Studiował polonistykę na uniwersytecie, został asystentem i otwierała się przed nim kariera naukowa. W stalinizmie trzymał się na uboczu i dopiero czas odwilży otworzył przed nim perspektywy. Zaczął pisywać o literaturze. Reprezentował typ krytyki przyjacielskiej wobec pisarzy i zajmował się tylko tym, co odpowiadało jego gustom i poglądom. Zdobył autorytet i rangę krytyka piszącego po nowemu. Z natury był pesymistą i nie obiecywał sobie zbyt wiele po zachodzących przemianach. Wtedy już rozpoczął się sławetny odwrót Gomułki od liberalizacji życia społecznego i on coraz częściej z fatalistycznym upodobaniem używał znanego powiedzenia z „Trans-Atlantyku”: — Nie jestem ja taki głupi, żebym coś mniemał albo nie mniemał. — A o życiu w ogóle powiadał: — Straszność najstraszniejsza. — Także z „Trans-Atlantyku”.

Naszą znajomość można już było nazwać przyjaźnią. Ceniłem go za delikatność i szanowaliśmy się nawzajem, respektując swoje intymne strefy suwerenności. Nie byłem w obyczaju doktryne-

rem i jego osobiste sprawy nie budziły mojej niezdrowej ciekawości. Wystrzegałem się kategorycznego oceniania ludzi. Wychowany w okupacji i stalinizmie, wiedziałem jak łatwo człowiek może zmuszać innych do uległości w myśli, czynach, wszystkim. Zapamiętałem przecież doskonale choćby to dzielne skandowanie na akademiach i masówkach. Kogoś czciliśmy, kogoś potępialiśmy. Tak nam kazano. Pewno miał bogatsze doświadczenia w tym względzie.

Najbardziej więc ceniliśmy wolność wyboru.

— Moją ojczyzną syncyzna! — jak mawiał Puto z „Trans-Atlantyku”, którym wówczas rozczytywaliśmy się niby biblią. Obaj zaśmiewaliśmy się z tych szarż obrazoburczych mistrza Witolda.

W swojej hierarchii ocen literackich przywiązywał wielką wagę do problemów ostatecznych, tropił ślady sensów metafizycznych. Pamiętam jego szkice o twórczości Hanny Malewskiej. Żył literaturą. Światem budowanym na papierze. Realność istniała dla niego na dalszym planie. Nie dążył do kariery, sławy, materialnych profitów; życie prowadził spartańskie, potrzeby miał zminimalizowane. Był nieustrudzonym odkrywcą młodych talentów w prozie. Stosy maszynopisów, zalegające jego biurko. Czytywane skrupulatnie, opatrzone notatkami. Cierpliwość i rzetelność w tropieniu pisarskich umiejętności. Pomoc, której nigdy nie odmawiał. Radość z odkrycia czegoś godnego uwagi. To zalety godne utrwalenia. W czasach dewaluacji słowa pisanego nabierają szczególnego znaczenia. Pozwalają jeszcze wierzyć w literaturę.

Fascynowała go skłonność do pisania, która rodzi się nie wie-dzieć kiedy i dlaczego. Czy młodość odgrywała zasadniczą rolę? Takie i inne pytania stawiam sobie teraz. Młody człowiek. Młody pisarz. Początek, kipiel, świeżość. To jest magnes.

Nasza przyjaźń obrastała w lata. Spotkania, rozmowy, już mniej wędrówek gastronomicznych, ale ciągle potrzeba, chyba potrzeba. Zdarzały się różnice zdań, poglądów. Ze sporą dozą sceptycyzmu traktowałem jego upodobanie do tematu wiejskiego w literaturze. Był heroldem, który obwieszczał pojawianie się pisarzy zajmujących się wsią, chłopem itp. Nie widziałem w tym nurcie zjawisk szczególnie wybitnych. Może poza jednym, prozaikiem i poetą z Krakowa. Ale to kwestia gustu tylko.

Czas, o którym chcę więcej napisać był ofensywą „partyzan-tów” pod wodzą generała Moczara. Ta prężna grupa szykowa-ła się do przejęcia władzy. Szermowała chwytliwymi hasłami patriotycznymi i nacjonalistycznymi. Zmianę warty chcieli spowodować między innymi pod szyldem oczyszczenia aparatu władzy z pry-matu syjonistów, kosmopolitów, ludzi, jak mówili, co mają więcej

niż jedną ojczyznę. Odżył wtedy stary, polski antysemityzm, stał się wentylem dla wszystkich goryczy, klęsk, urazów i osobistych nienawiści nagromadzonych obficie w powojennej historii Polski. Jak za cara hulała czarna sotnia.

Kilku pisarzy z ochotą zgłosiło swój akces do tego ruchu odnowy. Pamiętam, jak jednego z nich, człowieka pełnego jadu i goryczy z powodu nienasyconej potrzeby faworów, spotkałem przypadkiem na Krakowskim Przedmieściu. Zrazu zaczął lirycznie i nostalgicznie o tych żółtych i purpurowych liściach na drzewach — jesień wtedy; potem z miodową nutą w głosie o przywódcy partyzantów — Mietek — tak o nim mówił. Coś wywodził o jego roli mecenasa, dobrodzieja sztuki. Na koniec spaceru, ocknąwszy się z samozadowolenia oświadczył: Ale to nieprawda, że ja mu pisałem „Barwy walki”, uwierz mi!

Innych, mniej podatnych artystów wzywano na rozmowy do MSW. Policja, której ministrem był Moczar, przystąpiła do intensywnych działań. Często jako pretekst do rozmów służyła tajemnicza śmierć syna wodza Paxu Bolesława Piaseckiego, którego znaleziono martwego w piwnicach „Delikatesów” na Świerczewskiego.

Byłem i ja w ten sposób indagowany. Humorystyczne akcenty dominują w moich wrażeniach. Na początku upačkano mi opuszki palców tuszem i zrobiono ich daktyloskopię odcisków. Następnie został włączony magnetofon i posłyszałem nagrane na taśmie nieartykułowane okrzyki, świsty, klakson samochodu, historyczny głos kobiety wykrzykuje jakiś adres.

— Rozpoznaje pan głosy? Czy ten adres coś panu mówi? — pytał funkcjonariusz MSW.

Na niego rozmowa w MSW podziała piorunująco. W tej próbie rekonstrukcji rozmowa (może rozmowy, przypuszczam, że tych rozmów było więcej) staje się czymś podobnym do elektrowstrząsu. Brak odporności, szantaże, strach, poraziła go ich wiedza o jego życiu osobistym, doświadczenie powojenne. Nie wiem. Wszystko w sferze domysłów. Patrzyłem na niego ze zdumieniem. Zawsze wydawał mi się silnym człowiekiem, przygotowanym na najgorsze. Tymczasem zdradzał wyraźne zakłócenia równowagi psychicznej. Nie wyrażał się jasno. Ogólniki, historyczne wzburzenie. Sciszał głos, oczyma wskazywał ścianę. Za ścianą pojawiało się groźne sąsiedztwo. Z wyrwanych słów, niedopowiedzeń i gestów domysliłem się, iż tam za ścianą w jego mniemaniu znajduje się siedlisko tajnych służb. Zainstalowali się ze względu na niego. Śledzą go i dręczą. Posiada niezbite dowody. W swoich teczkach i maszynopisach pozostawiał strzępki papieru, nitki, swoje znaki. Po powrocie do mieszkania stwierdzał zmianę ich poło-

zenia. W czas jego nieobecności penetrowali teczki, książki, szuflady. Żył w stanie ciągłego zagrożenia. Zachowywał się jak osaczone zwierzę, które nawet w swej norze przestało być bezpieczne. Nie wiedziałem, co mówić. Racjonalne zwątpienie w realność jego podejrzeń powodowało nieufność wobec intencji moich słów. Czy nie jestem z nimi w zмовie? Czytałem w jego oczach. Próbowiałem żartu, terapii żartu. Opowiedziałem mu kiedyś o swoim dawniejszym doświadczeniu z tajną policją. Zdarzyło się to przy okazji mego powrotu z pierwszej podróży zagranicę. W tę podróż pożyczyłem walizkę od Niemca, dziennikarza z RFN-u, przebywającego w naszym kraju.

— To nie mogliście pożyczyć walizki od Polaka, tylko od Szkopa! — mówił groźnie funkcjonariusz.

Chciał mnie przycisnąć, żebym dalej przyjaźniąc się z Niemcem, został ich „okiem i uchem”.

Sam się jednak śmiałem. On nie śmiał się wcale. Mój śmiech jeszcze bardziej pogłębił obcość między nami. Jakby wymiar jego udręki nie był dla mnie dostępny. Więc mu potakiwałem. Siłą rzeczy w naszą przyjaźń wkradła się sztuczność. Potakując nie byłem przecież szczery. Dla mnie było to przykre doświadczenie. Coś zostało zniszczone. Coś stanęło nam na przeszkodzie. Zagubił się cenny dar. Czas początku naszej znajomości nabierać zaczynał z oddalenia posmaku idylli, wolności. Duszne stawało się nasze życie. Brakowało nadziei. Niejeden z niedawnych junaków zamieniał się w cichego, pokornego zjadacza chleba. Nie mówiąc już o tym, jak wielu narodziło się cynicznych cwaniaków, którzy w tych latach mnożyli się jak grzyby po deszczu.

W nim już na stałe zagnieździł się strach. Przekonałem się o tym uczestnicząc w kilku protestach środowiska pisarzy przeciw poczynaniom władzy (Polacy w ZSSR, poprawki do konstytucji). Wtedy wyczytałem w jego oczach wyraźną dezaprobatę. Jakby mnie ostrzegał. Choć nigdy o tym nie mówiliśmy. Znałem go jednak na tyle, żebym mógł tak przypuszczać.

W latach siedemdziesiątych począłem coraz bardziej piórem dotykać spraw społecznych. Fascynowały mnie mechanizmy naszego życia, wpływ władzy, polityki na ludzi, to co robią, myślą; cała ta złożona rzeczywistość kraju. Był odmiennego zdania i uważał, że ta warstwa społeczno-polityczna nie wyszła mojemu pisaniu na zdrowie. Jego prawo. Przyjąłem tę ocenę bez urazu. Nie miałem pewności co do swoich dokonań. Intuicja podyktowała mi drogę. Jedynie wyboru drogi byłem pewien. Nadal był dociekliwym badaczem debiutanckich tekstów i szereg młodych autorów jemu zawdzięcza druk swoich pierwszych książek.

Pisywał o nich regularnie. W którymś ze swych szkiców ogłosił manifest rewolucji w młodej literaturze. Czytając rekomendowanych przez niego autorów, nie odczuwałem satysfakcji. Przeważnie były to sążniste, rozbudowane monologi, pozbawione jakichkolwiek związków z realnym życiem. W Polsce czyli nigdzie. Tak widziałem świat tej prozy.

Poznałem kiedyś jednego z autorów jego „stajni”, jak zaczęto wtedy powiadać złośliwie.

Było to upalnego lata w Zalesiu. Pojawił się młodzieniec w okularach. Autor grubej powieści, jeszcze przed książkowym wydaniem, opatrzonej entuzjastyczną zapowiedzią krytyka. Mówił dużo i chętnie. Od najwcześniejszych lat przebywał w szpitalach psychiatrycznych i pisanie jako terapia stało się jego dobrodziejstwem. Powodowało dłuższe okresy spokoju nie wymagające leczenia zamkniętego. Niewątpliwie kreator jego debiutu miał zasługę dobrego uczynku. Chaotyczne, płynące w tasiemcowym ciągu jak rzeka bez kontroli pisanie młodzieńca nie było jednak literaturą na miarę wydarzenia. Zapytany o sposób pracy, odpowiedział, że po prostu zaczyna i rzecz sama rozwija się bez przeszkód. Trudno mu skończyć!

Nie piszę tego powodowany małostkową złośliwością wobec krytyka i opiekuna młodych talentów. Stwierdzam jedynie stan swego niepokoju. Przeczytałem starannie książki najwyżej przez niego ocenione. Może to laboratorium. Ćwiczenia polowe. Ale nic z tego jeszcze nie wynikało. Pusty obszar. Proza ta nie miała życia, rozděta i werbalna, karmiła się jedynie wyobraźnią autorów. Powstawała na dalekim uboczu polskiej rzeczywistości, pełnej tępnięć, dramatycznych losów ludzi, przeszłości ciągle żywej, wyłaniającej się zza pleców teraźniejszości. W tej puli zdarzały się książki świetne, nawet zastanawiające. „Panna Lilianka” Szuberta czy ta druga, wiejska, zbudowana z białorusko-polskiego narzecza. Ale nie były zwiastunami jakiegokolwiek rewolucji w prozie. Język potoczny, gwara. Z tego tworzywa już nieraz korzystano.

W szkicach mego dawnego przyjaciela ucieczka od rzeczywistości, tak widoczna w tej prozie, poczytywana była za jeden z jej walorów. Jego program artystyczny wyglądał na apoteozę ucieczki. Zbudował sobie idealny model świata izolowanego od realności i jej społeczno-politycznych uwarunkowań. Stał się zapalczywym rzecznikiem tego modelu i pisywał o tym jak wielki wtajemniczony, mag chaldejski, ciemną symboliczną formą wypowiedzi sugerował, iż on jedynie posiada receptę na absolut, kamień filozoficzny literatury, a wszelkie polemiki ze swymi poglą-

dami przyjmował z gniewem, wyrzucając oponentom artystyczną głupotę. Nieraz się nad tym zastanawiałem. Proza jego upodobań rozwijała się jak w cieplarni, z dala od zgiełku i furii świata. Zbudował sobie sterylne królestwo i mianował się w nim wszechwładnym suwerenem. Rozumiem jego niechęć do dosłowności. Literatura zbudowana tylko z tego tworzywa odpycha płaskością, zniewoleniem. Niech ten materiał przejdzie przez młyny wyobraźni. Ale jednocześnie zalecał wyobraźni cenzurę, unikanie kolczastej sfery konfliktów człowieka z władzą. Czy nie była to sterylizacja?

Może zniecierpliwiła go niewola polskiej literatury? Tej wiecznej służebniczki dobrych i złych spraw. Jeszcze od XIX wieku obarczonej tyłoma obowiązkami. Orędowniczki wolności, niepodległości. Służącej do pokrzepienia serc. Później tak paskudnie zdeprawowanej przez socjalizm. Teraz znów uwikłanej w szlachetną walkę o prawa obywatelskie, demokrację. Miał tego dosyć! Jego prawo. Wystąpił w obronie czystości gatunku. A znając w dodatku ludzi, którzy ją dotychczas tworzyli, ludzi uwikłanych w kręte ścieżki gorących wyznań wiary i równie namiętnych apostazji, zapragnął wynaleźć innych, jeszcze niczym nie skażonych. Ale przecież jego wzorzec, te książki, które wynosił wysoko — równie był jałowy, martwy jak preparat w formalinie. Strach, ten pamiętny strach z czasu inwazji „partyzantów”! Czy nie ma czegoś wspólnego z jego nową estetyką? Nie wiem. Zapragnął, żeby dali mu wreszcie spokój. Uciekł gdzieś daleko. Dokąd mógł uciec? W regiony swej jedynej ostoji — literatury i tam stworzył Arkadię, krainę bez żadnego związku z rzeczywistością, poza historią i czasem. Jego szkice o odkrywanych przezeń pisarzach same były literaturą. Stawały się jego własnym wyznaniem, książką pisaną od lat o udrękach życia, ciemnych siłach nim rządzących i czarodziejskich właściwościach kreacji artystycznej, pozwalającej te żywioły zakłąć w pewien kształt. Były wiarą w literaturę pocieszycielkę strapionych.

Te rzadkie spotkania z nim. Spojrzenia, ukłon, najchętniej bez słów. Wyrósł mur. Poglądy, działalność, czas... Wiele takich murów wyrastało między bliskimi niegdys ludźmi.

W 1981 zaniósłem swoje opowiadanie do miesięcznika, w którym on kierował działem prozy. Czas był wolnościowy (sierpień, „Solidarność”) i gorset cenzury rozluźnił się znacznie. Jemu to opowiadanie podobało się i był to pierwszy mój tekst od lat, o którym powiedział tyle słów uznania. Ucieszyłem się przede wszystkim z tego powodu, że „Jeden dzień w Europie” zbudowany był z materii współczesnego życia, warstwa społeczna też

była tam ważna. Tekst więc bardzo odbiegał od dotychczasowych wymagań mego dawnego przyjaciela.

Naczelny redaktor nie widział szans na druk. W opowiadaniu tkwił pewien szkopuł nie do strawienia dla cenzury — nawet w tak swobodnych czasach. Aura, jak powiadał, szyderczej kpiny z oficerów LWP oraz prowokacyjny toast wzniesiony za zdrowie Menachema Begina. Opowiadanie godziło więc między innymi w zasady polityki zagranicznej PRL, zdecydowanie negatywnej wobec państwa Izrael. Coś w tym duchu wywodził zmarłwiony (zresztą szczerze) naczelny redaktor. Lecz sprawa druku stała się marginesem czegoś ważniejszego. Powrotu do intensywnej atmosfery rozmów z początku naszej znajomości. Pękła tama. Mówiliśmy o dawnych czasach. Te knajpy, które razem odwiedziliśmy. Ludzie, których już nie ma. Pan Józef, niezrównany barman z „Kameralnej”! Zgarbiona postać Janusza Minkiewicza, księcia niezłomnego nocnych lokali. Rój barwnych postaci, pojawiających się jak meteory. Tamte rozmowy pełne wiary w potęgę literatury... Wtedy przysłała mi do głowy taka myśl: „A może wszystko wygląda inaczej? Nieznane przyczyny decydują o jego postępowaniu. Pielęgnuje to swoje poletko i dzięki jego cierplivej akuszerii narodzi się arcydzieło. W ostatecznym rachunku okaże się, że on był ponad małością i brudnym zgiełkiem świata, natomiast ja uwikłałem się w nim bez sensu”.

Odprowadzałem go do domu. Jeszcze u niego po kieliszku. Aż w pewnym momencie rozpłakał się. Tak przejmująco, żałośnie. Patrzyłem ogłupiały. Płacz mężczyzny działa bardzo silnie na drugiego mężczyznę.

— Co ci? — zapytałem wreszcie. — Co ci się stało? Powiedz!

Płakał coraz gwałtowniej. Wsparty o blat biurka. Na nim sterty maszynopisów. Cicho zamknąłem drzwi za sobą.

IMPERATYW

PAX to znana firma. Prowadzi działalność gospodarczą, wydaje książki i czasopisma. Posiada pewną samodzielność i nazywa siebie stowarzyszeniem katolickim.

W tamtych latach jako pisarz znalazłem się na cenzurowanym. przestano wydawać moje książki, także w prasie literackiej nie było dla mnie miejsca. PAX zarzucił swoje sieci. Pojawił się wysłannik.

— Może pan u nas popробować druku — rzekł zachęcająco.

Były alkoholik. Ciekawie się z nim rozmawiało. Szczególnie o nałogu.

Jego wizyta była rekonesansem i później nastąpiło zaproszenie na obiad, który wydał redaktor naczelny paxowskiego tygodnika w wytwornej restauracji.

Potrawy zakrapialiśmy obficie alkoholem i grałem rolę pisarza prymitywisty, opoja obdarzonego intuicyjnym talentem opisywania rzeczywistości.

Ta kreacja najwyraźniej odpowiadała wyobrażeniom redaktora o mojej osobie i stawał się coraz bardziej serdeczny .

Na dalszy ciąg libacji przenieśliśmy się do jego mieszkania, pełnego antyków, zegarów, posążków z brązu, reprodukcji mało-wideł Kossaka i Matejki, secesyjnych grafik i nowoczesnych, jaskrawych obrazów. Było to typowe mieszkanie przedstawiciela intelektualnej ekipy tamtego czasu. Redaktor co toast, to rozwijał coraz bardziej dynamiczną wizję wydawania moich książek w PAX-ie.

— Cenzurę mamy lżejszą — powiedział.

A kiedy przypadkiem (a może niezwykle przypadkiem) nadmieniłem o ciasnocie swego mieszkania, od razu począł opowiadać o młodych twórcach, którzy już po drugiej książce wydanej w ich

wydawnictwie posiadają mieszkalne segmenty w domkach spółdzielczych katolickiego stowarzyszenia.

W konwersacji dzielnie sekundowała mu żona, tłustawy seks w okularach, historyk sztuki z wykształcenia, wprowadzała do rozmowy elementy malarskiej erudycji, mówiła o światłocieniach Rembrandta, niebiańskiej kolorystyce prerafaelitów, urodzie płócien Celnika Rousseau itp.

Wreszcie spęchniał mi pęcherz. Wstałem od stołu. Lecz zamiast udać się do klozetu wyłożonego kafelkami koloru morskiej toni (już tam byłem raz), zawędrowałem do gabinetu pana domu.

Gabinet był prawdziwym przybytkiem medytacji i skupienia. Książki na półkach, bogaty księgozbiór, niektóre oprawne w starodawny półskórek, tomy obcojęzycznych encyklopedii i słowników. Solidne biurko o rozległej płaszczyźnie blatu, wyłożonego zielonym suknem. Lampa z miodowym abażurem rzucała dyskretnie, ciepłe światło.

Pod ścianą zauważyłem sekreterę intarsjowaną kolorową miką, była to kosztowna imitacja stylu z XIX wieku. Podszedłem i rozpiąłem rozporek. Odlewać się zacząłem do szuflady pseudostylowego mebelka.

Dlaczego to zrobiłem? Gdzie tkwi przyczyna tego chuligańskiego wyczynu? Powodowany byłem silnym pragnieniem dezaprobaty wobec gospodarzy. Chęcią stanowczego zaznaczenia tej postawy. Bo oni przecież już myśleli, że jestem z nimi. Że jesteśmy razem. Dogadaliśmy się i połączyła nas wspólnota interesów. A ja nie czułem żadnej więzi z nimi. Wręcz przeciwnie. Ten wąty ogień ciekawości, tłący się na początku spotkania, wygasł już. Dość! Tak pomyślałem krótko. Dość. Silny to był imperatyw. Łałem obficie jak koń, grubą pienistą strugą i w trakcie tej czynności przybiegł gospodarz, a za nim jego połowica. Wejście tych dwojga stało się dopiero właściwym ukoronowaniem profanacji. Natychmiast rozpocząłem monolog pełen obelg i szyderstwa. Lżyłem wymyślnie oboje gospodarzy, obnażałem przejrzyste przynęty redaktora, kpiłem także z ich mieszczańsko-socjalistycznego, ciepłego i wygodnego gniazodka. Zarzucałem im konformizm, obłudę pod płaszczykiem katolickiej frazeologii, moralną nicność wreszcie. Nie pamiętam już dziś, co im mówiłem. Była to przecież gorąca improwizacja, równie obfita jak strumień z pęcherza. Na pewno grałem rolę sprawiedliwego w Sodomie, sędziego nieprzekupnego i surowego, który obnaża i piętnuje zło, zgniliznę. Na marginesie pragnę zaznaczyć, że wcale się takim sędzią nie czułem, grałem tylko taką rolę. Wywód mój musiał być istotnie przenikliwy i sugestywny, wściekłość bowiem na obliczach gospodarzy poczęła ustępować bezradności, zażenowaniu

i nawet potakiwać już zaczynali bezwiednie. Jedyne oczy pani domu nie mogły znieść widoku zbezczeszczonej sekretery i odskakiwały od niej czym prędzej. Ten widok ranił ją boleśnie.

Spełniwszy swą misję, udałem się z powrotem do salonu, gospodarze podążyli za mną.

Była jeszcze kawa z koniakiem, konwersacja wątpła i urywana, ale miła. Ani słowa o incydencie. Tylko żona redaktora zniknęła na pewien czas z salonu. Pewno uprzątała ślady. Późną nocą opuściłem ten gościnny dom.

PRZESTROGA

Dwa tygodnie przed 7 marca w południe. Pierwsza jego wizyta. Nigdy dotąd nie byliśmy u siebie. Przypadkowe spotkania na ulicy, serdeczne kilka słów, to wszystko. Ta dawna wyprawa frachtowcem. Ile to już lat? Dziewiętnaście lat temu. Był dla mnie dość bezbarwny, choć sympatyczny. Uśmiechał się pogodnie, białe, szerokie zęby, chyba własne. Dobry do biesiadnej kompanii, włóczył się po portowych barach i tancbudach. Tak go zapamiętałem z filmowego rejsu. Później jeszcze jakieś migawki. W Warszawie na dworcu. Łódź, hotelowa kawiarnia. Kilka przegadanych wieczorów. Lubiłem go spotykać. Dobroduszny, okrągły facet z posiwiącą czupryną. Ubrany starannie, mimo wieku skłonność do stylu młodzieżowo-sportowego, torba przewieszona przez ramię, buty typu adidas.

Majaczył na bardzo dalekim planie w moim życiu.

I oto nagle przesunął się na czoło, nabrał znacznego ciężaru gatunkowego. Mam dużo czasu — myślę o nim często, próbuję złożyć te skąpe okruchy rozsiane przez tyle lat w jakąś całość.

Przed wszystkim posiadał umiejętność eliminacji doznań przykrych i przygnębiających. Zawsze radosny, zadowolony. W tym optymizmie wydawał się często odpychający. Jakby go nic poza własnym spokojem, przyjemnością i wygodą nie obchodziło. Choć nie byłem tego tak bardzo pewien. Przecież nigdy nie pchał się do kariery, dużych pieniędzy itp. Nieraz też potrafił zadziwić jakimś spostrzeżeniem, świadczącym o niespodziewanej ostrości widzenia i niezależności sądu. W sprawach zasadniczych odzywał się jednak rzadko, unikał dyskusji światopoglądowych, jeżeli już znalazł się w takim gronie, to przeważnie milczał, błędząc życzliwym wzrokiem po rozmówcach. Gustował w lekkiej, żartobliwej konwersacji, plotki, anegdota, wtedy wiele miał do powiedzenia.

Cechowała go wrodzona pogoda ducha oraz zaradność pozwalająca uzyskać coś nawet z niczego. Zapamiętałem z naszej wspólnej podróży krem Nivea i flanelowe koszule. Na tym stał handel wymienny z Murzynami. Miał cały zapas kremu i koszul. Zaoptażył się jak doświadczony marynarz z linii afrykańskiej. A z jakim talentem handlował! Również ta rzadka w przypadku mężczyzny umiejętność szycia, tkania, cerowania. Te druty, szydełka, którymi sprawnie operował, swetry i skarpety jako efekt tych czynności. Kiedyś utrzymywał się z tkackiego rękodzieła. Młodość miał ciężką, zmarnowaną, jak spokojnie stwierdzał. Nie pozwalał sobie jednak na lament. Wspominając dawne lata widział w przeszłości tylko zdarzenia przyjemne i beztrudne. Złe wspomnienia zatruwają duszę. Taką wygłosił sentencję. Było to podczas pijaństwa na statku, kiedy ktoś z uczestników zabawy popadł w skrajny pesymizm i złorzeczył na swój garbaty los.

— Można i u nas dać sobie radę — powiedział przy innej okazji.

Tak powiedział i w jego głosie brzmiało szczere przekonanie.

Związał się z filmem. Był świetnym organizatorem produkcji i doradcą, niezastąpionym fachowcem, tym koniecznym duchem rozsądku i praktycznej wiedzy pośród artystów. Z czasem stał się instytucją w jednej osobie. Niebagatelną rolę odgrywał jego życzliwy, dobroduszny stosunek do ludzi i umiejętność rozładowywania rozmaitych napięć! Wystarczyło popatrzeć na niego. Niezmącona pogoda w niebieskich oczach, koński uśmiech przypominający słynnego komika Fernandela. W kręgach filmowych uzyskał reputację człowieka koniecznego dla należytego przebiegu pracy na planie, szczególnie w tych najtrudniejszych działaniach, napinających do ostateczności nerwy zaangażowanych ludzi. Lubił podróże. Mogła to być wyprawa do Azji, Afryki, równik, biegun, wszędzie. Podróż go niezwykle ożywiała i dziecinnie wyobrażał sobie jej uroki.

W dalekim świecie miał wielu przyjaciół. Przypominam sobie pewien epizod z rejsu. Zatrzymaliśmy się w Cotonou. Tam też miał swoich ludzi. Chyba tak właśnie się wyraził. Czekali w porcie. Lekarz z żoną. Kolega ze studiów, już obywatel francuski. Gościnni, serdeczni. Uczta na jego cześć. Wieczór wspomnień. Lekarz opowiadał o swoich początkach na obczyźnie.

Często opowiadał o swoich rówieśnikach, którzy kiedyś wybrali radykalny rodzaj podróży i nigdy już do kraju nie powrócili.

— I namawiali... — raz tak wyznał — ... jedź z nami! Zawiesił głos. Uśmiechał się nadal pogodnie, ale o czymś intensywnie myślał. Może zawarł w swym podróżniczym upodobaniu

świadomość pogrzebanej szansy? Może wybierając się w daleki świat, rekompensował sobie własne niedostatki?

Widziałem raz szczęście w jego oczach. Akurat wychodził z biura paszportowego. Paszport obracał w palcach.

— Dostałem! — powiedział ze wzruszeniem. — Na cały świat!

Przy okazji mógł również zaspokajać potrzebę niewielkiego komfortu, przywożąc z podróży rozmaite przedmioty codziennego użytku, poczynając od ozdobnych kalendarzy, przyborów do golenia, kosmetyków, ubiorów, pledów, nawet elementów wyposażenia kuchni, łazienki czy tapet o miłym dla oka kolorze i desenie. Podczas naszych przypadkowych spotkań chętnie opowiadał o wygodzie swego życia domowego. Także o sprawach kulinarnych potrafił wywodzić ze znanstwem smakowitym. Podobno był zawołanym kucharzem. Wysyłał niezliczone ilości kart i listów za granicę. Podczas naszego filmowego rejsu trudził się nad szczególnie ważnym listem. Sprawa dotyczyła rozwodu. Przyjaciel z Kanady radził się w tej kwestii.

— Znam ich oboje — mawiał z troskany — Anusię i Jurka. Tworzyli idealną parę.

Dla tych swoich dalekich przyjaciół spełniał na odległość rolę spowiednika, chwalił lub ganił, odradzał lub aprobował, przemawiał się ich sukcesami i klęskami.

Podróż jako stały motyw w jego życiu rozpoczęły się bardzo dawno temu z okazji występów studenckiego teatrzyku, którego był animatorem. Będąc obywatelem przeciętnym, nie wyróżniając się żadną wolnomyslną aktywnością społeczną, mógł swoją pasję realizować bez przeszkód; paszport otrzymywał w określonym przepisami terminie. Mimo to zawsze w czasie oczekiwania na decyzję bardzo był niespokojny, obawiał się odmowy.

Zapamiętałem też jego uśmiech, którym mnie obdarzył, kiedy spotkaliśmy się w pamiętnym dniu podpisania porozumień w Gdańsku.

— Tego jeszcze nie było! — powiedziałem w uniesieniu. Pokiwał głową i lekko się uśmiechnął. Nie spodobał mi się ten uśmiech. Był pełen pobłażliwości i dystansu.

Przekroczył już pięćdziesiątkę i w ostatnim czasie skorzystał z możliwości wcześniejszej emerytury. Praca w filmie przestała mu odpowiadać.

— Nerwy, donosy, wieczne napięcie — streścił to pokrótce i machnął ręką.

Ze swoim zamiarem nosił się już od kilku lat i wypracował sobie wysoką średnią zarobków. Świadczyło to więc o tym, że

w czasach Sierpnia i „Solidarności” wcale nie był optymistą; skrętnie zabezpieczał się na złą przyszłość.

Dzień był wtedy szary, deszczowy. Takich dni wiele tej ostatniej jesieni. Ale on nie zważając na przygnębiającą aurę, opowiadać zaczął o uroku słonecznych krajobrazów w jakiejś południowej części Europy, Włochy, Grecja, już nie pamiętam. Wrócił właśnie z wycieczki.

— Pewnie szykujesz się znów w podróż? — zapytałem złośliwie.

Nie pamiętam, co odpowiedział. Tylko uśmiech... Ciągłe się uśmiechał. Wracam do przyczyn, które spowodowały, że tak intensywnie zaistniał dla mnie po tylu latach obojętności.

Zadzwoił nagle i zapowiedział swoją wizytę. Byłem zdziwiony. Bardzo zdziwiony.

— No, to wpadnij któregoś dnia — powiedziałem po chwili zaskoczenia.

Chciał zaraz. Jest w pobliżu. Wymusił swoje przyjście. Nic z tego nie pojmowałem. Najostrożniejszy ze znanych mi ludzi. Planista spokojnej przyszłości. Nie mógł być nieświadomy mojej sytuacji. Już trzeci rok znajdowałem się w tzw. opozycji wobec zaistniałego stanu rzeczy. Byłem co najmniej osobą kłopotliwą dla wielu. Dla innych po prostu wrogiem. W dodatku moje ostatnie przygody. To porwanie z pociągu, pobyt w prowincjonalnym areszcie, rewizje, przesłuchania. Musiał o tym wiedzieć. Już po chwili nie miałem żadnych wątpliwości. Popatrzył na mnie z troską.

— Jak się czujesz?

— Nieźle.

— Ja tylko na moment — powiedział, ale chętnie przyjął zaproszenie na kawę.

Z portfela wyciągnął zdjęcie, wspólne zdjęcie z tego rejsu sprzed dziesiętnastu lat. On, ja, reżyser na tle palm, murzyńskich chat. Stoimy sobie odpowiednio młodszy, twarze pełne pogody, roześmiane. Widziałem niedawno reżysera. Staruszek.

— Pamiętasz? — odezwał się. — To było w Duali.

Co go tak poruszyło, wspomnienie, sentyment?

Przecież bliżsi i mniej ostrożni znajomi unikali bezpośrednich kontaktów ze mną, nawet telefonów.

— Na pewno jesteś inwigilowany — powiadali, patrząc mi głęboko w oczy.

Ten nieszczęsny Jurek W. zniknął z mojego życia jak kamień w wodę. A przecież nie można nazwać go tchórzem. Też podróżnik, tylko pechowiec. Przez wiele lat nie dostawał paszportu. Wreszcie go puścili. Miał pozostać na zawsze. Wrócił z powodu

choroby matki. Znów chce wyjechać. Więc unika mnie jak zadzumiętego. Tyle lat przyjaźni diabli wzięli! Tymczasem ów mistrz ostrożności wpakował się do mojego mieszkania zupełnie świadomie. Nie mogłem ochłonąć z zaskoczenia. Rozmowę rozpoczął także w sposób zaskakujący. Od klatki schodowej. W naszym czteropiętrowym domu ta pusta czeluść opasana schodami przypominała studnię dla samobójców.

— Nie tylko dla samobójców — dodał z naciskiem.

Patrząc w dół, niezwykle wyraziście wyobraził sobie spadanie na betonową podłogę piwnicy.

— Rozumiesz — wzdrygnął się i popatrzył na mnie badawczo.

Był ożywiony. Przypomniał naszą wycieczkę do Marakeszu, wymienił tyle szczegółów, podobno wykazałem nieczułość na egzotykę pejzażu i całkiem po prostaku, jak podróżny z Warszawy do Małkini, zasnąłem w samochodzie. Następnie zanurzył się w czasach jeszcze bardziej odległych, kiedy to z dwoma przyjaciółmi zakładał skromny, studencki kabarecik. Były to lata schyłku stalinizmu, już zaczynała się odwilż. Atmosfera sprzyjała i kabaret począł odnosić sukcesy. Ostry, satyryczny program śmiało odsłaniający chore miejsca naszego życia w połączeniu z żywiołowym talentem wykonawców zyskał szerokie uznanie. Entuzjastyczną wielbicielką ich sztuki stała się żona francuskiego konsula. Z osobą tej cudzoziemskiej pani wiązały się ważne wydarzenia w jego życiu. Zapraszała często całe to studenckie bractwo do swego domu. Po surowym, postnym obyczaju lat stalinowskich gościnny dom Francuzów był dla nich oazą na pustyni. Jemu jeszcze z dzieciństwa pozostały strzępy wspomnień z dawnego świata przed pożogą i rozkoszował się swoistym powrotem w tamten czas.

— Dzwoni na pokojówkę! — opowiadał z przejęciem. — Ona w czepku i białym fartuchu z koronką... Dasz wiarę? Podano do stołu, mówi. Ta jadalnia, zastawa, sztucce, świece w lich-tarzach, niebywałe! Ta oprawa, atmosfera, trunki, meble, słowem coś, czego bardzo pragnąłem!... Pani Odette również zabierała nas na wycieczki, jej wóz z otwieranym dachem, las, jezioro, piknik na trawie, śpiewy, wino... W dzieciństwie uczono mnie francuskiego, zacząłem z łatwością przypominać sobie ten język, pani Odette chwaliła mój akcent. Tak snuł tę opowieść o bajecznej przygodzie młodych ludzi, którzy dotąd znali tylko patetyczne akademie i wiece, akcje żniwne i pogadanki ideologiczne, a przyjęcia które wydawali w swych studenckich pokojkach polegały na piciu owocowego wina i czyściochy z czerwoną kartką pod szproty w oleju i kaszanke.

Wkrótce kabaret wyruszył na gościnne występy po Europie.

W Paryżu wstępnym bojem zdobyli publiczność, owacje, re-

cenzie, wywiady, wielbicielki i wielbiciele, dla których ci barbarzyńcy zza żelaznej kurtyny byli objawieniem. Poznał młodego aktora, syna znanego uczonego, profesora Sorbony. Dzięki niemu zwiedzał salony cyganerii artystycznej, mansardy malarzy i urocze knajpy, bywał u profesora na celebrowanych dostojnie obiadach. Po dwumiesięcznym *tournée* kabaret wrócił do kraju.

— Tak wkroczyłem w najbardziej ponury okres swego życia — oświadczył nagle i miną również dał temu wymowny wyraz.

Zaczął się podczas próby. Pracowali nad nowym programem. Pojawił się mężczyzna w średnim wieku, ujął go delikatnie pod łokieć i uchylił kłapę.

— Chcemy się z wami spotkać — powiedział.

Te spotkania odbywały się w okazałym, secesyjnym hotelu, który uniknął wojennego zniszczenia.

W nieoczekiwanych porach dnia i nocy dzwonili i wyznaczali spotkanie. We wciąż zmieniających się numerach hotelowych. Wszystko wiedzieli. Najdokładniej o znajomości z młodym Francuzem. Zażądali od niego powtórnego wyjazdu do Paryża. Na razie nic więcej nie chcieli. Paszport natychmiast i wszystkie koszty podróży oni pokrywają. Początkowo propozycja miała charakter łagodnej perswazji. Pozwalali sobie na fałszywą zazdrość. Kto by nie chciał do Paryża i to bez żadnych obowiązków. Doskonale zdawał sobie sprawę z następstw swojej zgody. Rozpoczął grę o wolność. Próbował podważyć swą przydatność do jakichkolwiek sekretnych misji. Tworzył kreację młodzieńca słabo zorientowanego i ograniczonego, gapy i niedołęgi. Jego dręczyciele stosowali zmienną gamę nacisków. Na przemian przyjacielscy, to znów brutalni i groźni.

Tyle o nim wiedzieli.

— Wasze znajomości... — tak wtrącali mimochodem. — Konsul, konsulowa! Sami wiecie, to gniazdo szpiegów przecież, imperialistyczna agentura. Czuł mróz wędrujący po plecach. Na ulicy oglądał się za sobą i w każdym przechodniu odkrywał tajniaka. Nie zwierzał się nikomu. Tak miał przykazane. Mozolnie stwarzał pozory normalności. Ciężka to była rola. Na przykład wizyta matki w jego sublokatorskim pokoju, późno, matka już w łóżku, telefon, oni każą niezwłocznie przybyć do hotelu. Więc idzie. Zdziwienie matki. Co miał robić? Musiał kłamać na poczekaniu, przyjechał kolega, jest na dworcu, nie zna miasta, musi go gdzieś ulokować. To była ciągła gra. Mimo to nieraz udręka tak czytelna na twarzy.

— Co ci się stało? — pytają przyjaciele.

Ile wysiłku kosztował go uśmiech!

Myślał wyłącznie o swoich prześladowcach. Przygotowywał

się do rozmów. Stosował rozmaite wybiegi. Zwodził, odraczał swą decyzję lub naiwnie błagał, żeby pozostawili go wreszcie w spokoju.

— Panowie! — raz prawie załkał. — Jestem taki słaby, głowa, serce! Patrzyli kłującymi oczyma.

— Przecież nic od was nie chcemy. Tylko żebyście po tym Pigału pospacerowali, w tym Mule Róż na ładne nóżki i cycki popatrzeli...

Wymyślał idiotyczne przeszkody. Nie ma porządnego ubrania. Musi przecież jakoś wyglądać. Ani pantofli. Nie ma nawet walizki.

— Kupi się. Wszystko się kupi — odpowiadali ci nieprzejednani rozmówcy.

Wlepiali kocie oczy w swoją mysz zapędzoną w ciemny kąt.

Niełatwo ktoś postronny może sobie wyobrazić, jakie miał noce po tych pogwarkach. Proszki żadne nie pomagały i jakby niezależnie od mocnego instynktu życia myśl o samobójstwie wcale nie była mu obca.

Szczególnie po tym pamiętnym spotkaniu. Wymienił dokładnie dzień, miesiąc i godzinę. Było szczególnie ciężkie, trwało kilka godzin i oni cały czas tacy brutalni, nieustępliwi. Skończyła się rozmowa. Milczał i tylko przecząco kręcił głową, nie miał już siły mówić cegokolwiek, wyczerpał całą inwencję. Oni odprowadzali go czasami.

Wtedy też. Dla postronnych widzów mogło to wyglądać na beztroski spacer nocą. Szli wzdłuż kanału, jednego z wielu kanałów w tym mieście. W świetle latarni ponuro błyszczała woda.

— Ja się nie nadaję! — wybuchnął histerycznym głosem.

— A wie pan? — odezwał się ten, który szedł od strony wody. — To się może zdarzyć. To się zdarza czasem. Wpadnie pan do wody, no i co? Wyłowią topielca.

Usłyszawszy te słowa zatrzymał się raptownie.

— Przepraszam, sznurowadło mi się rozwiązało — wymamrotał.

Pochylił się, zaczął manipulować przy bucie.

Znów ruszył, ale już nie szedł między nimi; trzymał się jak najdalej wody. Jego asysta roześmiała się nieprzyjemnie.

A wywikłał się z tego koszmaru przypadkiem. Najzwyklejszym przypadkiem. Dwaj przyjaciele z kabaretu, wtedy już aktorzy o rosnącej sławie, otrzymali kontrakt na główne role w filmie. Niebawem dostał od nich depeszę. Proponowali mu nieźle płatne zajęcie przy produkcji tego filmu. Natychmiast wrzucił do torby przybory do golenia, pizamę i zmianę białelizny. Dla zmylenia tropów wsiadł w podmiejski pociąg. Wysiadł na na-

stępnym przystanku. Taksówką z powrotem na dworzec. Pociąg dalekobieżny za kilka minut. Zdążył i bez przeszkód dojechał do Warszawy.

W realizacji filmu błysnął wieloma umiejętnościami. Starał się być niezbędny. Doceniono go. Reżyser zaproponował bruderszafta i zatrudnienie w następnym filmie. Cichutko, pracując gorliwie przetrwał kilka lat. Nikt go nie nękał, nigdzie nie wzywał. Toteż kiedy rozpoczęły się przygotowania do produkcji kostiumowego filmu przygodowego, gdzie zaplanowany był plenrowy wyjazd do Jugosławii, bez trudności otrzymał paszport i ruszył w drugą podróż zagraniczną.

— I nic, odtąd spokój — powiedział: — Zupełny spokój. Tylko do miasta mojej młodości rzadko zaglądam. Nie lubię, złe wspomnienia.

Dalsze jego losy były mi znane. W pewien sposób zbliżone do losów mego byłego przyjaciela, Jurka W. Tą samą naznaczeni pasją. Wiecznie w oczekiwaniu na paszport. Brak mi tej podróży pasji. To lepiej. Tak sobie pomyślałem.

Gawędziliśmy jeszcze o starych znajomych, nowych filmach. O nic nie pytał. Nie chciał zostać u nas na obiedzie. Był zaproszony do przyjaciół. Pożegnaliśmy się serdecznie.

— Trzymaj się zawsze blisko ściany — powiedział już w drzwiach; błysnął zębami w pogodnym uśmiechu, oczy pozostały poważne. Popatrzył na mnie chwilę. Przeniósł spojrzenie w głąb tej klatki schodowej-studni. Począł lekko, młodzieńczo zbiegać po schodach. Trzymał się blisko ściany.

Przyszedł. Poszedł. Wkrótce o nim zapomniałem. Dopiero znacznie później począłem porządkować różne zdarzenia z ostatnich tygodni. Wszystkie układały się w pewien porządek.

Po pierwsze nabrała znaczenia awaria mojej sztucznej szczęki.

Ta przykrość zdarzyła mi się po ostatnim przesłuchaniu z serii zapoczątkowanej przerwaniem mojej podróży pociągiem do Poznania. Wróciłem i zabrałem się z wilczym apetytem do jedzenia; wtedy właśnie pękła ta cholerna proteza. Przy mojej niechęci do wszelkich działań związanych z zębami, zastanawiająca była energia, którą włożyłem w reperację protezy.

Po drugie tak natarczywie w tamtych dniach dopytywałem się adwokatów o przebieg widzeń w mokotowskim więzieniu.

A po trzecie wreszcie, dlaczego w przedostatni wieczór powróciłem po raz wtóry do tej partii pamiętników Pragiera, gdzie opisuje on swój pobyt w mokotowskim więzieniu.

Pamiętniki Adama Pragiera miałem pod ręką przy łóżku też ostatniego wieczoru.

W następną noc sam znalazłem się w celi tego więzienia.

— To są przestrogi — powiedział mój sąsiad z pryczy na dole, doświadczony mieszkaniec celi nr 4, Tadzio A., magister SGPiS-u, pracownik centrali handlu zagranicznego, oskarżony o łapówki itp.

Przestroga... No, jasne! Nieraz ostrzegała mnie matka, tym bardziej ojciec kiedy żył; był to człowiek ostrożny i spokojny, ponadto przeżył trzy wojny i trzy niewole.

Ale myślę o czymś innym, o znakach, sygnałach, które pojawiają się nieoczekiwanie i nie całkiem są przynależne do sfery logiki i realizmu.

Noc, jeden papieros, drugi, nadal o tym myślę.

„JUBILEUSZOWA”

Pojechaliśmy do D. Jola na adwokackie widzenie z klientem. Byłem jej asystą. Miasteczko niewielkie, skupione przy rynku. Ratusz w remoncie, obrośnięty rusztowaniem. Kamieniczki z jaskrawo obmalowanymi fasadami — na jednej ze ścian prześwituje czarny napis gotykiem; wilgotne sienie, popękane sufity, podwórka pełne kałuż, błota, obudowane szopami, budami, wychodkami. W ceglane ściany najstarszych domów wplecione drzewo, tzw. pruski mur.

Więzienie zajmuje gmach dawnego klasztoru. Pod murem na jeżonym kolczastym drutem idylliczny staw pokryty zieloną rzęsą. Po wodzie suną łabędzie.

W sąsiedztwie więzienia trzy kościoły. Jeden wielki jak katedra.

Kościoły i więzienie dominują nad miasteczkiem. Przeszliśmy przez starą, potężną bramę. Stoi w szczerym polu. Zapewne pozostałość po murach opasujących klasztor. Tu mogły być ogrody. Podeszliśmy do więziennych wrót. Jola przycisnęła sygnałowy guzik. Uniosła się klapka wizjera i błysnęło oko funkcjonariusza.

Tu się rozstaliśmy. Jola wkroczyła do strefy zamkniętej.

Udałem się na spacer po miasteczku. Czerwone dachy domów, tak charakterystyczne dla dawnych ziem niemieckich. Uliczki krótkie kończyły się w polu. Pola czarne, świeżo zaobrane. Falisty krajobraz, daleki las. Obszedłem staw. Miałem widok na więzienny gmach. Z wieżyczki przyglądał mi się strażnik. Dotarłem do rzeki Pisy. Postąłem chwilę na moście. Obok na brzegu cierpliwy wędkarz. Ruszyłem z powrotem do rynku. Grupka ludzi przy przystanku autobusowym. Pod sklepem spożywczym kolejka kobiet. Wzmógł się ruch mężczyzn przy stoisku z alkoholo-

lem. Przeważnie nabywali po kilka butelek najtańszej wódki pod nazwą „Bałtyk”. Rynek objeżdżał traktor z przyczepą wyładowaną drzewem. Mężczyzna w mundurze straży więziennej zajeżdżał rowerem pod sklep. Pozdrowił traktorzystę. Ten w odpowiedzi zamachał mu ręką.

Było szaro i chłodno.

Poczułem nostalgiczną chandrę typową dla małych zapomnianych miasteczek. Pomyślałem o tygodniach, miesiącach i latach, które spędzają ludzie odbywający karę w tutejszym więzieniu. Tu przebywał aż do śmierci Erich Koch, hitlerowski gauleiter. Podobno z okna swojej celi widział kawałek pola i zawsze z uwagą obserwował wiosenną orkę. Czy Joli klient z okna swojej celi widzi staw pokryty zieloną rżesą?

Zaszedłem do miejscowej restauracji pod nazwą „Jubileuszowa”. Siadłem przy długim stole w sali z wyszynkiem alkoholu.

Naprzeciw miałem dwóch mężczyzn. Akurat opróżniali swoje szkło. Na oko obaj po pięćdziesiątce. Jeden siwy, gładko zaczesany, o ptasiej twarzy i ptasich oczach bez wyrazu. Drugi zarosnięty, śniady, w roboczym, niebieskim drelichu pod fufajką. Strzępy ich rozmowy. Toczyła się nieśpiesznie, z długimi przerwami. O jakimś pogrzebie i stypie, podczas której pogodzili się zwaśnieni szwagrowie. O wczorajszym dniu, który był tegim piąństwem.

W restauracji stawało się coraz tłoczniej. Ludzie przybywali pojedynczo i grupami. Niezwykle efektownie prezentowali się inwalidzi, którzy wtoczyli się liczną gromadą. O kulach, z protezami dolnych i górnych kończyn, inni pokurczeni i poruszający się w jakimś chybotliwym tańcu. Ze stukotem lasek i skrzypieniem protez zajęli miejsca przy naszym stole. Wyglądali jak biesiadnicy z „Viridiany”. Ledwo się jednak usadowili z nie małym trudem, nastąpiła między nimi różnica zdań. Ktoś zaproponował przeniesienie się do innej restauracji, znacznie tańszej. Pomysł zyskał aprobatę większości i znów ze stukotem lasek, kul i protez opuścili „Jubileuszową”.

Byli to pracownicy spółdzielni inwalidzkiej, zajmującej się wyrobem zabawek. Poinformował mnie o tym facet w waciaku.

— Lubią — powiedział i miękko przesunął dłonią po szyi.

— Kto nie lubi — dodał jego towarzysz. Wpatrzył się we mnie, jakby wyczekująco. Przytaknąłem.

Przy sąsiednim stole rozsiedli się mężczyźni. Tym razem zdrowi, bez żadnych widocznych braków. Zamówili dania obiadowe i wódkę. Też wyglądali na ludzi połączonych wspólną pracą.

— Z więzienia — powiedział sąsiad w waciaku. — Kończą zmianę o 15-tej.

Zawarłem już z nimi stołową znajomość. Wymienialiśmy poglądy o pogodzie, rosnącej inflacji złotych itp. Wkrótce dla potwierdzenia tego faktu zamówiłem kolejkę wódki. Akurat kiedy trącaliśmy się szkłem, wróciła Jola. Była bardzo zmarznięta i poprosiła o herbatę.

— Zmarzła pani? — zdziwił się ten w waciaku. — Przecież u nas w komitecie grzejemy już od trzech dni!!! Nikt dotąd nie narzekał! Wyglądał na szczerze zmartwionego. Pracuje jako palacz w komitecie partyjnym i przypuszczał, iż Jola właśnie stamtąd wraca. Czyżby wyglądała na osobę ze średniej nomenklatury? Oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

Wyjaśniłem, skąd wraca Jola. Pokiwali ze zrozumieniem głowami.

— Tu często przyjeżdżają rodziny na widzenia — powiedział starszy, siwy o ptasiej twarzy. Palacz zaś dyskretnie wskazał mężczyznę z towarzystwa przy sąsiednim stole. Także jest palaczem.

— Tam — rzekł krótko. Popatrzył na nas wymownie.

— Gdyby coś trzeba — dodał. — To porządny chłop.

— Chodzi o więźnia politycznego... — opowiedziałem im pokrótce, za co został skazany klient Joli. Byli uczciwymi ludźmi i zgodnie wyrazili wątpliwość, czy w tej sytuacji zaprzyjaźniony palacz więzienny może cokolwiek pomóc.

Na pożegnanie wypiliśmy jeszcze kolejkę. Później Jola opowiedziała o swoich wrażeniach z widzenia. Klient jest w niezłej formie. Dużo czyta. Uczy się angielskiego. Ze współtowarzyszem niedoli stosunki układają mu się znośnie. Trzy razy w tygodniu do celi wstawiają telewizor. Nie spodziewa się niczego po prawie rewizyjnej. Nastawił się psychicznie na dłuższe siedzenie. I nagle skojarzyliśmy sobie, jak bardzo absurdałne jest to słowo — klient — na określenie relacji adwokata z osobą, której obroną się zajmuje. Klient!

„KAMIENIOŁOMY”

Zawędrowałem do „Kamieniołomów”. Jest to lokal dancin-gowy typu hotelowego. Obowiązuje strój wieczorowy, ale zależnie od frekwencji i znajomości z cerberem w drzwiach nie zawsze wymogu tego przestrzega się rygorystycznie. Schodami w dół i wtedy po raz pierwszy właściwie zastanowiłem się, dlaczego tę knajpę tak nazwano. Najpewniej ze względu na bogactwo marmurów, granitów i piaskowca, zdobiących wnętrza podziemia.

Zanurzyłem się w noc kategorii S. Tańce, występy artystyczne, wódka. Anno Domini 1985.

Dosyć paskudnie. Dewizówki, Arabowie i trochę naszych nadzianych forszą grubasów. Typ urody męskiej przeważa otyły. Atmosfera zawodowej rui i kosztownego picia. Towarzystwo miałem najlepsze, jakie tam zdarzyć się może. Wpierw z adwokatem B. Już przy drugiej kolejce zaczął wyjaśniać powody obrony kapitana Piotrowskiego, zabójcy księdza, której podjął się w instancji odwoławczej. Wywodził o czysto psychologicznych i prawnych motywach swego zainteresowania sprawą. Jego wygląd skłania do szacunku; skupiona twarz, oczy za okularami, postury wysokiej, harmonijnej, elegant. Pije tego, ale zdyscyplinowany. Specjalizuje się w kłopotach ludzi zamożnych. Często broni również funkcjonariuszy służb publicznych, co daje jego praktyce właściwą symetrię. Ludzie interesu tłumnie walą do kancelarii mecenasów, licząc na jego możliwości i stosunki. Zapewne kapitał Piotrowskiego dobrał sobie dla ukoronowania pozycji. Relacjonował kwiecieście swoje widzenie z klientem w więzieniu. Dumna, psychopatyczna pycha Piotrowskiego. Uzasadnienie morderstwa powodami wyższego rzędu.

— Jego zło... — mówił adwokat — posiada format! Napomknął, iż w związku z nim sięgnął znów do Dostojewskiego.

Zdjął okulary, przecierać zaczął chusteczką. Oczy czerwone, królicze. Nieprzyjemna odsłona.

Od pewnego czasu z głębi sali, poprzez tańczące pary i zmieniającą grę świateł, dawał mi serdeczne znaki kolega z gimnazjum. Nie widziałem go wiele lat.

Zastosowałem płodozmian i opuściłem mecenasa. Chyba obaj byliśmy zadowoleni. Mecenas B. zmęczył się rozmową. Taki był czujny, napięty. Wyraźnie obawiał się moich nałogowych skłonności do opisywania.

Zasiedliśmy z gimnazjalnym kolegą na wysokich stołkach przy barze. Lekarz, z paszportem amerykańskim, pierwsza wizyta w kraju od piętnastu lat. Przezywaliśmy go Ypsilon. Nie mam pojęcia, dlaczego.

Dopytywał się o losy rówieśników. Wymienił tych, z którymi już się widział. Najgorsze gnidy oblażył go zaraz po przyjeździe. Docent R. Dyplomata O. Dyrektor W. Musiałem mu tłumaczyć, co oznaczają gnidy w rozumieniu tutejszym. Nie wiem, czy zrozumiał. Zbyt wiele trzeba było mu tłumaczyć. Chirurg z Kalifornii. Żona tamtejsza. Dwoje dzieci. Mówią tylko po angielsku. Wakacje na Bermudach.

Wciąż pytał i pytał.

— Taki ciekaw jestem kraju — powiedział. — Mile się rozczarowałem — tak też powiedział. Wyobrażał sobie, że tu kłębi się terror w dawnym, stalinowskim wydaniu.

Odpowiadałem na pytania i wyjaśniałem z coraz większą niechęcią.

Nastąpiła pauza spowodowana występem striptiserki.

— Surowa — orzekł — słabo wyszkolona.

Sięgnął do analogii z Las Vegas.

W ciżbie zalewającej bar dostrzegłem znajomego, przedstawiciela prywatnej inicjatywy. Jak na ciężką forszę był to nawet lekki facet. Przypominał dawnych hulaków, którzy mieli wdzięk niesfornych chłopców. Bez żalu porzuciłem Amerykańca dla krajowego biznesmena.

Biznesmen rok po zawale, stracił przekonanie co do trwałości życia i rzucił się we wzmożony wir uciech i zabaw. Był z młodą dziewczyną. Dziarsko pił gorzałę, mieszał z szampanem i raz po raz pędził na parkiet.

Optymistyczne wrażenie sprawiały jego zabiegi. Prosił jedynie swoją partnerkę o bardziej tradycyjny styl tańca.

— Nie mogę już tak skakać jak małolat — dyszał, ocierając pot z czoła.

Przy półkolistym barze miejsca naprzeciw nas zajęli Urban z Passentem.

— Parszywy gudałaj! — mój prywaciarz zagulgotał typowym gniewem telewidza.

W tym gniewie zabrzmiał ton antysemicki. Też miałem na końcu języka jakieś obelżywe zawołanie. Powstrzymałem się jakoś. Jeszcze alkohol był w mniejszości. Jeszcze panowałem nad odruchami.

Urban rozsiadł się wygodnie. Rozpiął kołnierzyk koszuli, rozluźnił krawat. Lekko uśmiechnięty. Nawet tutaj rozpoznawali go ludzie i spoglądali w jego stronę. Tłusty, łysy posażek. W jarzeniowym świetle błyszczał ślisko.

Za nim wysoki mężczyzna w ciemnym garniturze. Pił tylko kawę. Pewno był jego gorylem.

Opatrzność powstrzymała mnie w samą porę od zelżenia ministra Urbana. Ładnie bym wyglądał! Goryl chwytą mnie jak kociaka za kołnierz, kilka kopniaków, zamyka w toalecie. Wzywają milicję. Co za widowisko dla Urbana! Materiał do kompromitującego moją reputację felietonu. Brr! Trąciłem się kieliszkiem ze swoim kompanem. Zresztą obelgi tylko rajcują Urbana. Uwielbia gniew i obrzydzenie na swój temat. Traktuje jako cenne dowody popularności.

Znam go od lat. Przez krótki czas studiował prawo i odbywaliśmy zajęcia studium wojskowego na Bielanach. Mały, baryłkowaty, bardzo cywilny. Od razu stał się ofiarą dowódcy kompanii, chorążego Wosia. Prześladował go uporczywie. Wywoływał z szeregu, kazał prezentować broń, biegać, skakać, pełzać.

— Student Urban wystąpi! — to był stały refren zajęć naszej kompanii.

Teraz kompensuje sobie z nawiązką upokorzenia na Bielanach. Z niejednym generałem pije brudzia, klepią się po plecach.

Od tamtych czasów rzadko i przypadkowo spotykaliśmy się na szlaku Warszawki. Wódka w klubie dziennikarzy czy restauracji aktorów, przyjazne rozmowy. Jeszcze scena przyjęcia u jakiegoś malarza czy fotografa. Zajrzałem do łazienki i tam Urban z dziewczyną. Chwacko sobie poczynął. Wargi ma grube, zmysłowe. Z powodu tej otyłej, kulistej zmysłowości posłużył mi jako prototyp dziennikarza z fajką do opowiadania „Święte miejsce”. Wykorzystałem go w sytuacji erotycznej z rozwiązłą, wiejską kariatydą. Piszząc, jakbym go widział w objęciach olbrzymki.

Czytywałem go także w gazetach. Jako „kibica” w *Kulisach*,

w *Polityce*, gdzie indziej. Miewał okresy zakazu druku, narażał się wpływowym osobistościom. Lubił prześmiewcze szarże na rozmaite narodowe świętości. Sprawiał wrażenie sceptycznego libertyna bez ambicji udziału w rządzeniu.

Tymczasem jego ostatnia kreacja rzecznika prasowego rządu wyraźnie odpowiada mu najbardziej. Rozkwitł wszystkimi kolorami. Istny paw. Jest w nim coś ze sprzedajnych pismaków epoki stanisławowskiej. Podobny do takich osobistości jak Kalasanty Szaniawski, jakobin, później ruski cenzor w Kongresówce. Czy Jacek Jezierski, osławiony kasztelan z Łukowa, radykał i pamfletlista, wreszcie targowiczanie. Była taka tradycja. Urban w jej ciągu. Uznał, że czasy generałów to światły absolutyzm i myśli o sobie jak Wolter przy pruskim Fryderyku.

Kto go tam wie. Pychy i próżności wiele w tej baryłce. A co jeszcze głębiej? O tym też oczywiście pomyślałem. Ale na ten temat nie mam żadnej wiedzy. Przeniosłem spojrzenie na tego drugiego. Passent to znacznie mniejszy format. Taki, co służąc, udaje niezawisłą cnotę. Nadal w swej felietonistyce gra rolę liberała, wolnomyślnego realisty. Chociaż ostatnie lata zdarły z niego te szaty, uparcie pragnie grać starą rolę. Może po prostu strach i wygoda. Tutaj przy barze był mniej pewny. Sprawiał wrażenie faceta obawiającego się policzka, kopniaka.

W razie jakiejś draki Urban ma pod ręką swego goryla. Ale może przez złośliwość nie udzielić pomocy Passentowi i porzucić go na pastwę losu. Polacy po upojeniu alkoholowym często zdobywają się na gesty o wymowie politycznej. Choćby mój przyjaciel prywatniarz. Na razie patrzy na nich spode łba i półgłosem obsypuje wyzwiskami. Na wszelki wypadek przytrzymałem go za rękaw. Urban i Passent. Dwa modele postaw. Urban musi pogardzać ludźmi. Passent pragnie ich uwodzić. Urban tylko siłę ma na względzie. Bez wątpienia ciekawszy gracz, odważniejszy. Także przewrotny.

Wpatrzyłem się w pulchną, trochę już zwiotczałą z powodu wieku twarz ministra. Łatwo mogłem sobie wyobrazić: postanawia uciec stąd i urządzić się na zachodzie. Zna zachodnich żurnalistów, gazetową giełdę. Robi więc wolte, zwiewa i ogłasza tam wywiady, rewelacje. Kłamstwo z prawdą umiejętnie miesza. Memuary, *publicity*, forsa. Chyba już za stary, rozleniwiony. Nie będzie mu się chciało tego ryzyka.

No, dosyć! Jeszcze po lufie z prywatną inicjatywą. Pożegnajny grzechot lodu. Barman o urodzie zabójczej, hiszpańskiej, z wprawą miesza koktajl w mikserze.

Ostatni obrazek: na parkiecie wywróciła się masywna dewizówka, pociągnęła za sobą arabskiego kurdupla.

Powlokłem się do wyjścia. W szatni serdeczny uścisk dłoni ze znajomym portierem. Darzy mnie niezmienną sympatią. Z pewnością zatrudniony w wiadomym resorcie, choć jego pocziwe, chabrowe oczy nie mają nic dwuznacznego. Należy mu podarować jakąś książkę z autografem. Na ulicy pomyślałem z rezygnacją o udręce kaca. Koszty. Miasto puste, martwe. Nie widać nikogo. Spać. Czym prędzej spać!

SIEROTA EUROPY

Spór był o kostur.

— Nie możesz tak się wygłupiać! — zaprotestowała Alicja. Był solidny z jaworowego drzewa. Zakupiony od juhasa za ćwiartkę wódki na bieszczadzkiej połoninie. Rękojeść zagięta i osmalona dymem, hartowana nad watrą w dzikiej, górskiej scenerii. Wspierał mnie ten kostur w drodze na Halicz, Tarnicę i Magórę Stuposiańską.

Powodem stało się zaproszenie na kredowym papierze ze złotym emblematem Królestwa Szwecji. „*The Swedish Ambassador and Mrs Taka i Taka request the pleasure of the company of Mr and Mrs Tacy i Tacy at soirée dansante...*”. Dalej przepisywać nie ma potrzeby. Wieczorek tańczący! Tańczyć nie umiem i rzadko bywam na ambasadzkich przyjęciach, tych koktajlach, dinnerach i bankietach. Przeważnie upływają one na trzymaniu drinka w dłoni i robieniu min oraz przechadzaniu się wśród gości, uśmiechach i zdawkowych zapytaniach. Bywają tam bufety ze smaczными przekąskami, które cieszą się największym powodzeniem.

Oglądałem kartonik zaproszenia. Tłoczony herb: Korona, dwa lwy wspierają królewskie nakrycie głowy i pod spodem ta pałapka „*dansante*”, wypisana długopisem.

Jak tam u nich bywa? Rozbawione, cudzoziemskie damy mogą same zaprosić do tańca. Zachód cechuje się bezpośredniością form. Nawet w sferach dyplomatycznych. Podejdzie wytworna *lady*, wyszczerzy zęby w całości. Według znanego zawołania z kursów tańca towarzyskiego: Teraz panie proszą panów!

Kostur był niezbędny jako zabezpieczenie przed śmiesznością. Poćwicyłem utykanie. Myliła mi się prawa noga z lewą.

Kostur i broda. Jeszcze miałem brodę. Czarną przetykaną siwizną. Dwa atuty. Brodaty kulas. Pisarz ze Wschodu. Patrzyłem w lustro. Ponury wzrok. Ciężar doświadczeń tutejszych.

Broda rosła dziko i kojarzyć się mogła z rycinami przedstawiającymi zesłańców na Sybir, powstańców z 1863 roku czy rewolucjonistów z organizacji bojowej Piłsudskiego, zatrzymujących pociągi pod Rogowem i Bezdanami. A ilu brodatych narodziło się w ostatnich czasach! Zwolniony z internowania Wałęsa. Bujak. Kupiłem trzy irysy koloru niebieskiego.

— Bardzo ładnie i staroświecko — orzekł pan Ryś, bywalec dyplomatycznych rautów.

Jechaliśmy autem przez wczesnowieczorne miasto. Ciemno. Latarnie w większości wygaszone ze względu na kryzys energetyczny. Pusto. Nieliczni przechodnie pędzili do autobusów, które zawiozą ich do dalekich osiedli-spalni na Ursynów, Piaski, Bemowo. A jezdnią włókł się kulawy pies.

— Uważaj na boże stworzenie — powiedziałem.

Kulawy pies to jakby sprzymierzeniec.

Alicja ominęła go ostrożnie. Chyba miał przetrąconą łapę. Albo udawał. Psy też często udają kulawych.

— Tędy? — zapytała Alicja.

— Skądże! — na to pan Ryś. — Tu jest świętej pamięci Aleja Niepodległości. Niepodległości dawno już nie ma! — zaśmiał się. — Alei także już nie ma. — Wypalił mu dowcip. Ucieszył się. Siedemdziesiąt trzy lata, pełen energii i pogody ducha młodzieniec.

Miał rację. Aleja była zamknięta. Teren budowy metra. Skręciliśmy w boczną uliczkę. Potem w następną. Labiryntem tych uliczek. Pan Ryś świetnie znał drogę. Bywalec. Władał językami. Szczególnie francuskim. Zaproszony został w charakterze asysty. Kostur najważniejszy. Ale potrzebna również przyjazna osoba. Pan Ryś lubił światowe życie i zgodził się bez wahania.

Rezydencja przed nami. Był to pałacyk znanego bankiera z lat przedwojennych. Oświetlony rześście. Wyglądał jak oaza w ciemności. Auta zajeżdżały na podjazd. Portierzy w liberjach otwierali gościnnie drzwi. Wkroczyliśmy do wnętrza. Obszerny westybul. Sofy, palmy i inne ozdobne krzewy w wielkich donicach. Żyrandole złotymi soplami zwisały z sufitu. Fagasi zajęli się naszymi okryciami. Rodacy, ale specjalnie przyuczeni. Ani śladu szatniarskiej pychy i opryskliwości.

Entrée miałem niezłe. Laską wspierałem się przekonywująco i noga powolnie wlokła się przy jaworowym kosturze. Z westybulu podążyliśmy do góry marmurowymi schodami, pokrytymi

puszystym, brązowym dywanem. U szczytu schodów ambasadorstwo. Ona była piękną kobietą o błyszczących, wesołych oczach. Ambasador suchy, rasowy i powściągliwy.

Od razu zapytali o nogę. Mizerną swą angielszczyzną wyjaśniłem przyczynę zwichnięcia stopy. Odpowiedni komunikat przygotowałem zawczasu. Biegam dla zachowania kondycji. *Jogging. Footing.* W zachodnim świecie ludzie do późnego wieku biegają, grają w tenisa i pływają.

Wyjaśnienie zostało przyjęte ze zrozumieniem. Piękna ambasadorowa podziękowała za kwiaty. Pokuśtykałem dalej.

— Uważaj — szepnęła Alicja. — Mylisz nogę.

Rzeczywiście. Raz utykałem na lewą, raz na prawą. Trzeba trzymać się jednej.

Znaleźliśmy się w salonie pośród tłumu zaproszonych gości: przedstawicieli innych ambasad, zagranicznych dziennikarzy i rodzimych bywalców, czynnych i emerytowanych dyplomatów, profesorów, publicystów, twórców, aktorów. Niektórzy z nich od lat ozdabiają salony ambasad; mają obycie i swobodę wytrawnych światowców, władają językami.

Zakłuła mnie zazdrość. Władałem trochę angielskim. Ale wrodzona nieśmiałość przeszkadzała w porozumiewaniu się z cudzoziemcami. Często pragnąc przytaknąć przeczyłem, mylił mi się czas przeszły z teraźniejszym, brakowało słów i reguł gramatycznych. Patrzyłem więc na bywalców z niechętną zazdrością. To niskie uczucie popsuło mi nieco humor.

Nie byłem jednak osamotniony. Pan Ryś lojalnie trzymał się blisko mnie. Wyglądał nader efektownie. Jego klapę zdobiła miniatura Legii Honorowej. Wysokie to odznaczenie otrzymał niegdyś od rządu francuskiego.

Dyskretna ta Legia, ale jakże widoczna! Oto znakomity reżyser i dyrektor teatru W., postawny mężczyzna o urodzie renesansowego kondotiera; już od dłuższego czasu nie spuszcza skupionego spojrzenia z tej ozdoby na klapie marynarki mego przyjaciela. Z kimś rozmawia i nieprzerwanie zezuje w naszą stronę.

Kelnerzy zgrabnie przesuwali się pośród gości. Podsuwali tace z trunkami i sokami. Wybrałem czystą wódkę. Mocna i podtrzymuje na duchu. Chciałem utrzymać dobrą formę.

Kuśtykając dostojnie, dotarłem do wygodnego, skórzanego fotela. Usiadłem. Jedyne w tłumie stojących. Jako kaleka miałem prawo. Budziłem pewne zainteresowanie. Po raz któryś musiałem udzielać wyjaśnień o przyczynie kontuzji.

— Pewno buty były nieodpowiednie — orzekła żona wysokiego rangą urzędnika naszej dyplomacji, teraz rencisty. Była to wesoła trzpiotka, co najmniej siedemdziesięcioletnia. Zaczęła

opowiadać, jak to w Nowym Jorku, będąc z mężem na placówce, biegała po Central Parku i puścił się za nią w pogon Murzyn.

— Zapewne w celach niegodziwych — dokończyła z figlar-
nym uśmieszkiem.

Wywodziła się z tej ścisłej kadry bywalców, co to od październikowego przełomu przez czasy Gomułki i Gierka uczęszczają na takie przyjęcia nieprzerwanie do ostatnich dni. A najstarsi z tego grona pamiętają jeszcze czasy, kiedy można było bywać tylko w moskiewskiej ambasadzie.

Światowa dama zgrabnie obróciła się na pięcie i pożeglowała w drugi koniec sali. Kogoś tam wypatrzyła.

Znów wynurzył się kelner z tacą. Twarzy miał wytrawną, poufałą i od razu podsunął mi kieliszek wódki. Odmówiłem. Wybrałem sok pomarańczowy. W ambasadach bywają zatrudnieni najlepsi fachowcy z knajp. Może znał mnie z dawnych bojów?

Zachowywałem się powściągliwie i w odróżnieniu od pana Rysia, który czuł się tutaj jak w domu, wcale nie korzystałem z gościnnych papierosów marki Players poustawianych w metalowych puszkach na niskich stolikach. Miałem swoje Caro.

Obserwowałem gry i manewry towarzyskie, które uprawiali moi rodacy, reprezentujący różne poglądy i postawy. Były nawet zabawne. Jedni drugich omijali lub pozdrawiali zdawkowo. Jeszcze inni odpowiadali na zakusy przeciwników politycznych kamiennym spojrzeniem. Pan Ryś w tym przedmiocie także wykazał biegłość. Sprawnie rozprawił się z niedawnym dostojnikiem rządowym, przesuniętym ostatnio na atrapowe stanowisko w sejmie. Garnął się do ludzi jak za dawnych lat. Pragnął znów być lubianym przez wszystkich kompanionem. Podbiegł do pana Rysia z rozpostartymi ramionami. Ten jednak ominął go jak zdradliwą skałę na swym kilwaterze. Odtrącony dostojnik zachybotał niczym człowiek, który źle wyliczył skok.

Dziennikarzy zagranicznych było niewielu. Zainteresowanie Polską opada. Zwijają swoje kramiki i odlatują do innych gorejących miejsc świata. Zobaczyłem jakiegoś Niemca. Niemcy siłą rzeczy przez bliskość. Jakiś Francuz. On tu się ożenił. Facet z BBC. Też się ożenił. Amerykanin z żoną Deborą, długonogą kobietą o smutnej twarzy.

Dogasa nasze ognisko. Miną lata, dziesiątki lat... Nie popadać w jałową futurologię! Bawić się, póki czas. Nie tracić ani chwili. Dla dodania sobie animuszu postukałem kosturem. Gdybym był młodszy... Młody Irek przed laty spuścił spodnie na takim *party*. To była konsternacja. Nagi od dołu, wyzywający. Miewał pomysły świętej pamięci Irek.

Wracając do żurnalistów. Znałem niektórych. Wymienialiśmy przyjazne gesty. Podchodzili. Dopytywali o nogę.

— *What happened?*

Goniła mnie bezpieka. Upadłem. Dopadli. Wrzucili do piwnicy. Można też inaczej. Pomimo upadku udało mi się zbiec i dotarłem na ważne tajne zebranie. Niestety. Rozczarowałem ich.

— *Something wrong?* — jeszcze dopytywali.

Kręciłem przecząco głową. Odchodzili od kulawego pisarza. Czas dla nich rzeczywiście jałowy. Władza zawiesiła represyjną działalność. Opozycja wyczekuje. Społeczeństwo apatyczne, zmęczone.

Pan Ryś otoczony był gromadką kobiet i mężczyzn różnych nacji. Przyciągał ludzi. Śmiech. Opowiada coś zabawnego. Przechodzi z polskiego na francuski. Przynajmniej Alicja się nie nudzi.

Pan Ryś taki lekki i swobodny, jakby wcale nie zarażony wschodem. Jako ambasador musiał nie przystawać do nomenklatury. Jego wąsik, kształt głowy, maniery. Wywodził się ze środowiska patriotycznej inteligencji i zapamiętał na całe życie dwa obrazy.

Pierwszy raz w wieku lat sześciu, będąc z bratem na spacerze, zobaczył jeńców bolszewickich prowadzonych ulicą. Wraz z nimi kroczył dostojnie zdobywczy wielbłąd. Zaparło mu dech w piersiach wtedy. Było to po zwycięskiej bitwie o Warszawę w 1920 roku.

Drugi raz, także z bratem, spotkali w Alejach Ujazdowskich Komendanta. Podążał z Belwederu do sztabu. Obaj malcy przyłożyli dłonie do gołych głów w wojskowym salucie. Komendant uśmiechnął się do nich i małemu Rysiowi zwichrzył włosy. Zaparło mu dech w piersiach po raz drugi.

Po latach wojny i okupacji pan Ryś pełen był dobrej wiary i jako człowiek bywały w świecie i wykształcony, skierowany został do służby dyplomatycznej. Tak to się potoczyło. Przez ten czas niedościgłym jego wzorem pozostawał Arnold Mühlstein, dyplomata z dawnej Polski, który po wojnie pozostał w Paryżu. Spotykał się z nim cichaczem. Potem coraz częściej nachodziły go rozterki i zwątpienia. Kiedyś upokorzony poczuciem swego konformizmu podarł legitymację partyjną. Spłynęła z wodą w klozecie. Gest był symboliczny i śmieszny. Przecież musiał starać się o nową. No, ale to dawne czasy. Z jaką swadą kpi teraz z czerwonego, obrzmiałego faceta. Jest on urzędowym gościem na dzisiejszym przyjęciu. Dyrektor w MSZ, wiceprezes ze wschodniego klucza jakiegoś towarzystwa pod egidą ONZ.

— Jak tam kolekcja żony? — pyta go pan Ryś donośnie. — Przybrała? Czy skrzą mu się uczniacką figlarnością.

Nam wyjaśnia, że żona owego dyplomaty, zachłanna nuwo-ryszka, zasłynęła w polskiej ambasadzie gdzieś tam z rekordowej ilości sukien.

— Za mojej pamięci doszła do 170-ciu sztuk.

Dyrektor zwraca do niego pokerową, uśmiechniętą i nieco spoconą twarz. Poklepuje go po ramieniu. Zahartowany.

Może to jego dawny pracownik w paryskiej ambasadzie? Miał takiego, który był portierem i szefem bezpieczeństwa. Sugestywnie opowiadał nam pan Ryś o swoim strachu i poczuciu zależności, kiedy as wywiadu w liberii otwierał mu usługnie drzwi pałacyku przy Saint Dominique.

Otworzyły się podwoje jadalni i ławą ruszyliśmy do długiego stołu, obficie zastawionego jadłem. Było w czym wybierać. Po-łędwica, szynki i schaby, zapiekanki, sałaty, sosy.

Nabrawszy sobie solidnie na talerze, zajęliśmy miejsca przy zacisznym stoliku. Towarzystwo stanowiliśmy doborowe: pan Ryś, korespondent amerykańskiego dziennika z żoną, Alicją i ja. Nick, korespondent, już kilka lat przebywa tutaj i nieźle po-rusza się w polskim labiryncie. Obraz sytuacji posiada uprosz-czony, dostosowany do potrzeb swoich czytelników za oceanem. Dziarska opozycja w walce z władzą. Heroizm i siła ducha. Efek-towne wypowiedzi działaczy podziemia. Kościół i jego gra nazna-czona tysiącem lat cierpliwości i doświadczenia. Anegdota o posmaku aforystycznym. W tym gustuje szkoła amerykańskiej żurnalistyki.

Opowiada o urodzinach bohatera opozycji, który niedawno zwolniony został z więzienia. Przyjęcie odbywało się w jego willi. Huczna to była noc. Świt odsłonił połamane krzesła, pobite szkło na podłodze i krew na ścianach (bili się przecież, jakże mogło być inaczej!), tę typową dewastację po długiej biesiadzie, i wtedy bohater opozycji z właściwą sobie dezynwolturą powie-dział: — Oto nasz rewanż za Jaltę!

Śmiał się Nick po amerykańsku, pełną parą. Oni uwielbiają takie pointy. Zapewne napisał o tym do swego dziennika. Na-stępnie podzielił się swymi wrażeniami z podróży do Pragi. Tam marazm i apatia. Warszawa po powrocie wydała mu się żywym, pulsującym miastem. Zbliżające się święta pragnie spędzić w Hiszpanii.

— Co o tym myślisz? — zwrócił się do Debory.

Popatrzyłem na Amerykanina i poczułem ból w okolicy serca. Pogodny i swobodny, sama naturalność!

A ja?

Młodszy ode mnie o kilka lat, cały świat już zjeździł i wszędzie czuje się jak w domu.

A ja? Nawet w tej ambasadzie jak na szpilkach. Co dopiero gdzieś w odmętach szerokiego świata. Jeździ samochodem jak rowerem. Oni ledwo opuszczają dziecięce łóżeczko, już wsiadają do auta. W pisaniu korzysta z komputera, przyciska klawisze i ekran wypełniają litery, słowa, zdania. Jeszcze języki! Biegle po polsku, francuskim i niemieckim też. Uporczywie stawiałem siebie w karykaturalnej opozycji do niego. Skąd to mnie oblażało? Przed chwilą nastrój miałem niezły. Dziarsko kroczyłem po schodach, trzymałem fason w salonie i kpiłem sobie z całej menażerii. Nagle upokorzenie za upokorzeniem. Kundel z kulawą łapą!

Ta masochistyczna chłosta przzerwana została przez eleganckiego młodzieńca o południowej urodzie. Przysiadł się, wyciągnął rękę. Dyplomata, korespondent? Zacząłem po angielsku. Czy zrobiły mu się okrągłe. Zapytałem jak mu się podoba mój kraj. Czy stały mu się jeszcze bardziej okrągłe.

— Stary, co ty?

Okazał się kolegą pisarzem z młodszego pokolenia. Pomylił mi się z jakimś cudzoziemcem. Pragnął rozmowy o bolesnych naszych rozdarciach. O dylematach wyboru. Postanowił próbować jeszcze w oficjalnym kręgu możliwości. Jego zdaniem rysują się przesłanki poprawy. Wydaje kolejną książkę. Nakład dali przyzwyczajeni.

— A ty? — zapytał.

Patrzyliśmy sobie w oczy. Dwaj twórcy. Orkiestra zagrała taneczną melodię. Powrócił do swego towarzystwa. Wkrótce udał się na parkiet z roslą dziewczyną. Otoczył ją ramieniem w uwodzicielskim geście.

— Jednak przyleciała! — zawołał Nick, korespondent nowojorskiego dziennika.

Zerwał się i podbiegł do drzwi. Powitał wylewnie starą kobietę w szmaragdowej sukni koloru morskich fal. Przyprowadził do naszego stołu. Przedstawił z atencją. Była to Gloria Eagle, gwiazda amerykańskiego dziennikarstwa. Miała twarz indiańskiego wodza, brązową i porytą. Czy zimne, znużone.

Przyleciała tu z Genewy. Ceniona komentatorka światowych wydarzeń. Już otaczają ją koledzy po piórze. Przysiadł się szwedzki ambasador. O coś żywo dopytują. Gloria Eagle między jednym a drugim kęsem krwistej polędwicy odpowiada zwięźle. Zapija łykami Burgunda. Dla mnie ona była Marsjanką. Jutro, pojutrze poleci do Moskwy, Pekinu, Londynu. Na podobnym przyjęciu otoczą ją ludzie ciekawi jej zdania o losach świata. Zna hotele i restauracje w wielu miejscach na różnych szerokoś-

ciach geograficznych. Stary portier z paryskiego Ritza kłania się jej z sympatią i doskonale pamięta, że zawsze wybierała ten apartament a nie tamten. I jeszcze kilkanaście oleodrukami rodem z kina wyobraziłem sobie jej światowość. Port w Nicei. Markiza furkocze na wietrze. Fragment walizki z kolorowymi nalepkami. Olśniewająca w słońcu Casablanca... Eh! Najchętniej wróciłbym już do swojej nory porytej dziurami (akurat wymieniali rury centralnego ogrzewania), do tej ciemnej jamy, zaczynającej cuchnąć starzyzną, butwieniem. Nawet ten zapach z łatwością mogłem przywołać. Już go czułem, choć panowały tutaj wonie dobrych wód po goleniu, dyskretnych perfum i dezodorantów. Więc wróciłbym do siebie i leżąc na tapczanie zabrałbym się do czytania „Opowieści chasydów”, księgi mądrości dawno nieistniejącego ludu z dawno nieistniejących miast i miasteczek południowo-wschodniej Polski.

Wstałem raptownie. Dla wzmocnienia gasnącej duszy i wiotczącego ciała ruszyłem kilka kroków przed siebie. Zapomniałem o lasce. Nie kulałem wcale. Stropiłem się i zawróciłem, powłócząc nogą. Usiadłem z powrotem przy stoliku. Oburącz objąłem swój kostur.

Gloria Eagle nadal rozprawiała o polityce. Zmarszczki zbityły jej brązową twarz jak rzeźbę w kamieniu. Wódz Siuksów czy Inkeżów z rycin zdobiących książki dzieciństwa. Sitting Bull, Crazy Horse, może Pontiac. Palce miała mocne, paznokcie krótko obcięte.

Podchodzili do niej Polacy. Przypominali się jej. Bywała tu wielokrotnie. Wesoła trzpiotka, żona emerytowanego dyplomaty, rzuciła się do całowania Amerykanki. Gloria, wcale nie zaskoczona tym natręctwem, nadstawia policzek. Zadaje gładkie sztamkowe pytania, z których słynie sztuka amerykańskiej konwersacji. Równocześnie cały czas pożywia się metodycznie.

Nasz świat to dla niej Wschód i basta! Czyż nie tak, mrs Gloria? Polska najliberalniej w bloku rządzona, pełna opozycji, podziemia, ducha oporu ciągle żywotnego. Wspaniały naród ci Polacy. Łatwo ci tak myśleć, stara wiedźmo! Polecisz do Paryża i w samolocie napiszesz świetną błyskotliwą korespondencję z naszego kraju. Potem skoczysz na *weekend*. Majorka, Minorka. Weźmiesz sobie jakiegoś jurnego młodzieńca na okłady ziębnącego ciała. A może jest lesbą? Popiłem wina. Było cierpkie, kwasowe. Jak mówił pan Ryś? Aha.

— W Paryżu — powiedział przed chwilą — jakby mi takie podali na stół, to odesłałbym z powrotem.

Kogo właściwie obchodzi wynaturzona rzeczywistość, w której

żyjemy? Wolny świat uwielbia sukces, zdobywcą radość, ekspansję. Mój kraj psuje humor, budzi wyrzuty sumienia, przeszkadza w trawieniu. Racja jest po stronie Glorii Eagle. Przypisani jesteśmy do wschodu i w tej stojącej wodzie trzeba będzie do końca. Dźwigać krzyż albo transparent z sierpem i młotem. Już lepiej chodzić do ruskiej ambasady i z jakimś Griszą czy Wołodią wpijać się nawzajem w usta i bełkotać po naszemu — Amerykaniec, Angol, Katan, adin huj gałancki!

Wczoraj przeczytałem na murze napis następującej treści: „Komuniści! Jesteśmy niedaleko i patrzymy na was. Free!”. Ostrzeżenie wzmocnione było rysunkiem szubieniczki.

No i co z tego? Ci „Free” patrzą na nas od kilkudziesięciu lat.

Niech Nick Amerykaniec powie o tym Glorii Eagle. Ona napisze. Przeczytają Jankesi. Zainteresują się. Gdzie to jest? Na Bałkanach, u podnóża Kaukazu? Nie chciało mi się opowiadać. Zająłem się połędwicą. Świetna!

Trwały tańce. Na parkiecie ambasador z ambasadorową. Piękna para. Potem podano desery: lody, torty i kremy.

Po deserach dźwignęliśmy się z krzeseł. Całą trójką. Alicja, pan Ryś i ja.

Znów jako kulas, postukując kosturem i ciągnąc za sobą nogę, schodziłem powolnie po schodach.

W szatni człowiek w liberii podawał nam okrycia. Popatrzył na mnie i w jego oczach jakby błysk rozbawienia. Czyżby przejrzał moją grę? Zaraz ten błysk zgasł. Twarz miał bez żadnego wyrazu. Pomógł nałożyć płaszcz.

Drzwi otworzył drugi w liberii. Opuściliśmy rezydencję. Milicjant wyrzwał z oszklonej budki. Dwóch cywilów po drugiej stronie.

Głucho i pusto na przestrzał. Nawet psa z kulawą nogą nie było.

I tak postukując kosturem po betonowym podjeździe, zatrzymałem się naraz.

My tu na wschodzie Europy jesteśmy bardzo przesądni. Mało mamy racjonalnej nadziei i więcej wierzymy w cuda, znaki na niebie, zaklęcia. Poczułem niepokój. Czy tą łaską i udawanym kalectwem nie wywołuję złego?

Przestałem kuleć. Przewiesiwszy kostur przez ramię, ruszyłem żwawo chodnikiem. Alicja i pan Ryś ledwo za mną nadążali.

— Szybciej! — powtarzałem.

Z pasją kopnąłem pudełko po papierosach Golden jakichś tam. W świetle latarni błysnęły kolorowo. Kopnąłem i zdeptałem. Wtedy pośliznąłem się na psim gównie. Świeże. Jakiś pies nasadził niemałą kopę. Wywinąłem pirueta jak na ślizgawce. Nie zdołałem utrzymać równowagi. Grzmotnąłem zadkiem. Alicja i pan Ryś pomogli mi dźwignąć się z ziemi. Syczałem z bólu. Chyba skręciłem nogę w kostce. Kostur okazał się niezbędny.

OPOWIADANIA

ŚMIERĆ

Umarł Irek. Był jednym z najbliższych w mojej pamięci. Razem przeżywaliśmy literackie początki. Rok 1958. *Współczesność*, tygodnik debutantów. Przepijamy pierwsze honoraria w „Smakoszu”. Irek, Staszek Grochowiak, Stachura, Śliwonik. Chłamy tego, roją się nam sny o sławie i potędze. Bywał tam z nami ruchliwy entuzjasta Jurek Falkowski, dziennikarz. Swoje recenzje o naszych książkach, szkice o nowej literaturze, teatrze pisywał w knajpach na bibułkowych serwetkach. On umarł pierwszy. W biegu. Organizm zdewastowany gorączkowym życiem nie wytrzymał. Zawsze gdzieś pędził, coś odkrywał. Bardzo chciał odrobić szkody, które spowodował jako ślepy, fanatyczny działacz ZMP. Tak mawiał często z masochistyczną zaciekleścią w głosie. Śmierć dopadła go w drodze na film „Planeta mała”. Po nim Grochowiak. Zapił się do szczętu. Następny był Stachura. Padł ofiarą choroby psychicznej. Po pierwszej nieudanej próbie samobójczej widziałem go z kikutem dłoni: na skos odcięty kawał, pozostały dwa palce, pierwszy i wskazujący. Była to prawa ręka. Uczył się pisać lewą. Napisał dramatyczny, wstrząsający tekst „Pogodzić się ze światem”. Już lewą ręką. To ostatnia jego praca. I skończył ze swoim życiem. Dokładnie zorganizował śmierć.

A teraz Irek. Nie widywałem go ostatnio. Męczył mnie jego wyzywający teatr życia, który nieustannie reżyserował. Ale często o nim myślałem. Jako o kimś bliskim, choć bardzo odmiennym. Dwa tygodnie temu odwiedził go młody poeta z Gdańska. Pojawił się u mnie wstrząśnięty. Irek przyjął go w ciemnym pokoju, leżał na tapczanie, obok butelka — jego wierny, życiodajny eliksir. Pił metodycznie. Wyznał młodemu pielgrzymowi, że nic go już nie interesuje, wszystko odeszło. Pije i czeka. Picie

przyśpiesza męczący cykl oczekiwania. Uznałem to wyznanie za kreację. Sugestywną kreację dla prostodusznego poety z Gdańska. Irek, odkąd go pamiętam, grał dla ludzi długą sztukę, ciągnącą się w nieskończonej ilości aktów, pełną prowokacji, skandalów, dekadenceńskich akcentów i błazeńskich min. W ostatnich latach już to sceniczne dzieło staowało się mechaniczne, pozbowione świeżych soków, martwe. Może znudziła go ta niewola prozy? Spętała na trwale i nie mógł się od niej uwolnić. A może była to obrona przed światem, ludźmi, sobą? Wymagała nieustannej czujności, podsycania obficie alkoholem. Alkohol z czasem stał się jego paliwem. Dawał mu siłę trwania, inwencję i pozory zabawy. Był człowiekiem wielkiego talentu, kuglarskiej łatwości pisania i oryginalnej wyobraźni. Migawkami widzę go znów w rozmaitych sytuacjach na przestrzeni wielu minionych lat. Dziewczyny, jakaś prywatka. Irek okrutnie żongluje uczuciem jednej z nich. Zafascynowana nim, on to wie doskonale i bawi się jej kosztem. Bawi także nas. Przeprowadza wiwisekcję niby chirurg i sonduje jej ambicję, dumę, bada stopień oddania wobec siebie. Jakaś pijatyka, tłum, Irek w międzyczasie wystukuje na maszynie końcowy akt pierwszej swej sztuki „Męczyństwo z przymiarką”. To znów między wyprawami do Bristolu, pokerem, awanturami i błazenadą pisze powieść kryminalną. Nazywa się „Ryba goni za mordercą”. Pseudonim autora Umberto Pesco. I jeszcze wiele odsłon. Bijemy się w bramie. Początkowo dla żartu, potem poważnie. Podbił mi oko. Jego dziewczyna Maria, plastyczka. Słucham wielkiego monologu do niej. Monolog jak na scenie. Od wzniosłości do szyderstwa. Maria jak na huśtawce. Irek doskonale bawił się obrotami swej wyobraźni. Może nie tylko? Może taki był. Pełen sprzeczności. Badacz swojej duszy i cudzych dusz. Siedzimy we trójkę: Irek, Grochowiak i ja. Obaj z Irkiem szydzimy z endeckich inklinacji poety z Leszna. Tak go wtedy nazwaliśmy złośliwie. Obracamy nim jak myszą w potrzasku. Jola broni Irka przed kolegium karno-administracyjnym. Zgasił papierosa na łysej głowie apoplektycznego mężczyzny. Irek w domu moich rodziców we Włochach. Pies Ibis, wierny towarzysz jego warszawskich peregrynacji. Postawił mu pomnik. Dosyć tych wspomnień! Poruszyła mnie wiadomość o jego śmierci. Ostatni bliski z najdawniejszego grona młodych, gniewnych zdobywców literatury. Nie ma go już.



Zadzzwonił Edzio, konsul z „Mirażu”; proponował napić się wódki. Odmówiłem. Powiedziałem o śmierci Irka.

— Irek — powtórzył.

— Tak. Wczoraj nad ranem.

— Irek... — znów powtórzył — nie żyje. — Pauza w słuchawce. — No, to go zatkało.

Nie napierał z propozycją wódki:

W takim razie będę musiał napić się z kimś gorszym — powiedział. — Tylko jak znaleźć kogoś znośnego.

Edzio to jeden z ostatnich apostołów sztuki silnie związanej z alkoholem. Dobry malarz. Uczciwy i konsekwentny w swojej robocie. Dawniej my — wtedy młodzi — traktowaliśmy go jako kombatanta z innej epoki. „Konsulem” nazwaliśmy go po przeczytaniu „Pod wulkanem” Lowry’ego. Powiedzenie Edzia — „To go zatkało” — nurtowało mnie cały dzień. Edzio pije i myśli. Jeden z niewielu, któremu wódka nie przeszkadza w myśleniu. Trafił w jakieś sedno. Jeszcze o Irku.

Przecież intensywność jego życia musiała być bardzo kosztowna, pożerająca. Żył i pisał, starając się o jedność w tych dwóch sferach. Pojawił się w Warszawie jako młodziutki poeta już owiany legendą obrazoburcy, buntownika, żeby nie powiedzieć nihilisty, dekadenta.

Czas był popaździernikowy i jego twórczość integralnie złączona ze sposobem bycia stanowiła swoistą mini-rewolucję w naszym ubogim, socrealistycznym świecie. Zajmował się domeną uczuć, seksu, tajemnicami i dewiacją ludzkiej psychiki. Kreatorem był efektownym. Pokazywał obłudę i zakłamanie w stosunkach między ludźmi, tropił kompleksy, zagłębiał się w schowki podświadomości i burzył konwencję tradycyjnych związków kobiety z mężczyzną. Własnym życiem sugestywnie ilustrował swą literaturę. Tłok kobiet wokół niego, romanse i awantury, małe miny i pozy. Poczciwości i bogoojczyźnianego upupienia unikał jak diabeł święconej wody. Tak już pozostało. Skandale, prowokacje, doświadczenia ludzi na krawędzi wytrzymałości — stały się motorem jego pisania. Zabawy z kobietami na pograniczu przemocy i sadyzmu spowodowały aferę zakończoną sądowym wyrokiem. Różnie o tym mówiono. Cała ta sprawa mocno niejasna, być może szło także o nauczenie moresu młodego, niepokornego twórcy. O przydeptanie jego skrzydeł. Wyszedł z więzienia po przeszło dwóch latach. Dalej dbał o swą osobowość i oryginalność. Jedną istotną strefę omijać zaczął starannie w swej penetracji. Nie dotykał nigdy bezpośrednio istoty władzy i jej bezwzględnej siły w walce z potrzebą wolności. I nigdy nie nazywał jej po imieniu. Starannie unikał konkretów realistycznego tła w opisywanych relacjach między rządzonymi i rządzącymi. Omijał te rafy, próbując jedynie w alegoriach i metaforach o tym

mówić. Może więzienna lekcja poraziła go ostatecznie? Strachem, poczuciem poddaństwa i niewoli. Nie mógł wyrazić pełniej tego co chciał. Tama. Mur. Miał świadomość swoich ograniczeń i to dławiło jego sztukę, życie. Zatkło go ostatecznie.



Kilka miesięcy temu spotkaliśmy się na ulicy. Wstąpiliśmy do pobliskiego baru na kawę. Byłem akurat świeżo po wyjściu z więzienia. Dopytywał o pobyt za kratami. Wspominał swoją odsiadkę. Zapamiętałem, co powiedział:

— Z naszego pokolenia tylko ty i ja nie daliśmy dupy w tym burdelu.

Pewno przesadził. Lubił ostre, konkretne sądy. Miał zawsze o sobie wysokie mniemanie i z tym się nie krył. Wręcz przeciwnie. To też było elementem jego gry.

— Nikt w Polsce nie ma takiego jak ja dialogu — mawiał często. Albo: Jestem mistrzem dramatu. Wtedy w tym barku kawowym zapewne z powodów kurtuazyjnych także i mnie udzielił wysokiej noty. Ale to najmniej ważne. Wynika z tego przede wszystkim dosyć jasno, że myślał o swojej niezawisłości. Miał świadomość wielkiej pułapki. Balansując na linie przez tyle lat nie obsunął się jednak. Wytrzymał tę akrobatyczną drogę.



Szaro deszczowo. Żałobnie. Siedzę przy stole i piszę te zapiski w dwa dni po jego śmierci. Póki czas nie spuści wszystkiego w nicość.



Skończył się ostatecznie sezon ogródkowy. Liście zagrabione i wrzucone do kompostowego dołu. Buraki i marchew wykopane. Krzaki porzeczek podcięte. Ale matka nadal jeździ do Włoch. Wynajduje preteksty. Po chrzan. Zobaczyć czy dach budy nie przecieka. Sprawdzić siatkę ogrodzenia. Podejrzewa, że ktoś przez nią przełazi i buszuje po jej włościach. Przeliczyć ilość tyczek do pomidorów. Podejrzewa, że ktoś podbiera lepsze, pozostawiając gorsze.

Dziś wieczorem po powrocie powiedziała tak: — Jak wychodziłam z ogródka, to poczułam dokładnie, jak będę umierać. Nagle wielki ciężar w głowie i słabość w nogach. Upadłam. Przybiegł sąsiad. Pomógł mi wstać. Doczłapałam do przystanku. Zrobiło mi się bardzo zimno. Jedna pani od razu ustąpiła mi miejsca.

Mówię: Powinnaś przez kilka dni odpocząć. Poleżeć w łóżku, poczytać sobie...

— Nie mogę — odpowiada. — Jutro muszę jechać.



Przedzierałem się ulicami do przychodni lekarskiej po numerek. Napięta twarz, oczy nieruchomo przed siebie (nie patrzeć, nie widzieć nikogo). Czułem ucisk w oczodołach, ból naprężonych mięśni. Powrót autobusem. Kobieta w futrze, przepychając się i dysząc jak miech, wyprzedziła mnie w ostatnim momencie i zajęła miejsce siedzące. Mościła się, zadowolona ze zdobytego luksusu jazdy. Włosy miała farbowane na blond, z szarymi odrostami przy skórze. Wyciągnęła dłoń z biletem. Poszukiwała oczyma kogoś uprzejmego, żeby przedziurkował jej bilet w kasowniku. Stałem najbliżej. Szybko ominęła mnie wzrokiem.

W domu przyjrzałem się sobie w lustrze. Twarz ściągnięta, nieruchome ponure oczy podbite sinymi podkowami. Najważniejsze oczy i grymas ust. Oczy bez blasku, zgaszone. Usta zaciśnięte i gorzkie. Czułem zmęczenie. Zmęczenie i ulgę po powrocie do domu. Wargi powoli rozsznurowały się z zacisku. Czy na długo?

Niejeden z mieszkańców tego miasta tak samo jak ja liże teraz rany. Odpoczywa po trudach batalii. Rzesze potencjalnych schizofreników, historyków, furiatów. Ilu nas?



Tego Cyklopa widuję często. Wysoki, chudy, o bardzo smukłych delikatnych dłoniach. Palce cienkie, drapieżne. Twarz pociągła, koścista, oczy niebieskie. Jedno martwe, nieruchome. Sztuczne. Szkło. Około trzydziestki. Trudni się różnymi, zmieniającymi zajęciami. Po wizycie papieża chodził po hotelach i restauracjach, sprzedawał srebrne monety z jego wizerunkiem. Były fałszywe. Raz gonił go nabywca.

— Oszust! Łapać oszusta!

Cyklop uciekał jak pan Hulot, wysoko unosił bocianie nogi w kuszach spodniach, poły płaszcz rozwiewały się za nim.

Inne odsłony. Często pod sklepami filatelistycznymi nabywa od chłopców albumy znaczków pocztowych. Na parkingu hotelu „Victoria” występował w groteskowej, pijackiej brygadzie niejakiego „Hitlera”, trudniącej się myciem cudzoziemskich samochodów. Coś poszeptuje z Arabami w pasażu domów handlowych.

Pewnego jesiennego popołudnia widziałem go na ławeczce

przed Pałacem Kultury. Zaczytany w starej książce z postrzępionymi stronicami.

Latami penetruje miasto. Nieraz pijany. Znajomości posiada rozległe. Od małych złodziejasków do przesadnie eleganckich aferzystów.

Obserwując go, odnosiłem często wrażenie, jakby jego aktywność nie wynikała tylko z potrzeby pieniędzy. Jakby dotyczyła sfery wyższej.

Dziś wieczorem wracając do domu, spojrzałem w okna brzydkiej, pustej kawiarni. Kilka osób przy stolikach. Senna kelnerka przy piecu. Opadała jej głowa.

Cyklop siedział samotnie nad kieliszkiem kolorowego trunku. Podparł głowę łokciami. Kim jest Cyklop mojego miasta? Gdyby tak narodził się nowy, wspinały pisarz.



Pustka wieczornego miasta. Pustka i ciemność. Masywy ministerialnych gmachów, urzędów. Skąpe oświetlenie. Ludzi mało. Z rzadka w kręgu latarni wzrok zabłąkanego przechodnia przeniknie drugiego przechodnia zimnym okiem. Zatrzymałem się przed jednym z ostatnich, starych domów i wszedłem do bramy. Dom był w agonii. Łuszczące się jak egzema ściany, poobijane stiuki, amorki i secesyjne girlandy — ślady dawnej świetności z początków wieku. Popękane, marmurowe schody, powyginane poręcze, smród szczytn. Znalazłem się na podwórzu wśród wysokich murów. Wokół śmietnika snuły się cienie małych zwierząt. Szczury, koty, nie wiadomo. Wyżej czarne prostokąty okien. W jednym tylko majaczyło żółte światło. Oddaliłem się pod śmietnikiem, płosząc te niezidentyfikowane, małe zwierzęta. Śmignęły, zaszeleściły, zniknęły.

Szczałem na pohybel miastu, sobie, wszystkiemu.



Wracam do Cyklopa. To wcale nie literacka błyskotka, obrazek opatrzonego efektownym pytaniem. Cyklop naprawdę kojarzy mi się z czymś znacznie ważniejszym niż mogą to potwierdzić jego szemrane zajęcia społecznego wyrzutka.

Te wędrówki i zajęcia przypominają zbieranie doświadczeń w zagadkowym, intrygującym celu. Pragnienie, żeby pojawił się taki pisarz znikąd, z samego dna. Nie obarczony żadnym bagażem tradycji, uwikłań, środowiskowego snobizmu, presji politycznej i innych wyrachowań.

Nic z tego balastu, co osłabia potencję, nic z ugładzenia, konwenansu. Dziki! Jest poza wszystkim. Chodzi swoimi drogami. Jak magnes zbiera opiłki, tak on chłonie atmosferę naszego życia, miasta. Wyrasta nagle. Strzela księgą jak laserem. Przebija wszystkie złogi, warstwy ochronne, bebeszy cały ten gąszcz, dociera do rdzenia. Odkrywa istotę zjawisk. Genialny intuicjonista. Dziki pisarz. Potrzeba takiego.



W sklepie „Ruchu” na parterze tego budynku siedziały trzy baby jak sępy. Suche, żylaste. Spojrzenia miały twarde, nieustępliwe. Siedziały i patrzyły w okno. Milczały.

Czarne ulice i jasny prostokąt szyby. Za nim trzy sępy. Czekają.



Wieczorem od matki. Miasto wydawało mi się cmentarzem. Żółte światła jak świece na grobach. Wysoko absurdalny neon z połową ślepych liter.

W przechodniej bramie, którą podążyłem na skrót, monstrualnie gruba kobieta kłóciła się z dwoma mężczyznami.

— Dalij jazda, łachudry! — wrzeszczała.

Oni trzymali się od niej w bezpośredniej odległości, powarukując z cicha.

W tramwaju przymknąłem oczy, żeby nie patrzeć na tak samo jak ja smętnych, skurczonych ludzi.

Coś tu przestało funkcjonować. Szarpie, boruje, kaleczy. Defekt przybiera na sile.



Krawiec po drugim zawale. Rzucił palenie, chodzi bardzo wolno, mówi wolno. Przedtem pasjonował się polityką. Interesowały go kombinacje grup i grupiek na szachownicy aparatu władzy. Przesuwał królami, hetmanami i koniami. Pamiętał nazwiska członków biura politycznego partii z co najmniej trzech kadencji.

— To śmietnik — teraz powiada.

Chętnie wraca do swej przeszłości. Młodość na Powiślu, ulica Topiel, termin w krawiectwie, patron całą forszę przegrywał na wyścigach, ale fachowiec, brał miarę i trzymał w pamięci, nigdy nie zapisywał. Służba wojskowa w KOP-ie, twierdza brzeska; później praca na pocztach, jeździł w ambulansie, Lwów, Poznań, raz była próba napadu.

Zdarzają się dni lepsze i gorsze. Zależnie od ciśnienia atmosferycznego, jak twierdzi. W dniach gorszych raczej nieobecny, myślami gdzieś daleko. Jednak nie dramatyzuje, ani z dbałością o zdrowie nie przesadza.

— Przecież i tak się człowiek od tego nie ustrzeże — mówi — choćby wyłaził ze skóry. Zaraz jednak zaprzeczył temu przekonaniu. Zaczął opowiadać. Drugi zawał łżejszy niż pierwszy. Leżał w tym samym szpitalu co poprzednio. Z reanimacji przenieśli go do sali nr 4. Pierwszym razem leżał w sali nr 2. Miał w szpitalu znajomego pielęgniarza. Szył mu kiedyś ślubny garnitur według taryfy grzecznościowej. Z nim to wdał się w pertraktacje. Tamten po kilku dniach przeniósł go do sali nr 2. Nawet leżał na tym samym łóżku. Mówi o tym z satysfakcją. Jakby dzięki temu wywinął się spod łopaty.



W Pewexie tłum. Gorączka zakupów jak w zwykłych, zło-tówkowych sklepach. Tylko ludzie szczególni. Młodzi, w sile wieku, mało starszych. Przybrani w modne, zachodnie standardy. Pikowane kurtki, bluzy z mnogością kieszeni, spodnie według ostatniej mody dołem zwężane, sute i bufiaste u góry, buty z cholewkami, miękkie cichobiegi; potrzásają złotymi bransoletami na przegubach dłoni, kluczykami od samochodów w palcach — jak jastrzębie popatrują po półkach i ladach, szukając potrzebnych im glazur, tapet, wanien, umywalek, pryszniców, kuchennych robotów, maszynek do strzyżenia trawy, samochodowych części itp. Rozpoznają nieomylnie w masie przedmiotów to co im potrzebne i po tym wstępnym sondażu przepychają się do sprzedawcy, pragnąc poznać jakość i cenę. Przebijają się przez tłum niby taran, potracając się nawzajem i odpychają, konsekwentnie podążając do wytyczonego celu. Uroda dosyć monotonna. Baby przeważnie blond, o szerokich twarzach, perkato-kaczyczych nosach i błękitnych oczach. Nisko skanalizowane.

Mężczyźni w większości wąsaci, tłustawi, z fałdzistymi podgardlami, wyłazą im ze spodni brzuchy podparte szerokimi pasami.

Drapieżność tego tłumu obojga płci uderzająca. Magnesem kosztowny świat przedmiotów. Ich zdobywanie sprawą nadrzędną. Domniemywać można o różnorodności środków prowadzących do celu. Zachłanni i bezwzględni. Nacja ta jak kolorowy balon unosi się nad szarym społeczeństwem. Mówią innym językiem. Glebą dla nich wynaturzony świat. Żyją z jego odchodów.



W zatłoczonym tramwaju — godzina szczytu — udało mi się zdobyć siedzące miejsce. Byłem zadowolony. Czekala mnie daleka droga. Napierali zewsząd. Na każdym przystanku wtłaczali się następni. Ubywanie postępowało minimalnie. Obok mojej ławki ulokowały się w pozycji stojącej dwie osoby. Mężczyzna, którego twarzy nie widziałem oraz kobieta. Mężczyzna opierając się o poręcz nad moją głową, przygniótł mi czapkę. Kobieta wsparła ciężką torbę na moich kolanach. Napierała całym ciałem. Przydeptała mi stopę. Nie protestowałem. Znajdowałem się przecież w sytuacji uprzywilejowanej, posiadałem miejsce siedzące. Moi sąsiedzi natomiast stali. Zapewne cisnęli na nich inni pasażerowie. Chociaż wydawało mi się chwilami, że celowo dokuczają siedzącym. Oto mężczyzna nizej opuścił łokieć i stracił mi czapkę. Nie przeprosił. Kobieta zaś naparła ze zdwojonym impetem, jakby sugerując w ten sposób, iż powinienem ustąpić jej miejsce. Znosiłem dokuczliwość cierpliwie. Starannie też unikałem spojrzenia w górę na ich twarze. Może mężczyzna jest inwalidą, a kobieta napotkawszy moje spojrzenie oświadczy, że jest w ciąży. Lub okaże się staruszką.

Ponadto byłem w sytuacji uprzywilejowanej i dokuczliwości z ich strony miały uzasadnienie. Wracali z pracy. Czekala ich uciążliwa podróż w tramwajowym tłoku. Zresztą wszyscy stojący są wrogo nastawieni do siedzących. To naturalne. Każdy siedzący kiedy przyjdzie mu stać będzie czynić to samo. Wiedziałem o tym z własnego doświadczenia. Ile przydeptałem cudzych stóp, ile szturchańców niby przypadkiem wymierzyłem w plecy siedzących, rozpartych wygodnie i zadowolonych.

Opisywana podróż trwała dosyć długo i kiedy wreszcie wstałem, zobaczyłem twarze tych dwojga nade mną. Młodzi. Ona i on.



Irek nigdy nie mówił o swojej rodzinie, dzieciństwie. Prawie nigdy. Czasem o ojcu. Przedstawiał go jako kresowego szlagona, domowego despotę. Nazwisko Irka brzmiało dla mnie sztucznie, zbyt poetycko. Mówiono, że źródło tej semantyki tkwi w „Zielonej Gęsi”. Tam występował poeta, Ireneusz Indyjski. Młody, pomysłowy Irek skorzystał z tego pierwowzoru i został Ireduńskim. Urodził się na kresach, w Stanisławowie. W jego kreację życia i twórczości świadomie została wliczona niewiadoma rodowodu. Brak przeszłości. Istnienie zaczął od opublikowania swego pierwszego wiersza i tego faktu trzymał się konsekwentnie. Wścibskich ciekawych jego życia przed debiutem zbywał sprzecz-

nymi, żartobliwymi odpowiedziami. Celowo i z rozmysłem. Powtarzały się pogłoski o żydowskim pochodzeniu Irka.

Bardzo dawno temu wieczorem przy winie pewna dziewczyna wspominała swoich rodziców, ojca Żyda, matkę gojkę. Mówiła o ciężarze swego pochodzenia. O polskim antysemityzmie.

— Jestem mulatką! — śmiała się gorzko. Irek natychmiast wystąpił z opowieścią o genezie swego rodu. Wywodził się z ukraińskich hajdamaków, przodkowie nazywali się Iredeńko. Sugerował nawet z błazeńskim swym uśmiechem, że rezać mogli Lachów i Żydów. Brzmiało to bajczarsko i dziewczyna wybuchnęła śmiechem. Irek też roześmiał się, potwierdzając niejako w ten sposób jej niewiarę w prawdę wyvodu.

Kiedyś szedłem ulicą z Arturem Maryą Swinarskim, znanym dramaturgiem i szydercą. Akurat pojawił się Irek. Artur Marya popatrzył na niego przenikliwie i oczy za okularami zaświeciły mu jak u bazyliuszka.

— O, Menkes! — powiedział.

Był taki malarz we Lwowie i Irek według Artura Maryi wyglądał jak jego sobowtór.

— Czy pan nie jest czasem jego synem? — zapytał. Irek wtedy stracił rezon. Popatrzył wściekle na złośliwego dramaturga i odszedł w milczeniu. W marcu 1968 roku podczas antysemickiej nagonki bardzo żywo reagował na przejawy tej akcji. Był wzburzony. Później napisał sztukę, gdzie echa tych wydarzeń znalazły swoje odbicie.

Zapewne miał „niedobre pochodzenie”, ale ukrywał ten fakt starannie, zdając sobie doskonale sprawę, że odkrycie tej odmienności stać się może celem dla wielu zatrutych strzał. Wybrał rolę atakującego. Zawsze wyprzedzał uderzenia i pułapki.



Rozważania o Irku z powodu Witka M. Odwiedził mnie wczoraj. Z Witkiem znajomość trwa od przeszło dwudziestu lat. Jako młody chłopak, syn wysokiego urzędnika PRL zanurzył się w kręgi artystów, pisarzy, aktorów i malarzy czasu Października. Przyjaźnił się z Markiem Hłasko, później z Irkiem. Był oddanym, wiernym adiutantem zbuntowanych pisarzy. Darzył ich niewyczerpaną lojalnością. Żył jak lustro cudzym życiem. Pamiętam zabawy w domu przy Alei Szucha podczas nieobecności jego rodziców. Ranek w kacu, brak forsy. W szufladzie biurka znalazł Witek srebrno-złotą papierosnicę ojca z wygrawerowanym nazwiskiem, podarunek urodzinowy od kolegów. Sprzedaliśmy ten przedmiot na bazarze przy Pańskiej i zabawa potoczyła się dalej.

Z tej szumiącej młodości pozostał Witkowi spory zapas wspomnień. Także silna nostalgia za przeszłością.

Wybraliśmy się do Czytelnika, gdzie udało mi się zdobyć dla Witka od życzliwego redaktora cztery tomy dzieł wybranych Marka Hłaski.



Z rana przyszedł zamówiony fachowiec naprawić antenę telewizyjną na dachu. Zawczasu pożyczyłem klucz od dozorczyńni, wlaź na dach i bardzo sprawnie zrobił swoje. Ledwo anteniarz pozbierał swój sprzęt i poszedł sobie, wpadły dwie urzędniczki z administracji. Jedna tęga, druga mała, szczupła. Obie młode, blond urody o modrych oczach. Swojska rasa. Bardzo agresywne. Niska głosem nadmiernie podniesionym rozpoczęła indagację w rodzaju — skąd klucz? dlaczego nie zwróciłem się uprzednio do administracji z prośbą o pozwolenie? itp.

Styl pytań przypominał przesłuchanie podejrzanego. Nie byłem tym zdziwiony.

Po pierwsze: miały rację, według przepisów bowiem powinienem się zwrócić o pozwolenie.

Po drugie: mówią u nas w osiedlu, że jedna z nich jest żoną milicjanta. Druga może być tak samo. To bardzo prawdopodobne i rozpowszechnione. Klanami, familiami obsadzone są przecież rozmaite posady, stanowiska.

Toteż odpowiadałem łagodnie, na miękko. Na domiar złego biuro administracji znajduje się piętro wyżej. W razie konfliktu mogą zatruć życie.

Jola natomiast rozniewała się nie żarty i ostro do tych urzędniczek.

W trakcie dyskusji jedna z nich, ta wyższa zaczęła czule gładzić naszego kota. Gacek z typową dla niego ciekawością, kiedy tylko posłyszał obce głosy w przedpokoju, przybiegł od razu. Jola gwałtownie odsunęła kota spod ręki urzędniczki.

Symboliczna wymowa tego gestu oczywista. Jakim prawem dotyka mojego kota!

W tym geście Jola namiętna, gotowa do walki. Różnica krwi. Jednak południe. Ja to wschód raczej.

Powracając do konfliktu: Jola walczyła. Ja łagodziłem. Przyznałem się do przewinienia i obiecałem napisać odpowiednie wyjaśnienie.

Poszły sobie.

A między Jolą i mną rozpoczął się spór w kwestii postaw.

— Wtargnęły! — mówiła. — Co za sposób bycia! Nie można takim ustępować.

Kiwałem głową. To prawda. Wszystko prawda. — Ale lepiej na miękko — powtarzałem uparcie.

— Zachowywałeś się jak chytry, pokorny chłop w urzędzie — popatrzyła na mnie z pewnym wstrętem.

Milczałem. Coś w tym było. Może Jola bardziej wolna? W każdym bądź razie dziarska i dzielna w kontrataku.



Taksówką przez nową dzielnicę na krańcach miasta. Pasy startowe dawnego lotniska. Betonowe płyty pokrywają ziemię. Betonowe bloki wznoszą się nad ziemią. Brak zieleni. Tłok szarych nieotynkowanych brył najeżonych gęstwą anten. W tle czarne dymy z kominów pobliskiej huty.

Ten widok nałożył mi się na obraz umierających Włoch — świata dzieciństwa i młodości. Małych domków, ogródków, starych kobiet czapiących do sklepów, pijaczków wystawiających na rogach ulic.

Dawne, najbliższe kończyło się w tempie przyspieszonym. Nowe, dominujące tak bardzo obce. Przytłaczało i dusiło. Spowite w mokrą deszczową aurę. Irek, przeszłość. Zaduszne obrzędy.

Taksówkarz, młody byczek w dżinsowym stroju, wesoło pogwizdywał.



Po deszczowej szarości i błocie, po tym zgniłym całunie w którym tkwiliśmy od tygodnia, nastał mróz. Słoneczny mróz. Miasto w słońcu rozbłysło. Wyładniało. Przechodziłem w pobliżu sejmu. Biała kopuła naszego parlamentu. Czarne drzewa pobliskiego parku. Na tle błękitnego nieba gałęzie wyglądały jak delikatny, japoński rysunek. Milicjanci służby drogowej w białych czapkach i czarnych skórzanych strojach. Przechodził generał. Może generał poseł. Srebro wężyków na czapce, zieleń munduru, bordowy lampas. Milicjanci salutują. Kolorowy obrazek. Za sejmem przed Frascati stawiają nowy gmach. Podobno hotel sejmowy. Cały złoty! Błyszcząca w słońcu bryła. Długo spoglądałem na to olśniewające zjawisko. Ściany były wyłożone złocistą blachą. Żeromski marzył o szklanych domach. Mamy złote. Heliopolis.



Heliopolis skończyło się w dniu pogrzebu Irka. Wróciła plucha. Mżyło, śnieg topniał zamieniając się w rozległe kałuże. Niebieskie niebo sprawiało wrażenie sufitu piwnicy.

Urna z prochami Irka wmurowana została w ścianę powązkowskich katakumb. Przystawiono drabinę. Jeden z jego przyjaciół z tą puszką do dziury. Miało to dla mnie znaczenie metaforyczne. Pamiętam czas, kiedy rozpierała nas młodość i obaj czuliśmy się jak zdobywcy himalajskich szczytów. Wszystko było oczekiwaniem, pragnieniem, ruchem w górę. I wszystko wydawało się osiągalne.

Dwa epizody: Irek z M. w restauracji Bristolu. Secesyjna sala, błyszczą żyrandole. Ona zasłuchana, jej oczy płoną. Irek czaruje, czaruje. Oboje wznosili się niezwykle wysoko. Tak mam w oczach. Pod sam sufit.

Drugi epizod to moment mojego oczekiwania na Jolę przed pocztą na Nowogrodzkiej. Spóźnia się, niecierpliwość. Nagle tup, tup! Poznałem odgłos jej kroków. Nadchodzi młoda aplikantka adwokacka w szarym kostiumie, krótko ostrzyżona, czarne włosy, uśmiecha się do mnie. Obraz nadchodzącej Joli skrótem tamtych czasów. Nie tylko jednego oczekiwania, wielu oczekiwań.

Nie wiem, czy zdobyliśmy nasze szczyty. Jak tam miało być na wierzchołkach? Co widzieliśmy? Skończyła się wizja gór. Droga w dół. Szary, niski dzień uzmysłowił to przeświadczenie.

FABUŁA

Schyłek złotej jesieni. Melancholijnie i pięknie. W bogactwie kolorów dominuje purpura i złoto.

— Wtedy ty i on od razu wyskakujecie ze sprawy! Pamiętaj, maleńka! Szybko, ostro jak cięcie brzytwy zabrzmiały te słowa w łagodności jesiennego umierania.

Poderwałem głowę.

Ona uczepiona jego ramienia. On twarz miał szczupłą, zaciętą, z wąsikiem. Coś drapieżnego w obojgu. Energiczny, szybki krok. Szeleszczą liście pod stopami. Ostatnie krople miodu.

Nic więcej nie usłyszałem. Ale byłem inny niż przed chwilą. Elektryczność.



Pomocnik magazyniera, oskarżony o sprzedawanie na lewo benzyny. Jednym z dowodów w sprawie jego zeszyt. Zapisywał w nim skrupulatnie ilość kradzionej benzyny i gotówkowe wpływy. Dzień po dniu rejestrował przestępczą działalność. Wśród dat i cyfr znalazł się tam wierszyk następującej treści:

*Maść na szczury, maść na szczury
Wyciąga się szczura z dziury
Obcina mu się pazury
Łapie się go za nos
Smaruje się maścią pod włos
Po tygodniu szczur zdycha
Maść kosztuje tylko dycha.*

Klient: Po co ta maść? Jak się go złapie, to się go zabije.
Sprzedawca: Można i tak, można i tak.

Pomocnik magazyniera w bazie transportu, około trzydziestu lat, pochodzenia chłopskiego, wykształcenie podstawowe.

Zapytany w więzieniu przez adwokata o powód zapisania osobliwego wierszyka, zmieszał się wyraźnie. Opuścił głowę. Nie odpowiedział.

◆

Odwiędziłem Basię w pracy. Zauważyłem na biurku rząd doniczek z kwiatami, kaktusami, pnączami na patykach. Bujna ściana roślinności.

Jej wyznanie. Zasłania sobie w ten sposób widok koleżanki naprzeciw. Nie może patrzeć. Chce mieć chociaż pozory izolacji. Nie czyni jednak tego z uprzedzenia, szczególnej awersji czy wrogości do swojej towarzyszki w pokoju. Nawet się lubią. Jej dziwactwo znane powszechnie. Kiedy rok temu przenosiła się do tego pokoju, zabrała ze sobą całą oranżerię. Zawczasu uprzedzono jej nową koleżankę: — Ona zasłoni sobie zielskiem twój twarz. Nie przejmuj się tym. Z nią się bardzo dobrze siedzi.

◆

Po wieczorze autorskim w tej już obecnie powszechnej atmosferze kościoła, świętych obrazów, ołtarza, aniołków na sklepieniu — podeszły do mnie dwie studentki, inteligentne okularnice, przejęte sztuką, kunsztem słowa, pięknem. Precyzyjnie przedstawiły swoje zarzuty. Uważają, że odkąd moje pisanie skoncentrowało się na politycznych aspektach naszego życia, to obniżyło swoje loty artystyczne. Opowiadania z „Raportu” i „Notatek” są ich zdaniem słabsze od poprzednich. Jednowymiarowe, podporządkowane z góry określonemu założeniu. Nie wiem, czy mają rację w tym konkretnym przypadku. O to bym się spierał. I zadały pytanie: — Czy ten haracz społeczny, obywatelski, słuszny zresztą i uczciwy w swej intencji nie staje się pułapką dla sztuki, zacieśniając niebezpiecznie jej przestrzeń. Pytanie o podstawowym znaczeniu.

◆

Mówi Zbyszek: Czytałem i czytam wszystko, co tu zostało napisane od lat. Lepsze, gorsze. Służalcze, niezależne. Niektóre świetne. Osiągnięcia, nawet rewelacje. Wysilek dania świadectwa. Trud ogarnięcia materii życia. Próby przebicia zastygłej skorupy pozorów i dotarcia do rdzenia. Często heroiczne zmagania z pułapką fałszywych konwencji. Opisana już została rzeczywistość. Założmy tak, choć można nad tym dyskutować. Ty

i inni. Dokumentacja, rejestrowanie czasu. Udręka ludzi wegetujących w tych niedobrych czasach. Celne to i ważne. Ale nie znalazłem jeszcze udanej próby wzbicia się ponad naszą depresję. Nie ma tu wysokiego pułapu, spojrzenia na całość wolnym okiem. Okiem pozbawionym katarakty. Ciągła szamotanina w ciemności. Nie zostało stworzone dzieło naprawdę wolne. Nie widzę. Nie ma takiego dzieła, które by to bogactwo wolnego życia opanowało, przetworzyło, potraktowało jako surowiec, tworzywo dla wizji niezależnej, samej w sobie będącej światem, rzeczywistością. Wszystko to... — ciągnie Zbyszek — nie wylazło jeszcze z dolnego poziomu, poziomu fundamentów. Niestety. Wciąż niewolne. Niewola systemu, idei, mitów, kreciego związku z rzeczywistością.

Padło ziarno na przygotowaną glebę. Podobnie myślę od pewnego czasu. Wzbic się ponad równinę, zobaczyć góry. Opanować chaos, nadać temu niezależny, własny porządek. Stworzyć fabułę, świat. Wprawić w ruch własnymi prawami, obdarzyć nowym życiem, nie krępować się realizmem czy tradycją. Nie zważać na żadne tabu. Śmiało i z rozmachem wznosić gmach. Tylko jak to robić? Męczy to i gniecie. Tyle lat wegetacji w dolnym żywiole. Zalewa i dusi. Co raz próbuję znaleźć niedostępną dla niszczycielskich odmętów wyspę i zacząć tam jak Robinson. Gwałtowna potrzeba jakiejś nośnej fabuły, ram konstrukcji, dźwigni. Wtłoczyć ogrom tego co widzę, słyszę, myślę, czuję. Wytopić z byle jakiego surowca cenny kruszec. Stop absurdu z realizmem. Konkretnie z abstrakcją. Maść na szczury, wyciąga się szczura z dziury... Być alchemikiem. Męczące marzenia. Dopadają nocą, wybijają ze snu. Zakłócają spokój dnia. Może już nie dam rady. Może Zbyszek.



Obrosłem rzeczami, ciuchami, papierami, bibelotami, pudełeczkami, obrazkami, nawykami, latami. Siecią powtarzanych czynności, reakcji, gestów. Całą tą niewolą, która przykuwa do miejsca, stając się grobem za życia. Rzucić to wszystko! Ruszyć z małym tobołkiem w świat. Korzenie można mieć w sobie. Swoje miejsce na ziemi zachować w wieczystej pamięci. Nie ruszę się nigdzie. Cykliczność tych retorycznych prób ucieczki jak rytuał, higieniczny zabieg. Czytam zapiski Tadeusza Korzeniowskiego, poszukiwacza i wędrowca, co od Elbląga przez Warszawę, Paryż i Nowy Jork przemierza świat. Notuje swoje doznania. Trafiają się tam migawki, myśli, strzępy obrazów — jakby już załazki owoców ryzyka. Ryzyka porzucenia wszystkiego. Hazard.

du zaczynania od zera. Tadek gra o dużą stawkę. Największą dla pisarza.



Zobaczyłem Kaja. Niósł kwiaty. Peonie, wielki bukiet. Mieszka we Włochach. Mały domek z ogródkiem, niedaleko glinianki. Poprzednim razem tam go widziałem. Siedział nad brzegiem stawu, wpatrywał się w spławik.

— Jak tam, biorą? — krzyknąłem.

— Słabo — odburknął, nie odwracając głowy.

Okrągły, łysy łeb wyrastający ze spadzistych ramion, kołyszący chód osiłka, zbyt długie, nieco małe ręce. Czoło niskie, fałdiste, oczy małe, zwierzęce. Razem chodziliśmy do pow-szechniaka, nauka przychodziła mu z trudem. Był milczkiem, trzymał się na uboczu. Do stałych naszych rozrywek należało rozjuszanie Kaja. Wpadał w furję, która przemieniała go w dziką bestię. Ryczał, zgrzytał zębami i bił na oślep. Fascynowała nas ta przemiana. Mieszkał w małym bieda-domku z bratem ciotecznym, Tadkiem. Tadek był rudy i w wielkich ilościach pochłaniał książki. Bawiłem się z nim w wojny napoleońskie. Ze względu na kolor włosów został marszałkiem Ney'em. Matki tych dwóch chłopców były wdowami. Ojciec Kaja zginął w obozie koncentracyjnym. Tadka jeszcze we wrześniu 1939 roku. Po ukończeniu szkoły podstawowej Kaju zaczął pracować jako robotnik budowlany. Tadek uczył się dalej w technikum zawodowym. Już nie widywałem się z nimi i nic o nich więcej nie słyszałem. Dopiero w latach 70-tych dotarła do mnie wieść o głośnej we Włochach tragedii. Kaju w ataku furii zamordował kochankę Tadka, a jego samego ciężko poranił. Nadal mieszkali w tym małym domku z ogródkiem, gdzie rosły peonie i słoneczniki.

Został skazany na długoterminowe więzienie. Powrócił do Włoch po ośmiu latach z rozpoznaniem choroby psychicznej, wykluczającej odpowiedzialność za swoje czyny. Znowu do tego domku z ogródkiem. Czy mieszka razem z Tadkiem? Czy ma jakąś kobietę? Patrzyłem za nim. Co kotłuje się pod tą łysą, okrągłą czaszką? Wyglądał na takiego, co nocami wybiera się na tajemne łowy. Niósł wielki bukiet czerwonych peonii. Może szedł do jakiejś kobiety. Zwyczajnie, pocziwie jako zalotnik.



Nędza i upadek ducha w godzinach późnego popołudnia. Położyłem się, żeby zapaść w drzemkę, przespać te godziny. Zamiast tego naszała tęsknota za minionym. Pragnienie dawnego

olśnienia. Chciałem bardzo znów poczuć życiodajne uniesienie, wstać pełen energii, z płonącym umysłem, wyobraźnią.

W młodości pisarskiej miewałem takie momenty. Późnym popołudniem właśnie przy stole w dużym pokoju razem z rodzicami. Oni przygotowywali się do lekcji na następny dzień. Pisałem wtedy „Kwadratowego”. Był to czas czystej, silnej potrzeby. Słowa same wyskakiwały, dłoń z piórem ledwo nadążała.

Ta letnia noc we Włochach! Nie mogłem zasnąć. Wstawałem coraz, zapalałem lampkę i pisałem „Benka kwiaciarka”. Wspaniała noc. Ranek także był wspaniały.



Wybrałem się na kilka dni do swojej ostoji. Przedzieram się przez zagajniki, parowy. Spoglądam na jezioro, które jest taflą spokoju i urody.

Na polnej ścieżce spotkałem pana Romana. Przewiązywał krowy. Gawędzimy o pogodzie, tegorocznych zbiorach, kłopotach z nabyciem maszyn. Jak zwykle w każdej rozmowie wspomniam więzienie. Tamte lata stanowią odniesienie do wszystkiego. Nawracają uporczywym refrenem.

Dziś opowiedział, jak to naczelnik koniecznie chciał zrobić z niego kapusia.

Mówi: A ja się go pytam: Ilu jest waszych? Dwustu, trzystu, tysiąc. A naszych? Dwudziestu, trzydziestu. Trzeba znaleźć kogoś z waszych. Tylu ich, znajdzie obywatel naczelnik niejednego i nim go ludzie wywieszą, długo będzie robił swoje.

Nasi. Wasi. Pan Roman podkreślił swą przynależność do ukraińskiej nacji. Dał do zrozumienia naczelnikowi, jak bardzo ta odrębność może mu przeszkodzić w wykonywaniu kapusiowskich obowiązków. Mówi dalej: Kazał mnie zamknąć do karca. Ale dał spokój. Powolne osadzanie papierosa w szklanej lufce; spogląda na niebo, pojawiają się pierwsze chmury. — Najważniejsza rzecz nie upadać na duchu. Do tych co upadali od razu choroba szła. Wymierali. — Znów pauza; spogląda na byczki pasące się na wygonie, parę uwag o cenach żywca na skupie. Powrót do poprzedniego. — Myśmy przeżyli takie okropności, że jeszcze teraz włosy na głowie się jeżą. Ludzie milczą. Milczą i myślą. Wiedzą, gdzie jest jedna siła. Druga bardzo daleko. A trzeciej na razie nie ma.



Sen wyrastał z mojej codzienności. Być może drożdże podrzucił pan Roman. Pejzaż podmiejski, domki, ogródki, budy. Pewno

Włochy, coś innego mogło być. Idę. Właściwie idziemy. Ze mną dwie, trzy osoby. Działacz podziemia, poszukiwany. Dwaj pozostali zatarci, niewyraźni. Tylko są. Nagle znaleźliśmy się w strefie ogrodzonej. Obóz, strażnicy, wieżyczki, psy, brama. Nie wolno tego obszaru opuszczać. Zdenerwowanie wzrasta, będziemy tu siedzieć. To siedzenie polega na tym, że spacerujemy po dosyć rozległym obszarze. Wielu takich jak my, tłum. Po obrzeżach krzątają się kryminaliści, watahy wilczej młodzieży. Pewne zaniepokojenie ich obecnością. Jak ułożyć z nimi stosunki? Przypominanie sobie doświadczeń z poprawczaka, Gęsiówki. Obóz posiada jeden barak. Wzywają tam pojedynczo i odbywają się jakieś przesłuchania. Czekam na swoją kolejność. Niektórych po przesłuchaniu wypuszczają na wolność. Stoją za drutami i patrzą. Nie odchodzą. Niepokój. Dlaczego tak długo nie wzywają. Nagle bez żadnego związku przyczynowego znalazłem się za drutami. Uwolniony. Jest moja siostra, Jola. Cały czas grawitujemy wokół obszaru zamkniętego. Nie oddalamy się. Magnes drutów trzyma nas w bliskiej odległości. Sytuacja niejasna. Niby wolni, ale niezupełnie. Po czym obszar odrutowany zaczął się rozrastać i znów znaleźliśmy się w zamknięciu. Pochłonięci. Nie umiałem tego zjawiska sobie wyjaśnić. W oddali masyw kościoła. Wielkiego kościoła. Takiego nie ma we Włochach, ani w Warszawie. Podobny widziałem w Koninie. Przesłaniały go chmury. Pojawiał się i zanikał.



Temat więzienny dopadł mnie we wczesnych moich latach. Odtąd nieustannie rozpamiętywałem tamte doświadczenia. Nazywano tę wierność obsesją, monotonią. Niech będzie.

Myślę jednak, że nade wszystko zafascynowała mnie kondensacja życia ludzkiego zawarta w sytuacji więziennej. Więzienie jest wszędzie. Więzienie nawyków, ceremonii, obowiązków. Więzienie środowiska. Nakazy i zakazy. Ile młodzieńczych uniesień ulega potem więziennej regulacji. Przechowałem ten „temat” przez lata i oto siedzę przy stole, patrzę w okno — mam przed sobą ten od lat znajomy widok dachów po przeciwnej stronie ulicy, czarne gawrony siedzą na antenach. Tak siedząc i patrząc, czuję się dożywotnio przypisany do czegoś co chciałbym porzucić, od czego chciałbym się uwolnić.

Nie mogę. Tego muru nie przeskoczę.



Rodowicie warszawska familia. Ojciec nie żyje, brał udział

w powstaniu, był taksówkarzem, nazywali go Rozpylacz. Matka umarła niedawno na raka. Zostały dwie siostry i brat przeważnie Piorunek. Po ojcu odziedziczył taksówkę, lubi wypić, szczególnie chętnie wdaje się w bijatyki z glinami. Był klientem Joli z powodu jakiejś rozróby. Duża twarz poznaczona bliznami po młodzięczym trądziku, bary jak szafa, dziecinny, miły uśmiech. Gagatek. Ale dopiero jego siostrzeniec to gagatek. Syn starszej siostry. Niespełna 16-letni, przywódca łobuziaków na swojej ulicy, bójki i napadły. Skazany przez sąd dla nieletnich na pobyt w zakładzie poprawczym. Trzy razy stamtąd uciekał. Po ostatniej ucieczce odwiedził wujka, Piorunek wydał przyjęcie na cześć siostrzeńca. Popijawa. Przyszła też jego matka. Jej pretensje do syna. Mieli ze sobą zadawnione konflikty. Awantura. Zawiadomiła milicję o miejscu pobytu uciekiniera z poprawczaka. Przybyli cywile i mundurowi. Czterech. Wpadli z bronią. Piorunek próbował ich nie wpuścić. Szarpanina. Strzały. Trafili w telewizor. Wybuch. Mały (to umowne: mierzy sobie 188 cm wzrostu) rzucił się do ucieczki. Skoczył z okna (wysoki parter) i biegł do płotu. Trafili go. Dwa postrzały. Padł. Zawieziono go do szpitala. Jedna z kul przeszła o centymetr od serca. Natychmiast operacja.

Rodzina skłócona. Piorunek pluje na widok siostry. Ona płacze. Dręczy ją sumienie. Piją intensywnie. Zamierzają wystąpić z oskarżeniem milicji o nieuzasadnione użycie broni. Strzały na Radnej. Tak nazwałem to wydarzenie. Od ulicy. Gdybym był kimś w rodzaju Trumana Capote'a czy Mailera, to zacząłbym w tym grzebać, łązić, rozmawiać z ludźmi.



Mieszka na parterze. Lubi czasem po pracy otworzyć okno, oprzeć łokcie o parapet i popatrzeć sobie na ulicę, samochody, ruch, cały ten oszalały świat. Tak było i tym razem. Pora przed zmierzchem. Naraz poczuł wilgotne muśnięcie w dłoni. Odwrócił głowę. Spojrzał. Co za czort! Tak powiedział i szybko cofnął dłoń. Szczur przycupnął obok na parapecie i poruszał czarnym nosem. Oddalił się niespiesznie. Łysy ogon włókł się za nim. Nie pierwsze jego spotkanie ze szczurem. Biega po zewnętrznej stronie parapetu. Nieraz słysząc skrobanie pazurków po blasze. Leciutki chrobot. Jakby ktoś rozsypywał szklane paciorki.



Pierwsza po chorobie wizyta M. Ledwo usiadł na fotelu

i odsapnął po wspinacze na IV piętro — już wyciągnął ręce i już, już rozpoczął swój wspaniały monolog. Padają pierwsze słowa, zdania. M. pragnie wyrazić swym bogatym, tak uległym mu dotychczas językiem sprawy trudno wyrażalne, nieuchwytnie. Pragnie zbudować oryginalną teorię, przedstawić dziwaczne zdania, wydobyć ukryty sens. Budzi się w nim mag słowa mówionego. Czekamy z nadzieją. Przerwie tę przekłętą tamę. Uda mu się wreszcie. Jednak na próżno. Knebel dławi ledwo rozpoczęty monolog. Słowa odmawiają mu posłuszeństwa. Zmienia ich brzmienie, gubi sylaby, utyka, bełkocze. Oczy M. Coraz bardziej intensywnie, płoną usilnym pragnieniem przekucia myśli w słowa. Ale wszystko na nic. Tylko oczyma i gestami próbuje wyrazić to, co dotychczas wypowiadał tak swobodnie. I już tylko rozpaczliwy trzepot rąk. Oczy gasną. Bezsilność w oczach.

— Nic! Zupełnie nic! — jedynie te słowa wypowiada zrozumiale.

Rumowisko wspaniałego monologu. Mowa była racją jego istnienia. Niemy M.

◆

Tym razem ogródek — zwykle dla mnie pańszczyzna — był wychnieniem, dobrym związkiem z ziemią, przyrodą. Jabłka pachną. Rumiana skórka, lekko nadtłuczona. Przyjemne w dotyku. Dzień mgielny, jesienny. Niebiesko-szare niebo. Szelest liści, badyli. Przemknął kot.

Wracamy z matką późnym południem. Mgły gęstnieją. Na polach jeszcze trwa zbieranie plonów. Stosy kapusty, cebuli. Wyładowane kopiasto ciągniki. W oddali zabudowa miasta. Bloki, wieżowce. Pałac Kultury ze swoją osławioną iglicą. Już na szczycie zapaliło się światło. Z perspektywy podmiejskich pól zasnutych niebieskawą mgiełką ten widok nie rani oczu. Może uścisk tej łapy co dławił przez tyle dni zelżał nieco i pozwoli odpocząć. Przerwa w karze.

◆

Móc jeszcze poderwać się ostatni raz. Rozstać się z całym dotychczasowym bagażem i ruszyć w wędrówkę. Stop! Puste, egzaltowane słowa. Godne infantylnego idioty. Wędrówka! Gdzie? Kraj mały, granice szczelne. Genet wędrując miał przed sobą chociaż otwarty świat. Nawet zawadził o Polskę (Katowice) w swych złodziejskich wozach.

Podobno nadal buszuje po ciemnych matecznikach życia. Ostatnio w kręgach terrorystów różnych maści. Złodziej, sutener,

pedał. Z najgorszych odpadków, świństwa, gnoju i padliny wytopił ten kurewski alchemik tyle złotego kruszczu.



Długo nie nadjeżdżał autobus. Moją uwagę zwrócił pewien mężczyzna średniego wzrostu, w roboczej, drelichowej kurtce. Otyły, bliski 60-ki. Przechadzał się skrajem chodnika wzdłuż jezdni. Czynił to dosyć osobliwie. Pochylony z rękoma założonymi do tyłu; wykonywał pięć drobnych kroków i zawracał. Uparcie trzymał się tych skąpych pięciu kroków, choć przestrzeni do poruszania się miał znacznie więcej. Spacer ograniczony niewidzialnym murem. Takie narzucało się wrażenie. Szczególna sprawność w zawracaniu: obrót przez ramię i z powrotem. Kłasytany spacer w ciasnej przestrzeni celi. Bez wątpienia musiał być więźniem, który spory kawał życia spędził w ciasnym pomieszczeniu.

Przyjrzałem się jego twarzy. Ogorzała i gąbczasta, w kąciku ust trzymał zgasłego papierosa. Szluga.



Mirek, z którym kiedyś wiozłem matkę do ogródka, zrobił nam oboju serię zdjęć w plenerze. Wtedy był koniec lata. Duszny, burzowy dzień. Siedzę z matką na ławce przed szopą. Matka łąska fasolę. Wiatr rozrzucił jej włosy. Staruszka, leśna zielarka. Patrzy przed siebie z zafrasowaniem. Mówi coś do mnie, widoczna pretensja. Odpowiadam z pokrętnym fałszywym uśmiechem ruskiego muzyka. Siedzimy w kucki, wyrrywamy chwasty. Stoimy wsparci o szpadle, z tyłu stara jabłoń z kikutami odpiłowanych gałęzi.

— Krótkie, syberyjskie lato — tak Jola nazwała ten cykl. — Radość zesłańców.



Pisać wielką księgę, powieść-rzekę, pełną barwnych obrazów, potężnych namiętności, zaludnioną przez tłum sugestywnych postaci, kipiącą od wydarzeń, uskrzydloną fantazją, humorem, rozmachem. Zanurzyć się w to dzieło bez reszty. Oddać wszystko. Z mozołem, radością, wściekłością, wiarą i niewiarą — budować imaginacyjny gmach na dziesiątkach, setkach stronic. Tak bez końca. Dzieło będzie rosnąć niepohamowanie, kwitnąć i rozrastać się wielością wątków, meandrów, dygresji. Wieloletnia praca budowniczego katedry.

Podobne dzieło buduje Jan K. W jego pokoju na podłodze, biurku, krzesłach, łóżku — wszędzie leżą stosy papieru, wypchane teczki, bruliony, maszynopisy. Dzieło ciągle się rozrasta. Jan K. absolutnym władcą swego królestwa.



M. siedzi na tapczanie. Oniemiały ptak. Chwilami nie wierzy w trwałość katastrofy. Jeszcze ma nadzieję. Zły sen, paskudny żart. Sięga po Mickiewicza. Próbuje czytać „Świtez”. Jego mowa brzmi jak nieznany język. Pełna gardłowych dźwięków, chrząkań i pomruków. Z cichym czytaniem również kiepsko. Wskazuje na biografię księcia Józefa pióra Askenazego. Czytał i nic. Dopiero od którejś strony tekst nagle stał się zrozumiały. Potem znów ciemność. Strony z powrotem pokryte gąszczem niezrozumiałych znaków. Podejrzewa więc, że ta jasność, która towarzyszyła mu przez kilka stron, to pamięć po prostu. Austriacki epizod w życiu młodego księcia Poniatowskiego. Fragment książki wychynął z pamięci. Pamięć i nic więcej.

Z pisaniem jeszcze gorzej. Rozkłada kartki. Pokryte wielkimi, kulfoniastymi hieroglifami. Walczył ze swoim nazwiskiem. Utknął na trzeciej literze i mimo ponawianych wielokrotnie wysiłków nie zdołał osiągnąć czwartej.

Pomagając sobie gestami, opowiada o niespodziewanej poprawie stanu fizycznego. Ostatnimi laty miał trudności w chodzeniu, musiał wspierać się laską. Przypadłość minęła bez śladu. Demonstruje. Paradowy, sprężysty krok.

— Ale... — M. dłonią dotyka głowy, puka się w czoło. Wymowny gest.

W tym najważniejszym mechanizmie coś się zepsuło. Ze swoją podłużną, pobrużdżoną twarzą, wielkim nosem, kępkami siwych, sterczących włosów na łysinie i oczyma pełnymi udręki — wygląda jak tragiczny mim z wędrowniej trupy.

Już był atakowany. Dwa razy odbierało mu mowę. Były to chwile. Kilka minut najwyżej. Prawa ręka stawiała się bezwładna. W głowie huragan.

M. opisał te podchody. Dokładnie analizował brak kontroli nad prawą ręką. Oderwała się od całości. Zaistniała niezależnie. Widział ją obok. Zarejestrował także rozmazywanie się druku przed oczyma. Litery zamieniały się w nieczytelne robactwo. Bezsens znaków.



W autobusie zobaczyłem Jacka Kuronia. Z nim dwaj młodzi

ludzie. Godzina szczytu, tłok. Potracany i ściskany przez napierających pasażerów, huśtany na zakrętach — mówił z werwą, gestykulując zamaszycie. Wyszczupłał. Sprężysty i śniady. Zaraz po wyjściu z więzienia był szary, nalany.

Śmieje się szeroko i zaraźliwie. Nabrzmiewają mu żyły na szyi. Zwraca na siebie uwagę. Zmęczeni otępiali ludzie podnoszą głowy i patrzą na niego.

Jeszcze kilka miesięcy temu sprawiał wrażenie zgaszonego i zmęczonego. Teraz w autobusowej odślonie wynurza się jak Feniks. Odmłodzony, silny. Słysząc jego głos. Lekko ochrypły, gardłowy i donośny. Zmartwiali pasażerowie znów unoszą głowy.

Może to heroiczna wola i dyscyplina tak go trzymają w ryzach? Przywódcy poddawani są ciągłemu ciśnieniu. Wymaganiom i oczekiwaniom wyznawców, uczniów. Zakusom przeciwników. Muszą płacić wysoką cenę. Na rozterki i wątpliwości pozostają jedynie chwile samotności. Jaki jest Kuroń w najgłębszej swej istocie? Z ukrycia żywiłem się jego ekspansywną siłą. Przypomnienie zezowatego mężczyzny z Włoch. Noc. Pusto. Idziemy przez przejazd kolejowy. On. Parę metrów za nim ja. Nasze kroki jedyne dźwiękami w nocnej ciszy. Przystanął. Przetrzęsa kieszenie. Zaklął. Akurat go mijałem.

— Masz ogień — zapytał.

Podąłem mu zapalki. Zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko. Oddał zapalki. Zezowaty mężczyzna z Włoch. Wtedy często o nim myślałem. Był w nim jakiś ciężar, twardość. Mógł stanowić impuls dla dawnego mojego pisania.

Ten impuls upragniony! Skąd teraz przyjdzie? Żarliwa wiara w Boga tego faceta z Jeleniej Góry. Siła Kuronia podpatrzonego w autobusie. Zanikające punkty. Zajarzą się silnie i zaraz gasną.



Bolały zęby. Musiałem usuwać. Zęby! Zbyt eufemistycznie powiedziane. Resztki. Ohyda odślonienia swojej paszczy z czarnymi strzępami, ropiejącymi działkami. Ponizające uczucie obnażania swego rozkładu wobec dentystki, przystojnej kobiety o świeżej, rumianej twarzy i białych, zdrowych zębach. Próbowałem maskować żarcikami, autoironią. Przychodnia stomatologiczna mieści się na parterze szpitala i wychodząc zobaczyłem człowieka na noszach. Przynieśli go z ambulansu. Wnosili do windy.

— Prędej — gorączkował się młody lekarz. — Prędej! Piełęgniarze, dwaj rośli mężczyźni w przybrudzonych fartuchach, poruszali się z zawodową obojętnością. Człowiek na noszach przy-

kryty był białą płachtą, żółto-szara, nieruchoma twarz, zamknięte oczy w zapadłych oczodołach. Dusza — ten niewidzialny obłok, już opuszczała ciało.



Dziś w ogródku zbieraliśmy orzechy. Pełno ich. Poukrywane wśród brunatnego, zeschniętego listowia. Nie lubię tu przyjeżdżać. Trzydzieści lat spędziłem we Włochach. I teraz te powroty. Glinianka, małe domki, ludzie z tamtych czasów. Cofanie się w przeszłość. Ktoś przystaje, woła. Kolega z sąsiedztwa, podwórka, szkoły, wypraw do śródmieścia. Za niską, parterową zabudową czerwony dach szkoły. Szkołę przed wojną budował ojciec. Powoli człapie wiekowa nauczycielka, pani Piotrowska. Uczyła mnie od pierwszej klasy. Przyrody żywej i nieożywionej.

Pochyleni nisko, krążymy wokół drzewa. Matka cieszy się jak dziecko.

— Już 35 — powiada. — A wczoraj znalazłam 60!

Rezultaty zbieractwa zapisuje w zeszycie. Raporty z ogródka.

Na przemian patrzę na nią z niechęcią, to znów z czułością. Ogorzała, osmagana wiatrem. Niemordowana. Posłusznie wykonuję polecenia oszalałej ogrodniczki.

— Popatrz! — woła wzburzona. — Tam były nowe deski. Dziś są stare. Zamienili.

Wskazuje spróchniałe deski w kącie szopy. Te deski spróchniały po prostu od wieloletniego leżenia.

Jest odmiennego zdania. Zakradają się jacyś. Wyciągają deski, kradną orzechy. Zabrali już piłę bez zębów, młotek bez trzonka i grabie. Grabie akurat znalazłem.

Matka podejrzewa sąsiada z prawej strony.

— Podbiera — mówi zawzięcie.

Uciekłem z ogródka. Dla wytchnienia nad gliniankę. Tutaj jak zawsze rybacy. Dzikie kaczki wypłynęły z trzcin. Te widoki! Kilkadziesiąt lat tych widoków. Udręka. Poczucie dożywotniego przypisania.

No i natknąłem się na Samulewicza. Szedł z torbą czymś wypchaną. Grzechotało. Butelki. Łysy, resztką włosów siwa, jego wklęsły nos jeszcze bardziej wklęsły, twarz sucha, pobrużdżona. Skacowany po stypie. Żegnali Janka Zanzoraka.

— Pamiętasz Janka?

Pewno, że pamiętam. Usiedliśmy na ceglach w rybackim oczku. Zapaliliśmy. Popłynęły z ust Samulewicza zgony jak z rogu obfitości. O Janku na początku. Spotkał go pod sklepem monopolowym. Czekali na otwarcie. Janek był po operacji.

Pokroili go i zaszyli. Nic nie ruszali. Czyli rak. Wypili butelkę w krzakach za monopolem. Po miesiącu Janek umarł.

Z drugim pił od wieczora. Położyli się spać w jednym łóżku. Budzi się. Tamten już nieżywy.

— Organizm odmówił mu posłuszeństwa — tak powiedział Samulewicz.

Trzeci znów wrócił z roboty, siadł do obiadu i naraz stracił apetyt, odsunął talerz z zupą.

— Coś marnie się czuję — powiedział do swojej baby. Zwiśla mu głowa nad stołem. Pobiegła dzwonić po pogotowie. Wróciła. Za późno. Nie żył. Wyliczał Samulewicz skrupulatnie bilans ostatnich lat i po każdym opowiedzianym przypadku pytał: Pamiętasz?

Sami znajomi. Dzieciństwo, młodość. Koledzy ze szkoły, węglarze, bilardziści, chłopaki z Bud. Podawał także ich wiek. Jego zdaniem najgorszy jest czas od pięćdziesiątki w górę. Wtedy kostucha zbiera obfity pokos. Sam liczy pięćdziesiąt cztery lata. Czeką. Zaczął mówić o kimś, kto nad stawem powędrował do wieczności.

— Tu! Dokładnie w tym miejscu!

Uciekłem. Wracam do ogródka jak do raju. Zabrałem się gorliwie do zbierania orzechów. Myślałem o tych zmarłych chłopakach z Włoch. Dziarscy, pełni fantazji. Janek Zanorzak, Kowalczyk, Bober, Cesi. Siła, odwaga, fantazja. Wolne ptaki znad brzegów glinianki, zwanej Oceanem. Byli w kilku moich książkach. Dawali życie pierwszym opowiadaniom. Aż ta ostatnia odsłona. Alkoholicy, demenci, dygot, redukcja.

Matka coś mówiła ze wzburzeniem. Nie słuchałem. Ciągle o tych chłopakach z Włoch.

Samulewicz, posępny rzecznik Kostuchy, Rejestrator końcówki. W „Robakach” opisałem nocne spotkania z nim. Często wracaliśmy ostatnią kolejką z Warszawy. Szliśmy czarnymi, pustymi uliczkami. Budził mój niepokój. Głuchy głos, posępna twarz z wklęsłym nosem. Już wtedy mówił najchętniej o tragicznych wypadkach, niewiernych kobietach, nagłych zgonach.

— Jestem już nażyty — ktoś kiedyś powiedział. Gdzie to było? Kawiarnia Tokaj. Trzech starców. Mówili ściszonymi głosami. Posłyszałem słowa jednego z nich. Powiedział głośniej, jakby niecierpliwie. Pokiwali głowami. Obojętne, zużyte twarze. Ale to byli starcy. Poddali się regule schyłku.



Student z Torunia. Wysoki, szczupły o dziecinnej twarzy.

Zadaje pytanie: — Niech pan powie, co robić dalej? Jak sobie dawać radę?

Zza okularów jego oczy wpatrują się we mnie uważnie. Czekają na zbawienną wskazówkę. Chodzi o istnienie, godność, uczciwość, wiarę. W jego życiu skończył się wspaniały czas. Zaczyna się ciemność. Był działaczem ruchu studenckiego. Trzy intensywne lata pracy społecznej w samorządzie. Ale już osaczony. Zabierają im wolność. Robili to krok po kroku. Likwidacja NZS-u, wyłapywanie kolporterów, wydawców. Naciski, groźby i szantaże. Jeszcze się nie dawali. Bezpiekę nachodzącą akademik witali szyderczymi okrzykami, wywieszali zakazane hasła i napisy. Aż zlikwidowano resztki autonomii, nowa ustawa chwyciła ich w kleszcze. Jest zmęczony, brak wiary w przyszłość. Posierpniowe miesiące były dla niego perspektywą. Zobaczył otwierające się horyzonty. Teraz poczuł się przegrany. Młóci go kierat podporządkowania. Niektórzy jego koledzy zupełnie zniechęceni, chowają się w osobność. Inni marzą o wyjeździe w świat. Jeszcze inni szykują sobie konformistyczne kariery. Dusi chłopaka beznadzieja. Nie wiem co mu powiedzieć.

— Najważniejsze to mieć jakąś pasję, własną pasję. Swoją świat niezależny od całości. W tym tkwi szansa — klecę swą mętną wypowiedź. Co mogę powiedzieć? Jaki wtedy byłem? Nie pamiętam. Co mnie wtedy trzymało w łapczywym głodzie życia, zdobywczej energii? Nie wiem. Kiełkowało przyszłe pisanie? Ładowałem swoje akumulatory? To działo się tak dawno.

Od pewnego czasu świat wydaje mi się wirującą nicością. Do nikąd. Ale tego mu nie powiem. Może coś cennego zgubiłem, roztrwoiłem?



Spotkałem nauczyciela K. Spotykamy się mniej więcej raz na rok i rozmawiamy z ochotą. Tym razem o sensie i bezsensie. Dosyć żenujący temat. Ale każdemu bliski. Ile męki, przerażenia, nieszczęść. Krótkie chwile spokoju, ładu, szczęścia.

— Punkciki, małe punkciki — powtarza nauczyciel.

Dorzucam jeszcze do kompletu udręk dławiącą łapę systemu, władzy, ustroju, wszystko jedno jak to nazwać.

Nauczyciel zgadza się z tym. Sądzi jednak, że walka z władzą, choć pozwala często zagłuszyć nędzę egzystencji i nawet przesłonić ją kolorowo, może jednocześnie wyjałowić, zubożyć, uprostaczyć (tak powiedział) pojmowanie życia. Jest to symetryczne jego zdaniem. Służba dla ustroju, władzy wynaturza. Tak samo po stronie przeciwnej. Osobowość staje się funkcją służby. Wszystko jedno jakiej.

Żegnamy się pod kolumną Zygmunta. On śpieszy do szkoły. Ja? Nie wiem.



Świeże mięso! Wiadomość z ostatnich chwili. Siostrzeniec Piorunka uciekł ze szpitala. Akurat matka przyszła do niego z wałówką. Łóżko było puste.

Piorunek uśmiecha się dziecinnie.

— Nygus! Duży nygus! — W jego ustach brzmi to jak najwyższa pochwała.

Historia, którą nazwałem „Strzały na Radnej” toczy się dalej, nabiera rozpędu, rodzą się zaskakujące wydarzenia. Czy to nadzieja? W „Robakach” motyw tęsknoty za Fabułą był post-młodzieńczym pragnieniem osiągnięcia w życiu jakiegoś porządku, harmonii, jasności. Już o tym nie marzę. Chciałbym jedynie jako pisarz-nałogowiec zanurzyć się w ogromnej, głębokiej i porywistej rzece fikcji. W takim sobie Czeremoszu wydarzeń zaczerpniętych z życia, ale podniesionych wyżej. Stworzyć świat oderwany od niewoli podłoża, pełen fantazji i rozmachu, nawet amoralny, niech będzie nihilistyczny. Pragnienie draży uporczywie. Znaleźć ramę, konstrukcję, oś. Ułożyć ciąg zdarzeń. Powoli, starannie wypełniać wytoczony obszar. Liczę na objawienie. Trochę surowca mam przecież, ochłapy zdarzeń, obrazów. Spoczywają w magazynie. Nie tylko wątek siostrzeńca Piorunka. Choćby jeszcze historia sportowego Fiata Bertone X-91. Przyjechali do kraju tym gratem, ruiną samochodu. Jak dojechali? To już cud. Operacja polegać miała na remoncie za złotówki, wywozie z powrotem do Anglii i korzystnej sprzedaży za funty. Gehenna z tym Bertone X-91. Miesiące napraw w warsztatach. Ciągłe coś wysiadało. Worek bez dna. Nareszcie. Próbną jazda po mieście. Finał. Kierowca podpity, zatrzymała go drogówka. Mieszka w Londynie, legitymuje się polskim paszportem. Zabierają mu paszport. Pech. Trzeba mozołnie i kosztownie szukać dojsčia. Tu wypełzła dygresja ustrojowa. Wiele można załatwić, jeśli nie ma w sprawie swądu polityki, działalności opozycyjnych itp. Dygresję należy rozważyć. Przecież rzecz musi toczyć się w konkretnym czasie, pod określonym dokładnie niebem. Oddają kierowcy paszport. Ulga. Jedzie. Dzwoni nocą z granicy. Silnik zgaśł i ani rusz. Bertone X-91 pozostawiony zostaje u chłopca w obejściu. Kierowca autostopem do Warszawy.

Po długiej epopei sportowy Fiat Bertone znalazł się w Londynie. Właściciele liczą na bogatego Araba.

Reżyser S. kręcił film w Londynie. Polak, ale ze światowym

wzięciem. Przebiegle wliczył w scenopis remont swego domu na przedmieściu brytyjskiej metropolii. Była to rudera, stała się pałacem. Za pieniądze skąpego producenta. Polscy cwaniacy. Włamywacz, który po zdobyciu łupów udawał posła. Taki sobie wymyślił urlop. Posłem był, jak powiada Gombrowicz. Po miesiącu tego udawania został aresztowany. Ale co się nażył! Honorowano go w urzędach, podejmowano w komitetach partyjnych i zacnych towarzystwach. Polscy cwaniacy. Nie tylko forsa, jeszcze poezja, fantazja, potrzeba kreacji.

Czy mam dalej wyliczać? Epizody. Bohaterowie tych epizodów. Interes. Bezinteresowność. Duch. Materia. Deliryczne majaki. Trzeźwy realizm. Szlachetni. Podli. Kłamstwo. Prawda. Wszystko naraz.

Bogactwo. Tylko sposobu, idei nadrzędnej ciągle brak. Fabuła. Błędny ogień na bagnie. Pojawia się i zanika. Chciałbym jak Cervantes pisać i czytać od razu kolejne rozdziały swej wielkiej księgi kamratom z więziennej celi.

Przychodzi zasadnicza wątpliwość: jak mogą na jałowej pustyni zakwitnąć ogrody?



— Niedopysz — słowo symbol.

Określenie pewnej postawy. Konkretnie dotyczyło bohatera kiczowatej powieści.

Przyjaciel mój Zygmunt, wieczny buntownik i romantyk, zmagający się mężnie, a zarazem dziecinnie z życiem, cytował sążnistymi fragmentami monologu bohatera tej powieści.

— Bo ja jestem niedopysz! — mówił z naciskiem. Oznaczać to miało wieczne poszukiwanie sensu, zmaganie się z błotem codzienności, walką o swą osobowość i wyczekiwanie na cud przydający boskich skrzydeł istnieniu.

Piłem z jego ust to wyznanie.

Wtedy byłem niespełna trzydziestoletni. Zygmunt już dobiął pięćdziesiątki. Pozostała we mnie dotąd resztką wyczekiwania na przemianę, która gwałtownie odmieni całe życie. Trwa latami stan prowizorycznego obozowiska, uchylonych drzwi i czujnego nadśłuchiwania kroków na schodach. Coraz mniej bajkowych miraży. Coraz więcej żółci i goryczy. Nieruchoma woda. Nikt nie puka do drzwi.

Niedopysz. Celne słowo. Istota bezwolna. Wyczekująca. Niby ślepiec na litościwego dobroczyńcę.

Rodzaj nijaki. Napisałem opowiadanie o człowieku konsys-

tencji nieokreślonej, przelewającej się bezwładnie. Onio. Tak go nazwałem. Jakbym tłumaczył się z własnej ułomności.



Słuchają. Wpatrzeni z oddaniem. Tłum. Stoję na podium za pulpitem. Nawa kościoła. Wysokie sklepienie wymalowane w anioły i świętych. Na chórze także ludzie. Pełen kościół. Tysiąc. Dwa. Może więcej. Masa. Czytam opowiadanie. Głos wzmocniony mikrofonem. Umiejętnie rozkładam akcenty, pauzy i wy-ciszenia. Głos czysty, dźwięczny. Operuję nim jak posłusznym instrumentem. Słuchają. Głębokość tej ciszy. Nasyconej skupieniem. Chłonnością. Jest to dla mnie jak ostroga dla rumaka. Jeszcze lepiej, jeszcze bardziej dobitnie wypunktować ten fragment, będący poprzedzeniem finału. Dać z siebie całą umiejętność. Nie czuję wcale zmęczenia. Głos dudni pod kopułą bazyliki. I już finał. Wypowiedziany po mistrzowsku.

Skończyłem. Trwa cisza. Jeszcze przeżywają. A potem pytania i moje odpowiedzi. Krótkie, celne. Czasem powodują śmiech. Dramatyzm pauzowany przez żart i kpinę. Dbam o pozory skromności. Dłoń lekko podniesiona, skłon głowy, zgarbione plecy. To znów dumne wyprostowanie wątlej postaci. Wyczuwam uznanie i sympatię. Ja i tłum. Niebezpieczny związek. Nieprze-partą moc. Narkotyczna słodycz. Dosyć! Dosyć tych wieczorów w kościołach.



Opowieść pana W. o bratankach i ich niepohamowanej żywotności w okowach socjalizmu. Nie nadaje się. Samograj.



„Miraż” to paskudna knajpa. Okna z widokiem na pusty rozległy plac. W dali pomnik narodowego męczeństwa.

Wnętrze według standardu obowiązującego w gastronomii: neonowe światło w rurkach, plastikowe stoliki na metalowych nóżkach ustawione w równe rzędy, plamiste obrazy ozdabiają ściany.

W „Mirażu” zbierają się osobliwi ludzie. Przychodzą punktualnie o 13-tej wraz z rozpoczęciem wyszynku alkoholu. Od lat zajmują kilka stolików naprzeciw bufetu.

Oto niektórzy z nich: Edzio, malarz obdarzony finezyjnym poczuciem absurdu i groteski, zanurzony od kilkudziesięciu lat

w alkoholowym zamroczeniu. Przepił cały czas PRL-u, zachowując zdumiewającą bystrość umysłu i pogodę ducha.

Zenek, idol swych rówieśników z lat okupacji, chłopak z Szarych Szeregów, odważny żołnierz podziemia, później prawy napastnik drużyny piłkarskiej, obecnie kreślarz w biurze projektowym. Jurek, inżynier, też Szare Szeregi, żeglarstwo i narty jego pasją, alkohol powoduje cofanie się w młodość, Bóg i Ojczyzna; wydawać mu się wtedy zaczyna, że znów jest żołnierzem podziemia gotowym do akcji.

Bogdan, rozkładająca się osobowość, pokolenie późniejsze, masochistyczne wyrzuty sumienia z powodu przeszłości w stalinizmie, ostatni zryw miał w „Solidarności”, był wtyczką, nie był, pytanie bez odpowiedzi.

Inni jeszcze, każdy z jakimś bagażem. Skorzy do zwierzeń. Znaleźli przytulisko w „Mirażu”. Schodzą się niby klubowi bywalcy i wspominają. Zenek opowiada o okupacyjnych akcjach, mały i duży sabotaż. Jurek słucha go z rozrzewnieniem. Jeden drugiemu niegdyś uratował życie.

Zenek dotąd zachował przymioty dowódcy. Dbą o swoich kompanów. Nie pozwala kelnerkom na fałszerstwa w rachunkach. Godzi zwaśnionych. Co bardziej opitych odprowadza do domu. Gęsto tutaj od przeszłości. Wirówka odgrzebywanych zdarzeń. Teraźniejszość nie istnieje. Przyszłości nie ma.

Stojący martwy czas. Ludzie „Mirażu” jak kolekcja dagerotypów. Czy nie zacząć chodzić tam regularnie? Kieliszkiem ożywiać gasnącego ducha i wspominać, wspominać.



Ten kurewski „Miraż”! Przechodziłem przez plac. Od strony hotelu. „Miraż” przesłonięty masywem teatru. A jednak zwolniłem kroku. Szaro, ciemnawo, choć dopiero południe. Mżył deszcz. I pomyślałem o „Mirażu”. Wejść tam, przywitać się z druhami. Zadzwoni szkło. Pierwszy łyk, drugi łyk. Z wielkim wysiłkiem woli nie zboczyłem do tego przybytku co końcem jest drogi.



W deszczowej aurze jesiennego popołudnia, które właściwie już jest nocą gromady ludzi na przystankach. Czas powrotów z pracy. Mężczyźni tak samo jak kobiety objuczeni torbami, tobołkami, siatkami.

W autobusie przemoczony, parujący wilgocią ścisk, milczący i bez uśmiechu. W tym tłoku jak kwiat zakwitła para młodych.

Oboje wysocy, urodziwi. Obejmowali się i czulili. Dziewczyna opowiadała o nudzie i bezsensie jakichś wykładów.

— Klepie te bzdury i patrzy na nas — tak się wyraziła — My patrzymy na niego i nie słuchamy. Wiesz o czym myślałam? — zapytała.

Chłopak pokręcił głową.

— O tobie!

Pocałował ją w policzek. Coś szepnął. Wybuchnęła dźwięcznym, niepohamowanym śmiechem. Już śmieją się oboje.

W szarym, ponurym tłumie ten śmiech zabrzmiał nieoczekiwanym dysonansem.

Akurat przystanek i otyły, mopsowaty średniolatek objuczony zakupami począł przepychać się do wyjścia. Mijając tych młodych, zawarczał gniewnie. Padły słowa: — Wstyd! W publicznym miejscu tak się macać!

Jeszcze na stopniach coś mówił ze wzburzeniem. Ludzie w autobusie milczeli. Milczeliśmy. Ci młodzi popatrzyli po sobie ze zdziwieniem.

Po chwili znów zabrzmiał ich wesoły, czysty śmiech.



Fakty ujawnione w procesie. Spostrzeżenia, rejestrowane w czasie wspólnej działalności. Niejasne sygnały, podejrzenia. Przedtem wydawały się błahe. Przypomniane w toku śledztwa i przewodu sądowego. Olbrzymiej. Główny aktor dramatu zniknął bez śladu. Została po nim sprawa. Ujawnione powiązania, działalność.

Wypłynął na powierzchnię w czasie sierpnia i „Solidarności”. Wybrany został do władz nowego związku. Jednak dopiero w okresie stanu wojennego osiągnął swoje apogeum. Jedną z bardziej dynamicznych postaci. Kipiał energią i odwagą. Brał udział w organizowaniu pierwszych struktur. Kierował akcjami protestu. Skupił wokół siebie grupę zdolnych, oddanych ludzi. Uznali jego prymat. Wybił się również jako wynalazca. Miał uzdolnienia w kierunku technicznym i jego pomysły były balony wzbijające się ponad miastem. Z balonów sypały się ulotki. Chmura spadały na ulice i place. Produkował pojemniki z cuchnącą cieczą. Wybuchwały w miejscach oficjalnych zgromadzeń, odstraszały ludzi od kolaboracji. Sporządził kolce, które miały być rzucane na trasy przejazdów kolumn milicyjnych i wojskowych. Ta inicjatywa spotkała się z niechęcią przywódców i od zamiaru odstąpił. Choć

podobno mimo zakazu kilka razy wypróbował skuteczności owych kolców. Były takie sygnały. Znacznie później ujawnione.

Zorganizował sprawną sieć łączności, lokale kontaktowe, kryjówki dla ściganych, magazyny sprzętu i kolportażu. Wspaniale sprawdzał się w specyficznej, konspiracyjnej robocie. Poglądów bardzo radykalnych. Natarczywie proponował broń do obrony, jakieś pałki, szpadryny, gazowe pistolety. Jego radykalizm trochę niepokoił, ale nie budził podejrzeń. Podporządkowywał się przeciw decyzjom kierownictwa. Przyczynę radykalizmu upatrywano w temperamencie i nadmiarze energii. Ostry konflikt między nim a kierownictwem wystąpił dopiero podczas przygotowywania planów wydostania ze szpitala postrzelonego przez milicjantów działacza. Proponował uzbrojenie ekipy w broń palną. Niektórzy skłaniali się do tej sugestii. Logicznie wywodził o konieczności obrony przed ewentualnym atakiem. Przeważało zdanie zimnokrwistych i ekipy nie uzbrojono. Już wtedy zaliczany był do grona najbardziej oddanych sprawie. Siłą rzeczy pogłębiał swą wiedzę o podziemiu, poznawał jego piętra, powiązania i sekrety. Wdał się w zażyłość z kobietą, która spełniała funkcję sekretarki przy ludziach z kierownictwa. Dla niego porzuciła męża. Takie romanse zdarzały się w podziemiu dosyć często. Można mniemać, że nie miała żadnych tajemnic przed wybranym swego serca. Nie tylko osobistych.

Kulminacją wieńczącą jego dzieło była odprawa czołówki przywódców podziemia. Ubezpieczał mieszkania.

— Pójdę sprawdzić czujki — oświadczył, kiedy wszyscy już się zebrali.

Poszedł. Za chwilę wpadła bezpieka. Wybrali jak z saka.

Podczas procesu oskarżyciele unikali wymieniania jego nazwiska. Może ich zamiarem było dalsze utrzymanie go na statusie podziemnego bojownika. Miał szczęście, wymknął się z kotła i działa dalej. Dla uprawdopodobnienia rozesłano za nim listy gończe. Jednak ostatecznie już był spalony. Oskarżeni i świadkowie dosyć łatwo skojarzyli sobie dawne niejasności, zapomniane chwile podejrzeń, jego nadmierną ciekawość, żarłoczne dążenie do poznawania wszelkich sekretów, niecierpliwe parcie do radykalizmu. Wtedy nazywali to entuzjazmem. Teraz zobaczyli rzecz całą w innym wymiarze. Najbardziej cierpiała ta młoda kobieta. Dotychczas ślepo mu oddana. Zapewne dręczyło ją pytanie: — Ile dowiedział się dzięki mnie? Ile w tym mego udziału?

Ofiara perfidnej gry. Może kochała go dalej? Pojawił się jak olśniewający meteor. Dokonał swego dzieła i zniknął. Historia wielowarstwowa.

Prowokator może mieć oprócz bodźców służbowych satysfakcję demiurga. Demiurga destrukcji. Tworzy, buduje cały gmach, zbiera ludzi, zapala w nich ogień wiary. Następnie obraca w niwecz, niszczy. Jest wodzem. Ludzie mu ulegają, fascynują się nim, nawet go kochają. Perfidnym szlakiem prowadzi ich do katastrofy. Mógł do pewnego czasu nie być prowokiem. Miał czyste intencje. Aż przyszedł taki moment: dostał się w ich ręce i podpisał cyrograf. Ta sama gra toczy się dalej, tylko w innym celu. Czy w naszych czasach są prowokatorzy formatu Azeffa? Artyści wysokiego lotu. Powszechnie znani są tylko ci na kształt pełzaków. Plugawe stwory, pełne strachu, podłości, niskich побudek.



Dalsze wiadomości od Piorunka. Właściciel mieszkania, brat matki „chłopca z Brighton” (nasuwa się pewne skojarzenie z młodym potworem, bohaterem powieści Grahama Greena) był pijany. Nie chciał ich wpuścić. Czy bił się z nimi? Nie! Twierdzi stanowczo. Tylko szarpanina. Zobaczył ich ze spluwami w garściach. Zaczęli strzelać. Siostrzeniec wyskoczył oknem. Oni do okna i pif, paf! To była noc! Przyjechały radiowozy. Kilka pojazdów na sygnale. Karetka pogotowia. Zbiegowisko na ulicy. Nieśli chłopaka na noszach. Broczył krwią.

Ten chłopiec szesnastoletni staje się coraz bardziej wyrazisty, pulsujący. Owoc rozbitego małżeństwa. Pięć lat temu ojciec porzucił matkę. Matka nie związała się z nikim na stałe. Pracuje jako kierowniczka sklepu MHD. Popijać zaczęła ze smutku za utraconym mężem. Kłopoty z synem zaczęły się od najwcześniejszych lat. Kradł, uciekał z domu, ciął się żyletkami. Kiedyś wpadł do sklepu z nożem. Na oczach przerażonych ekspedientek przystawił matce nóż do gardła i zawołał: — Dawaj kasę!

Optycznie aniołek. Okrągła, rumiana buzia, oczy ocienione długimi rzęsami. Rozbiegane te oczęta, na niczym dłużej spocząć nie mogą. W ten sposób charakteryzuje go wujek, zwany Piorunkiem. Wuj nie ułomek przecież, a z małym, tak go ciągle nazywa, nie dałby rady. Zdolny do wszystkiego, jak nie siłą to sposobem. Przecież zabił w bójce przeciwnika. Co prawda w obronie własnej. We trzech go napadli. Wódki nie znosi, słodyczne pochłania jak prawdziwe dziecko.

Po ucieczce ze szpitala ukrywał się u koleżków, później u pewnej dziewczyny. Ojciec zawarł ugodę z milicją. Jeżeli rodzina nie zrobi szumu z powodu postrzału, to oni nie będą go zbyt gorliwie poszukiwać. Tak się porozumieli po dżentelmeńsku. Adwo-

kat usilnie stara się, żeby sprawy chłopca sfinalizowały się przed jego dojściem do pełnoletności. Brakuje kilku miesięcy. Co będzie z nim dalej? Należy rozpocząć zbieranie materiału.



Jeden z bardziej przykrych ranków. Obudziłem się wcześnie. Z dużą niechęcią do dnia. A niebo było błękitne. Dalej leżałem. Wstałem późno. Krzątałem się niezbornie. Herbata, pierwszy papieros. Dalej źle. Obracałem w myślach tytuł książki Forsytha „Diabelska Alternatywa”. Odpowiadała samopoczuciu. Żadnej alternatywy. Na domiar złego odezwał się ból z tyłu głowy. Pod skórą jakby coś rosnęło, wykluwało się. Dokładnie w tym miejscu, gdzie miałem kiedyś kaszak, usunięty zabiegiem chirurgicznym. Czyżby znów wyrastał? Wylezie z włosów. Gładka, spęczniała gula. Wypełniona ziarnistą, tłuszczową substancją. Ogłosiłem stan mobilizacji. Czekają mnie kilka spraw do załatwienia. Ru-szyłem w miasto. Jeden wielki kaszak.



Emanuje siłą i spokojem. Fizyczność w harmonii z duchem. Atletyczna budowa, szeroka twarz i jasne, pogodne oczy. Bryła. Działacz jeszcze sprzed „Solidarności”. Areszty, przesłuchania, rewizje. Tak latami. Głęboko przekonany o słuszności swego postępowania. Wytrwały i cierpliwy. Nigdy nie popadał w fanatyzm i euforię. Dominuje w nim chłopski upór. Od stanu wojennego kilka lat przesiedział w więzieniu. Nie wyniósł stamtąd żadnych urazów, obsesji. Jego wspomnienia zza krat są jakby ze służby wojskowej, długich studenckich wakacji. Rzeczowe, z tendencją do utrwalania jasnych, pogodnych wspomnień stamtąd. Więzienny czas spędzał pracowicie. Dbał o kondycję, ćwiczył i biegał na mikroskopijnym spacerku. Uczył się języków obcych. Posiadał tam autorytet człowieka uczciwego i życzliwego innym. Nawet respektowany przez kryminalistów. Opuścił więzienie i znów się naraża, ryzykuje. Imponująca konsekwencja jego życia. Podporządkowanego idei. Nic w nim na pokaz. Skromny i mało mówny. Nie wysuwa się na czoło. Nie pragnie taniego poklasku.

Właściwie jedyny działacz opozycji, do którego czuję naturalną sympatię. Inni zbyt ograniczeni, jednostronni. Dla wyższych racji popadają w demagogiczne mielizny. Z nimi brak więzi. Udawanie. Fałszywe tony. Jeszcze na szalę dorzucić należy zadawnioną nieufność do działaczy w ogóle. Ludzi skłonnych do

uproszczonej jednoznaczności w imię swych pryncypiów. Budowniczych lepszego świata. Niebezpiecznych poprawiaczy.

Ale mój faworyt zupełnie inny. Bardziej wychowawca. Równocześnie realista, mocno trzyma się ziemi.

A może wszystko nie tak. Tak mało go przecież znam. I nie umiem go sobie wyobrazić głębiej, pełniej. Odbijam się od tej twardej bryły. Jednak obcość.



Poemat o kłębach. Gdybym umiał to napisać!

— Jestem kobyła — sama powiedziała o sobie. Nie klacz. Właśnie kobyła. Jak ona się porusza! Zad wypięty, rozbudowany, dwie wytoczone półkule, nie nadmierny przecież. Nogi mocne, krótkie, masywne w udach. Brzuch wypukły, w sam raz. Zęby białe, dużo zdrowej, żarłocznej białości w ustach. Wargi pełne, dolna pełniejsza, chwytne wysunięta.

Spiąć ją ostrogami, zmusić do kwiku, pędu, wierzgania...

— Jestem kobyła — tak powiedziała. — Lubię to robić. Bardzo! — głos weszła zadyszka, wibrującą gotowością ciała wprawionego w pożądanie.

Jej krótkie, gardłowe: — Bardzo!



Znałem niegdyś starca-lubieżnika. Piłsudczyk, legionista, kompozytor. Nazywał się Demon-Roliński. Buszował nocami po knajpach, dworcach, bramach. Poszukiwał dziewczyn. Mięsa dla zaspokojania swej żądz. Najczęściej wyławiał ze ścieków miasta spragnione wrażeń podlotki, debutantki w kurewskiej profesji, wsiove dziewczuchy. W ciemnościach wyglądał jak rzeczywisty demon. W wielkich sinych oczodołach błyszczały oczy łowcy. Obraz widma. Czytywałem wtedy powieści Ewersa, Srokowskiego, Przybyszewskiego. Pasował na bohatera tej literatury. Kapłana przekłetej chuci. Jego strój: smokingowe, prążkowane spodnie, koszula ze sztywnym kołnierzykiem, muszka, wstążeczki odznaczyć.

Widok widma towarzyszył moim młodzięcym włóczęgom. Tonący „Titanic” i nieustraszona orkiestra w jego sali balowej.



Chłopiec z naszego Brighton. Adwokat dostarczył moc szczegółów o nim.

W streszczeniu: bardzo wysoki, o ładnej, nieco dziewczęcej twarzy. To już wiadome. Pewnym dysonansem są zęby popsute na przodzie, czerniejące. Sprawny fizycznie. Wykonuje prawie dowolną ilość pompek i przysiadów.

— Rozruch — powiada śmiejąc się dziecinnie i drapieźnie.

Porusza się zwinnie według maniry wystudiowanej z westernów i filmów policyjnych. Ubrany niedbale, ale kosztownie. Skórzana bluza z łatek, dewizowe welwety, zagraniczne adidas. Obecnie opiekuje nim się ojciec. Jednak ta opieka zredukowana wyłącznie do pieniędzy. Ojciec im więcej daje, tym spokojniejsze ma sumienie. Należy do tych najbardziej żywotnych w socjalizmie, jakaś wytwórnia wyrobów ze sztucznego tworzywa. Ciągłe w skutecznej pogoni za forszą. Nie wierzy w żadną bezinteresowność, ideały, tylko forsa i mądre, jak powiada, układy. Jak ci bratankowie pana W.

Chłopiec mieszka u babci. Babcia zupełnie podporządkowana wnukowi. Chłopiec ma dziewczynę. Małgośka. Według przekonania ojca ona jest jego złym duchem. Starsza o dwa lata, nie uczy się i nie pracuje. Nie można nazwać pracą trzymiesięcznego kursu krawieckiego, który po miesiącu znudzona rzuciła.

Chłopcu brakuje kilku tygodni do pełnoletności. Gdyby adwokat nie zdążył zakończyć jego spraw przed sądem dla nieletnich, może mu grozić poważny wyrok. Wyścig z czasem. Chłopak doskonale pojął tę grę. Jest wytrawnym aktorem. W lot chwytą wskazówki. Stał przed stołem sędziowskim zmalaty, twarz boleśnie skrzywiona. Wyrzucił skruchę. Pragnął wzbudzić współczucie. Kaszlał.

— Postrzał w płuco spowodował ropień — wyjaśniał. Mimo chodem wspominał o drugim postrzale, który o centymetr minął serce.

— Dobrze im zagrałem? — zapytał później adwokata.

Na korytarzu sądowego gmachu rozglądał się czujnie. Obawia się zemsty. Z powodu bójki w której zginął człowiek. Tamci chcą policzyć się z nim. Wcale nie pragnął śmierci przeciwnika. Ale było ich trzech. Musiał się bronić.

W dokumentach psychologów zakładu poprawczego, gdzie przebywał, odnotowane zostały wybuchy jego nieobliczalnej wściekłości. Staje się bardzo niebezpieczny. Trenował boks, obdarzony silnym ciosem z prawej.

Adwokat pełen najgorszych przeczuć co do jego przyszłości. Żyje samopas. Zdeprawowany i cyniczny. Nie wierzy w żadne wartości. Lubi budzić podziw. Szczególnie w oczach Małgośki. Dla niej może zrobić wiele. W tym wyraża się potrzeba kogoś bliskiego. Jego dotychczasowe życie pozbawione było uczucio-

wego zaplecza. Matka po odejściu ojca szalała z rozpacz. Piła desperacko i sprowadzała gachów. Nie mógł tego znieść. Tłukł i wyrzucał kochanków matki. Ona często podpisywała zgodę na osadzenie go w zakładzie poprawczym, żeby nagle w odruchu macierzyńskim odwołać tę decyzję. Ojciec pogrążony w interesach i drugim małżeństwie zupełnie nie miał dla niego czasu.

Chłopak więc bardzo chce mieć kogoś bliskiego. Małgośka wobec niego zimna i pragmatyczna. Korzysta z jego pieniędzy, pochlebia jej wierna adoracja. Można się domyśleć istnienia innych chłopców w jej życiu. Jeżeli chłopak wyśledzi Małgośkę z kimś innym, to może stać się coś bardzo złego. Więzienie będzie ostateczną zgubą dla chłopca. Deprawacja, szkoła przestępczego życia. Wyjdzie z pudła okrzepnięty w złym, uformowany ostatecznie oprych. Posypią się wyroki, lata odsiadek. Mogą go wykończyć. Hardy, uparty. Niszczą takich.



Spotkałem na przechadzce pana Henryka Stażewskiego. 92 lata. Rzeźki, krok młodzieńca, oko bystre, cera rumiana, słabo słyszy. Papięz malarstwa geometrycznego. Maluje kwadraty w kolorach. Wstaje o świcie, pracuje przy sztalugach do południa. Następnie w kawiarni z młodymi, którym patronuje. Dwa razy dziennie po 50 gramów koniaku, wczesny sen. Swego ojca widziałem zawsze w roli takiego Matuzalema. Kilka lat temu zabrała go ziemia. Ostatni, który znał go najwcześniej, to nauczyciel Leopold Rusiniak. Pójść tym tropem. Ojciec opowiadał kiedyś o kursach nauczycielskich na Wielkiej. Szli parami do kościoła. Popatrywali na panienki z pobliskiej pensji. Ksiądz katecheta targał ich za uszy. Rok 1912-1913. Czy nauczyciel Rusiniak był na tych kursach razem z ojcem?



Kolacja w ścisłym gronie. Dwóch naszych przyjaciół. Pozналиśmy ich jako chłopców, studentów zafascynowanych literaturą, wrażliwych, kipiących od pragnień i wyobrażeń. Byli jak ożywczy strumień. My — nieco już przydeptani. Oni — wolne ptaki. Już to się zmieniło. Różnica wieku, doświadczeń zniwelowana. Zawody, rozczarowania, bolesne ciągi. Świat marzeń skurczony i poszarzały. Męczące pytania o sens całej tej szarpaniny. Banałna droga dojrzewania w tym kraju. Doświadczenia ostatnich lat. Ostre kontury podziałów.

Jeden, pragnąc osiągnąć azyl, uciekł do tłumaczenia dzieł pewnego wielkiego pisarza. Lata całe komentuje jego twórczość, pochłonięty pracowitą egzegezą. Co jakiś czas wiry i burze naszego życia burzą mu kruchy porządek.

Drugi zajmuje się twórczością oryginalną, ambitne pragnienie napisania księgi swego życia, spowiedzi dziecięcia wieku. Ostatnio popadł w pesymizm. Dokucza mu brak bodźców, ogarnia zwątpienie i poczucie straconego czasu.

Twarze naszych przyjaciół poznaczone udrękami duszy. Grymas goryczy koło ust, brak światła w spojrzeniu, siwe włosy błakają się na skroniach. Jemy obficie. Mówimy niewiele.



Przechodziłem Czackiego obok domu, w którym mieszkał Henryk K. Barwna postać, dziwne życie, jeszcze większa fantazja. Opowiadał często o swoim rodowodzie, koligacjach; bony i guwernantki, lato w Abacji, zima w Meranie, Lwów, Wiedeń, światowe życie od dziecka. Były to opowieści bajeczne, rozciągał swoje 60-letnie życie co najmniej na sto lat. Z tego powodu przezwano go Szecherezadą. Przebył dziwną drogę od kontrwywiadu wojskowego do *Tygodnika Powszechnego*. Umarł niedawno. Przypomniałem sobie, jak przed laty Henryk K. wybuchnął wielkim płaczem na wieść o śmierci Zbyszka Cybulskiego. Jego wielkie plecy dygotały, po mięsistej twarzy spływały łzy.

Poszedłem dalej. W kolejce po świeże pieczywo na Wareckiej jeden młody do drugiego: — Wiesz, to moje życie, z domu do roboty, z powrotem do domu, tak w kółko, czasem impreza... Przed gmachem KC mnóstwo samochodów. Obradują.

W grzybku na placu Trzech Krzyży zupełny brak pedałów. Za zimno.

Powrót autobusem. Mężczyzna siedzący obok czytał gazetę. Zajrzałem mu przez ramię. Artykuł pod tytułem „Wszystko o raku”. Ręce trzymające płachtę gazety trzęsły się miarowo, kilkunastu zarost na szczękach, kołnierzyk białej koszuli wymięty i pobrudzony, żałoba za paznokciami. Kac. To widoczne. Zaintrygował mnie sposób na kaca w postaci artykułu o raku. Przyjrzałem mu się baczniej. Nie czytał. Jedynie odgradził się gazetą od innych ludzi. Martwo wpatrywał się w druk, opadały mu powieki, czasem wstrząsał nim mocniejszy dygot.



Redaktor J. o sobie i swojej sytuacji. Nagle. Spotkaliśmy się w ogonku po kubańskie pomarańcze. Pracuje w redakcji miesięcznika poświęconego literaturze. Istnienie miesięcznika jak dotąd służy dobremu celowi. Wartościowe teksty. Debiuty. Co prawda jak zawsze, swobodę druku ogranicza cenzura. Ale w porównaniu z innymi pismami znacznie mniej uciążliwa.

A ja oponowałem, wskazując osobę naczelnego redaktora mocno zabrudzoną reżimowymi haraczami.

Redaktor bronił swego szefa lojalnie i elegancko. Przecież tymi haraczami ratuje miesięcznik, chroni jego autonomię. Jego ześwinienie stanowi cenę za luz w miesięczniku. Ja w odpowiedzi mniej więcej tak: — To stara dewiza tutejszego robactwa. Szmacimy się, bo ratujemy substancję narodu, wartości niezbędne dla jego duchowej egzystencji. Co oni ratują? Własne kariery. Jak zresztą zeszmacyony osobnik ma ratować narodową substancję? Jeszcze bardziej zatruwa i niszczy. Redaktor milczał długą chwilę.

— Nie wiem — odparł. — Ta władza jest rzeczywiście nie-nasycona. Potrzeba ogarnięcia wszystkiego pcha ich do podboju ludzkiej duszy. To prawda.

— Naczelnny redaktor — powiedziałem — wygląda na jednego z nich. Nieustannie i pokornie godząc się na ustępstwa w imię ratowania tej rzekomej substancji, czyni to czego oni właśnie pragną: pomaga w likwidacji wolnej sztuki, wolnego myślenia w ogóle. Niszczyciel spowity w szaty obrońcy.

— Chwilami — wybąkał redaktor J. — on mi przypomina grabarza.



Natrętny obrazek z głębin przeszłości. Ulica. Ranek. Ciepła pora. Idę z Czarkiem, królem pikieciarzy ze śródmieścia. Bazar na Pańskiej. Bez celu snujemy się między straganami. Poznajemy ładną wesołą dziewczynę. Uległa naszym namowom. Bar „Karpacki”. Był taki szynk w starej kamienicy na Chmielnej blisko Żelaznej. Zmieniamy miejsce. „Dzik” na Nowogrodzkiej. Ciemne wnętrza z jelenimi rogami i łbami szablasytch dzików na ścianach. Czas mija szybko. Późne popołudnie. Ślepy harmonista wygrywa sentymentalne kawałki. Oczywiście „Ostatnią Niedzielę”. Wtedy jeszcze była w żelaznym repertuarze. Potem jakieś picie w gruzach ze starymi przedwojennymi prostytutkami. Lekkość, improwizacja, przypadkowość.

Dziewczyna była fryzjerką. Bardzo zgrabna. Tyle tylko pamiętam. Czy spała ze mną, czy z Czarkiem? Nie pamiętam. Na

niczym mi wtedy nie zależało. Ruch, przygoda, żadnej kolejiny. Życie wydawało się nieskończenie długą wędrówką.



Co to była pikietą? Pewno nikt tego nie wie. Trzeba wyjaśnić.

W tamtych stalinowskich latach pikieciearze to byli chłopcy, co słuchali amerykańskiej muzyki i wielbili amerykańską modę. Nazywano ich także bikiniarzami, figusami, dzollerami itp. Nosili wąskie spodnie, kolorowe skarpetki, buty na grubej stoninie, koszule zdobili szerokimi krawatami z palmą bądź Murzynem, włosy układali w wysokie czuby, ulizując skronie i tył głowy brylantyną, kremem Nivea lub białkiem. Wystawali pod fotoplastikonem w Alejach. Właściciel, pedał w andersowskim berecie z wstążeczkami, miał okazały zbiór jazzowych płyt. To wystawianie nazywało się pikietą.

Wieczór u Tośka i dopływ surowca do mitycznej Fabuły. Stenia była u Wojtusia w Londynie. Chłopak daje sobie radę. Spec od robót w drzewie, regały, boazerie. Też wykłada łazienki kafelkami. Teraz sposobią apartament dla Araba z Kuwejt. Całe piętro. Przepych i bogactwo. Naftowy krezus nie liczy się z forszą.

A powracając do pechowego Bertone X-91, którego remont odbywał się w Warszawie, to wozem tym jeździ Wojtuś. Samochód nie znalazł jednak nabywcy. Dalej wymaga napraw, pożera funty jak beczka bez dna. Stenę wykończyła nerwowo jazda na lotnisko w Heathrow. Silnik charczał i rzeził, coś w nim bulgotało. Dwa razy stawali. Za trzecim razem już mieli łapać taksówkę: Wojtuś jeszcze bez przekonania pogrzebał w bebeczach silnika i wóz ruszył. Cudem jakby. Następna przygoda Steni już na lotnisku w Warszawie. Dźwiga swój bagaż i widzi: celnicy drobniaczkowo sprawdzają wszystkich pasażerów. Stała na uboczu i rozgląda się bystro. Do gustu przypadł jej jeden bagażowy, starszy facet. Wyglądał swojsko. Ona też wygląda swojsko. Po warszawsku i solidnie. Podeszła do niego. Wymienili długie spojrzenia. Westchnęła raz, drugi. Zapytał skąd wraca. Kilka słów o pogodzie tu i tam.

Zapytała: — A nie wie pan czasem, Piłsudskiego to oni zabierają? Wiozę taką książkę dla męża.

— Raz biorą a raz nie biorą — odparł. — Trudno ich wyczuć.

Znowu popatrzyli na siebie.

— Mąż czeka za szybą — powiedziała Stenia. — Gdyby pan tak zechciał mi pomóc.

Zatańczył jej bagaże do wybranego celnika. Raczej typ nieprzyjemny z wyglądu i opryskliwy.

— Sama nigdy bym do takiego nie podeszła — mówi Stenia.

W ogóle nie zajął do jej waliz.

Tosiek wspomina pierwszy wyjazd Wojtusia na Zachód. Wtedy zaproszenie było z RFN i sponsorem miał być niejaki Krank. Zajeżdżał Wojtuś do Hamburga i od razu z pociągu zawieziono go do biura Kranka. Wieżowiec w centrum, sekretarka, ogromny gabinet. Grubas za biurkiem, nieźle mówił po polsku, wyjechał z kraju po '56-tym roku. Rzucił kilka pytań, interesowała go kawiarnia w hotelu „Polonia”, której już nie było.

— To szkoda — westchnął.

Na koniec poklepał Wojtusia życzliwie po plecach i dał mu trzysta marek na wydatki. Ten sam mrukiwy facet, który czekał na dworcu, odwiózł go do hoteliku w peryferyjnej dzielnicy. Przez kilka dni nic się nie działo. Pił piwo, grał w automatach, zwiedzał porno-szopy i kina. Aż zjawił się wystannik Kranka, brodaty, długowłosy jak hippis, około 30-ty, Polak. Pojechali autostradą. Mercedes marzenie, najnowszy model. Zamienili się miejscami. Wojtuś siadł za kierownicą. Był to egzamin z umiejętności jazdy. Wypadł pomyślnie. Długowłosy zaprosił go na drinka. Opowiadać zaczął o sobie. Trzy lata temu dał dyla z kraju, pracuje u Kranka i bardzo sobie chwali, jeździ tu i tam. A jak podpiał, to pokazał Wojtusiowi spluwę i nóż sprężynowy. Szczególnym ciepłem darzył nóż.

— Cichy — powiedział.

Wojtuś poczuł niepokój. Długowłosy opowiadał o dalekich trasach. Jeździł do Grecji, Turcji, jeszcze dalej.

— I ty sobie pojeździsz — powiedział.

W nocy Wojtuś nie mógł zasnąć. Nabrał pewności, że dostał się w krąg afer i podejrzanego biznesu.

Następnego dnia odbyła się druga rozmowa z Krankiem. Wojtuś zagrał rolę dobrodusznego, naiwnego tępaka. Powtarzał z uporem o swoim upodobaniu do stolarki. To jedyna robota, którą lubi i potrafi wykonywać.

Na twarzy otyłego bosa coraz większe znudzenie. Już nie słuchał go wcale.

Dwa tygodnie trwał pobyt w Hamburgu. Syn Tośka z ochotą wracał do ojczyzny.

I oto dochodzimy do optymistycznego finału. Prawem kontrastu wyprawa do Londynu zakończyła się pomyślnie. Uczciwa praca, nieźle płatna. Chłopak wrasta w tamto życie. Niech już zostanie mieszkańcem mglistego Albionu.



Apatia. Dużo kłamstwa. Egoizm. Zagubienie. Brak nadziei. Rumowisko trzymane w żelaznych łapach. W pamiętnym sierpniu już zaczęło wyłaniać się coś sensownego. Mglistość, z oporami. Ale przedzierało się jednak. Życie nabrało większej urody. Było to widoczne na twarzach. W uśmieszach. Pulsowaniu ulicy. Świeży podmuch przenikał niedawną breję, zastałą i cuchnącą. Teraz po dawnemu. Znow śmietnik. Dużo ludzi stąd ucieka. Szczury z tonącego okrętu. Nieprzyjemnie o tym pisać. Nekrolog. Te rzekome materiały, surowiec... Lichota! Żadnego wstrząsu, olśnienia. Wkłęśłe, rozmazane. Won z takim surowcem! Ambitny pisarz pozostaje z niczym.



Pisane w gorączce. Dobry stan. Półrealny. Rodzaj zawieszenia między jawą a snem. Historie z wczesnej młodości. Barwnieli kolorowo. Fotoplastikon. Chłopcy znad stawu, Mogiel, Janek, Zanorzak, Filipiak. Opowiadał im powieści z Dzikiego Zachodu. Podpatrujemy tę z Pekinu. Pierdoli się z Kozakami. Opisałem te widoki w opowiadaniu „Mongol”. Ale w gorączce rozrastają się w powieść. Dziwną, gęstą. Przyjaciół, imiennik, Marek. Chcemy być pisarzami. Spotykamy się na ulicy Składowej. Siadamy w krzakach. Obok węglarze. Trąbią gorzałę. Wśród nich mój znajomy, Lampart, dzikie chłopisko.

— Co wy tam? — pokrzykuje życzliwie. — Branzlujecie się? A my o Prouście, Anatolu France i Maupassancie. Mieliśmy wtedy sezon literatury francuskiej.

Nelka, ta dziewczyna z rozciętą spódnicą. Nogi Nelki. Moja miłość do Nelki. Postanawiam zaprosić ją na studniówkę. Ludomania i antyinteligentne browary. Konkurent do jej wdzięków, gołębiarz Wasiak, chłopak o posturze atlety. Nieprzyjemne spotkanie z nim. Stary komunista z Fortów, pijacek. Chętnie za kielicha o walce klasowej, wyzyskiwaczach i zwycięstwie proletariatu. Występował w knajpie u Dziadka. Kpiny i śmiech słuchaczy... Zaczął pisać o dzieciństwie. Oderwać się od trującej teraźniejszości. Wskrzeszałem tamte lata bez trudu. Niosły. Fala za falą. Doba wysokiego gorączki. Wypełniona powieścią

z dzieciństwa. Potem upadek. Fatalny. Ani śladu fantazji, wysokich obrotów wyobraźni. Wegetacja.



Cyganie na Bródnie w dzień Zaduszny. To było tak nieoczekiwane! Dwa groby jak dwa stoły. Przykryte obrusami. Jeden zastawiony jadłem i butelkami. Jadło dobre, zakąskowe. Kotlety schabowe, boczek, kiełbasa. Dużo ogórków, musztarda. Przy tym stole kobiety i męska młodzież. Podawały do drugiego stołu. Kobiety nalewały wódkę do szklanek, podsuwały półmiski z jedzeniem. Same nie piły. Młodzież męska też nie. A przy drugim stole Cyganie, starsi, otyli mężczyźni. Jeden z piękną brodą patriarchy. Z nimi kilka starych kobiet. Pili gęsto, jedli ze smakiem. I ta ich mowa, niezrozumiała, egzotyczna. Bardzo głośna. Dużo śmiechu. Prawdziwa wesołość. Już kilka opróżnionych butelek. Tęgo popijali. Ale wcale nie pijani. Ich śmiech niósł się daleko między rzędy grobów. Ludzie, podążający alejkami do miejsc wiecznego spoczynku swych bliskich, przystawali i patrzyli zaskoczeni.

Pięknie czcili Cyganie pamięć swych zmarłych. Życie. Śmierć. Buchało witalną niepohamowaną siłą.



Pewien podziemny wydawca miał interesy w moich rodzinnych Włochach. Ktoś stamtąd zaprowadził go pod dom mego dzieciństwa. Rozrzewniłem się. Pekin, Musiek, gołębnik Jędrka Kozaka. Włada Lebiódowa i węglarze. Fryzjer Zygmunt i książki Przybyszewskiego. Niemiec Maslich, sąsiad przez płot, jego synowie: Gerdy i Eugen, obaj w Hitlerjugend. Olek, karzeł atleta. Co o nim mówiono? Aha! Że hujem podnosi wiadro z wodą.

Ojciec usuwa popiersie Marszałka w swojej szkole. Nastają nowe czasy. Gimnazjum i dyrektor Marcinkowski. Pepeerowiec, wrócił z zachodu. Uczył ojca sztuki życia w nowej rzeczywistości.

Po pijanemu z lubością przechodził na francuski. Co stało się z popiersiem Marszałka schowanym do piwnicy? Dyrektor Marcinkowski umarł na raka gardła. Tyle obrazów, zdarzeń. Należy sięgnąć do źródeł. Dzieciństwo, dawna młodość. Wtedy i tam zaczęło się wszystko.

Ale fabuła to nie tylko ramy, oś, konstrukcja. To technika przecież. Nie wystarczy także sam surowiec, całe to bogactwo. Jeszcze musi być coś więcej. Boskie tchnienie. Tego brak. Tego nie ma nigdzie. Albo pokazuje się tak rzadko. Tadek, brat stry-

jeczny, rencista z powodu choroby wrzodowej żołądka. Wstąpiliśmy do „Poziomki” i tam po dwie kolejki winiaku. Rozmawialiśmy sobie po bratersku.

Nieoczekiwanie Tadek oświadczył: — Wiesz, my, znaczy ludzie, bardzo jesteśmy marni, nic nie warci. Gdyby nie Odkupiciel, to cała ludzkość dawno by utonęła w zbrodni, ohydzie, rozpuście. Ja na przykład: to wiara trzyma mnie ciągle na krawędzi, powstrzymując od upadku w otchłań. W trakcie tej wypowiedzi jego płaski, prymitywnie przymilny (wdzięczność za $2 \times$ po 50 gr winiaku) sposób bycia uwznioślił się i nabrał głębi wymiaru. Wtedy w „Poziomce” pokazał się na chwilę ten elektryzujący duch. Boskie tchnienie. Ale zaraz ciemność. Co było dawniej tym boskim tchnieniem? Chyba wiara w przyszłość. To się błąkało.



Wrócił z Ameryki. Był tam trzy lata. Chwytał się różnych zajęć. Wędrował po Stanach od wschodu na zachód. Rajzer. W kraju też nosiło go od gór do morza. Przeważnie obracał się w polskich skupiskach czarnoroboczych. Jest złego zdania o rodakach. Samolubni i chciwi. Szybko go zaczęła męczyć tęsknota i samotność. Wrócił do kraju. Nie przywiózł ze sobą wiele dolarów. Zaraz po wylądowaniu na Okęciu uderzyła go szarość. Szarość w znaczeniu uniwersalnym.

— Tam przy całej mojej poniewierce — mówi — było jednak kolorowo. Można było mieć wysokie marzenia. Tu nie.

Psiarze w parku wykazują tendencje sadystyczno-represyjne. Szczególnie ci z dużymi, rasowymi okazami. Udręczają swoje zwierzęta rozmaitymi zakazami i nakazami. Słuchać zewsząd — Siadł! Leżeć! Wróć! Bierz! Rzucają kamienie, patyki. Karcą, pieszczą. Szczególnie jeden o twarzy zdeprawowanego inteligenta. Spaceruje z wielkim brodaczem monachijskim. Ćwiczy go zaciekle i szuka aplauzu widzów.



Dwie dziewczyny i chłopak. Szare twarze, mętne oczy. Dziewczyny zużyte, w pomiętych paltotach. Brudny, rzadki zarost na policzkach chłopaka. Ochryple głosy, śmiech. Idą chwiejnie. Objawili się nagle pośród ludzi pogrążonych w sobotnich zakupach i spacerach.

Patrzyłem na nich. Grasowali nocą, dopadli w knajpie jelenia, dziewczyny wabiły, później pod obcasy ofiarę, zerwali zegarek, zabrali portfel. Wtargnęli do mieszkania głuchej staruszki. Albo

coś innego. Towar od razu do pasera. Szmał na rękę i zabawa do białego rana. Małe drapieżniki miasta. Mieli to wypisane w złych, zmęczonych oczach. Wilki, które wyszły na światło dnia po nocnych łowach.

Patrząc na nich czułem wstręt, obcość, strach. Ale może tak być powinno. Zdobycz, zaspokojenie głodu, mocny szum krwi w żyłach...

◆

W tramwaju za moimi plecami dwaj mężczyźni. Zalatywało od nich świeżo spożytą wódką. Brukarze. Tak wynikało z rozmowy. Narzekali na trudy tej klęczącej roboty.

Jeden powiedział: — Jeszcze klęczeć to mogę, tylko ciężko już wstać z klęzek.

◆

Bohater mojej Fabuły nie utrzymał się jednak zbyt długo w roli spokojnego młodzieńca. Ukradł Gólfę. Jeździł tym wozem przez kilka dni. Po junacku wyścigowym stylem. Oczywiście z tą swoją Małgošką. Amerykański pościg. Trzy radiowozy. Blokada ulic. Wsadzili go do więzienia. Stop-klatka. Kajdanki. Otwiera się brama. Brak dalszych wiadomości o nim. Dopóki nie zakończą śledztwa. Co będzie z nim w przyszłości? Silny, impulsywny. Walka o prymat wśród więzionych kamratów. Połtyki, chlastanie się mojką, tatuaże. Konflikty z klawiszami, wychowawcami. Czeladnictwo więzienne może połamać mu skrzydła. Zgnoją go, zamęczą. Lub stanie się wielkim Kozakiem. Legendą świata kryminalnego. Moja bajka. Wątek polskiego chłopca z Brighton. Niech wkroczy fantazja. Zderzyć H., bojownika opozycji, z tym młodym opryskiem. Duże prawdopodobieństwo. H. siedział z takimi. Jego szlachetny wpływ. Relacje między nimi. Eh! Nie będzie z tego pożytku. Nie widzę chłopca z Brighton. Nie widzę H. Łatwo popaść w powtórkę dawnego pisania. Przypomina mi się „Kwadratowy”. W rzeczywistości nazywał się Jurek Dywański. Pierwsze moje opowiadanie. Równanie jest następujące: fabuła = pomysł + energia + wiara. Żadnego z tych składników nie posiadam.

◆

Idąc szlakiem Krakowskiego Przedmieścia natknąłem się na pijanego rzeźbiarza, który nazywa siebie Tadeo. Mały, barczysty, obrośnięty czarnym kłakiem. Utyłana w tynku jesionka. W rękę róża. Niósł dla swojej dziewczyny. Wyglądał jak przeniesiony

z lat 60-tych młody, gniewny artysta. Wtedy pełno było takich przebierańców na tym szlaku. Mieli swoją piwiarnię „Pod Chrystusem”, bar „Staropole”, a na tyłach uniwersytetu od Oboźnej kawiarenkę i sklep Pawlikowskiej. Spacerowali, pili i rozmawiali o sztuce. Teraz po nich ani śladu. Tadeo samotnie dźwiga sztandar mansardowo-piwnicznej bohemy.

Był w euforii. Obwieszczał narodziny nowego talentu. Pojawiał się młody pisarz. Według chaotycznej relacji Tadeo jest to młodzienc 20-letni, pracuje jako bibliotekarz i pisze opowiadania.

Tadeo chwiejąc się i wykrzykując swe ulubione słowo — Epoko!, począł grzebać w przepaścistych kieszeniach spodni. Wyciągnął zmięty, brudny maszynopis prozy swego pupila o osobliwym nazwisku Panabażysz. Czyżby naprawdę znagła narodził się pisarz!?

W domu wygładziłem kartki i zabrałem się do czytania. Krótkie czterostronicowe opowiadanie pod tytułem „Obrzędy”. Rozczarowanie. Najlepsze nazwisko. Panabażysz.



Ponowne wspomnienie zezowatego mężczyzny z Włoch. Pojawiał się któregoś lata. Był darzony najwyższym szacunkiem przez ferajnę. Wyszedł z więzienia. Miał karę śmierci zaraz po wojnie i zamienili mu na dożywocie. Z dożywocia piętnaście. Był na przerwie kary. Rok 1954, może 1955. Chudy, wysoki, zawsze w garniturze, krawat. Spoglądałem na niego ukradkiem. Często wracaliśmy ostatnią kolejką WKD. Nigdy nie rozmawiałem z nim, choć zdarzały się okazje. Tylko patrzyłem.



Rozbudowany system moich umocnień w mieście. Najdawniej bazy, knajpy i dworce.

Później kawiarnie, pracownie malarzy, kilka redakcji. Śladu nie ma po najstarszej linii umocnień. Ruiny po drugiej. Mało co już mam. Jan bez Ziemi.



Dlaczego starych ludzi tak ciągnie do śmieci? Szedł sobie starszy pan. Nie śmieciarz ani włóczęga. Schludnie, choć biednie ubrany. Klasyczny emeryt. I od razu zapuścił żurawia w głąb blaszanego pojemnika. Przystanął. Pochylił się. Ręka mu tam sama poszła. Ze względu na obecność ludzi opanował się. Od-

szedł, ale obejrzał się tęsknie. Wróci o zmroku? Kilka dni temu matka na cmentarzu koniecznie chciała podnieść z wysypiska śmieci szklane miseczki po stearynie. Świeciły kolorowo pośród zbutwiałego zielska, papierów, skorup, kwiatów.



Noc. Znajomy dźwięk. Coraz bliżej. Kłask końskich kopyt po mokrym asfalcie. Ten dźwięk przywołuje widoki dawnej Warszawy. Były wtedy postoje dorożek. Dworzec. Na Brzeskiej. Róg Lwowskiej i Koszykowej. Stały rzędem. W deszczu z podniesionymi budami. Wozili ludzie bagaże, meble, szkło. Rodzice fundowali dzieciom niedzielne przejażdżki. Hulacy z knajp przed świtem.

— Wio, sałata! — wołali.

Później zanikły. Pozostał ostatni postój na staromiejskim rynku. Dla zagranicznych turystów. Sześć dorożek. Jeden dorożkarz nazywa się Nowakowski. Mój ojciec opowiadał, że pradziadek miał konną firmę przewozową na Woli. Niedługo przed śmiercią zaczął spisywać dzieje rodziny. Podobno przydomek mieliśmy Korwin. Schłopiała mazowiecka szlachta. To tyle. Błahe. Dla mnie ważne.



Kiedy zaczynał czytać obawiałem się, że będzie to jeszcze jedna z tych historyjek, które produkował seriami. Zgrabnych, w miarę zabawnych, odtwarzających wycinki codziennego życia. W ostatnich czasach już pozbawionych ognia, powielanych, martwych. Tymczasem zaskoczenie. Słuchałem z rosnącym zainteresowaniem. Opowiadanie na wysokim tonie. Nie w znaczeniu patosu. Ale temperatura wysoka. Przenika pozornie błahe opisy. Portret człowieka naszych czasów. Zwykłego. Przydeptanego. Celne szczegóły. Gęsta materia jałowej codzienności. Z jałowizny wyrasta dramat. Niezauważalnie, w efekcie końcowym staje się metaforą.

Idziemy. Dobry spacer. Dwóch współników po piórze.



Umarł Genet. Jego ślady w moim życiu pojawiają się od dawna. Od 1962 roku, kiedy to ojciec Joli czytał „Notre Dame des Fleurs”. Był pod silnym wrażeniem. Opowiadał. Nawet przetłumaczył kilka fragmentów. Duże przeżycie. Tym bardziej dla mnie, będącego pod mitologicznym wpływem więzienia, zło-

dziejszczyzny. Zdobyłem prospekt wydawnictwa Grove Press. Tam jego fotografia. Łysa czaszka, złamany nos-kapeć, zmysłowe usta i ponure oczy. Chyba w stroju więziennym. Powiesiłem sobie nad biurkiem.

Jego teatr mało mnie pociągał. Bardziej proza życia. Paryż, rok 1969. Janek Lebenstein zaprowadził mnie pod hotelik w peryferyjnej dzielnicy. Podobno on tam mieszkał. Ktoś opowiadał, chyba Maryna: on nie ma konta bankowego i całą forszę trzyma przy sobie.

Jeszcze ktoś o jego związkach z terrorystami. Zawsze ta aura kolizji z prawem, porządkiem, moralnością.

W końcu przeczytałem „Pamiętnik złodzieja”. Świątynia miłości w kręgu zbrodni. Sakralizacja zła i zdrady. Koroną wszystkiego morderstwo. Posługiwał się piękną prozą poetycką, kontrpunktowaną brutalnym realizmem.



Raptem o sobie dawnym, piętnastoletnim. O tej farsie z niedoszłą kreacją czekisty. Na początku gabinet dyrektora. Dyrektor z dużą jak dynia, łysą głową, imiennik ojca. Ten stary pedagog starał się jakoś nadążyć za szybkimi przemianami. Trzymał sztamę z partią, organizacją młodzieżową. Tapetował szkołę plakatami, czerwienią transparentów, gazetkami ściennymi.

— Bardzo idę im na rękę — zwierzał się ojcu i uśmiechał się chytrze.

Gabinet dyrektora, jasnożółta klepka podłogi. Ci werbownicy, dwoje, personalia spisywała kobieta, głos miała męski, niski, paliła papierosa. Dyrektor ustąpił jej miejsca za swoim biurkiem. Sam siedział na uboczu i starał się nie patrzeć w moją stronę.

Taka była sceneria. I później — dopiero teraz sobie przypominam dokładnie — to nie ja z pychy się wygadałem, lecz dyrektor powiadomił poufnie ojca o mojej decyzji. Ojciec matkę. Ona zaś udała się do ministerstwa na Koszykowej. Oto właściwa kolejność rzeczy. Może jedynie w trakcie jakiejś scysji z matką (ojciec przeważnie milczał, matka natomiast wyrzucała mi złe skłonności) nie mogłem powstrzymać się od przechwałki i powiedziałem: — Ja jeszcze wam pokażę! Zobaczycie!

Ale kreacji czekisty już nie zaprezentowałem.

— Jest jeszcze niepełnoletni — powiedziała tam w ministerstwie matka. — Na razie o jego losie decydują rodzice.

Nie wyszła stamtąd, dopóki nie wyjęli z szafy papierowej teczki. Podarli kwestionariusz z moim podpisem. Wrzucili do kosza na śmieci.

Dziękuję łysemu dyrektorowi, który powiadomił ojca o decyzji podjętej przeze mnie w jego gabinecie. A gdybym tak został zwerbowany bez przeszkód? Szkoła oficerów służby bezpieczeństwa. Dalsze moje dzieje. Znam dwóch takich. Rówieśnicy. Marian G. pochodził z komunistycznej, robotniczej rodziny. ZWM, kandydat partii. Cechował go młodzieńczy żar ideowy. Rzucił szkołę. Został pracownikiem powiatowego urzędu. Obowiązki swoje spełniał z gorliwością fanatyka.

Drugi to Bogdan, kolega z gimnazjum. Też został zwerbowany i rozpoczął pracę w resorcie. Październik rąbnął ich obu chem.

Marian stracił wiarę we wszystko. Przedwczesny rencista. Prowadzi warsztat. Stał się cyniczny, łajdacki. Nienawidzi zarówno władzy jak jej przeciwników. We wszystkim wietrzy brudne intencje. Bogdan rozpoczął studia politechniczne, założył rodzinę. Ale nie daje sobie rady. Żałosny alkoholik, który nieustannie dokonuje spowiedzi z tamtych lat. Sprawia wrażenie, jakby dalej prowadził ciemny wątek. Ten wątek szarpie jego sumienie.

Czy zacząłbym później pisać? Miałbym przecież wiele do powiedzenia.



Czarny Olek w drodze do ZBOWiD-u po skierowaniu na wczasy lecznicze. Dbą o siebie, czerni włosy, rudawy połysk w słońcu. Kiedyś jego włosy były aż granatowe. Wyjaśnia z pewnym zażenowaniem swoje zbowidowskie koneksje. Jako królik doświadczalny w obozie koncentracyjnym otrzymał rentę inwalidy wojennego i przywileje kombatanta. Pracuje na pół etatu, jest portierem w pałacu młodzieży. Napatrzył się stamtąd na pochody i demonstracje podczas stanu wojennego. W pałacu gromadziły się milicyjne centurie, mundurowi i tajniacy, żeby w odpowiednim momencie ruszyć na plac.

— Obserwowałem ich — uśmiecha się przebiegle. Doskonale wie, że miałem konflikt z władzą i siedziałem w więzieniu. Zapytuje, czy zdarzają mi się jeszcze jakieś kłopoty. Pewno w związku z tym wspomina swój powrót z Niemiec do Polski. Obóz wyzwolili Amerykanie i rok przebywał w ich strefie okupacyjnej. Po powrocie bardzo szybko powołali go do wojska. Wytypowany został do szkoły podoficerskiej i pisząc życiorys, napomknął o swoim pobycie pod Amerykanami. Natychmiast zajęła się nim informacja wojskowa. Pół roku w więzieniu, męczące śledztwo, podejrzany o szpiegostwo na rzecz imperialistów.

— Sparzyłem się na nich — powiada, uśmiechając się jeszcze przebieglej.

Jego ojciec był blacharzem, pięcioro dzieci, przed wojną wiodło im się marnie, ojciec często bywał bez roboty. Siłą rzeczy powojenny porządek przyjął jako swój własny, ludowy i wobec nowej władzy nie miał nic do zatajenia. Tym silniejsze było jego rozczarowanie.

Na koniec rozmowy położył serdecznie dłoń na moim ramieniu i powiedział: — Mówię ci, Maruś, nie wierz nikomu!



Wyciąga z zakamarków sterty papierów, notesy, bruliony, maszynopisy, rękopisy. Niezbyt sprawnymi palcami przekłada, porządkuje. Oto rozdział książki o Aleksandrze Colonna-Walewskim, synu Napoleona. Drukowany w Ateneum, rok 1937. Wykład Mickiewicza w Collège de France, druk w *Twórczości*. List o ojcu Kolbe w Oświęcimiu. Mała rozprawka o kolorach w malarstwie. Przekłady Bestiarium Apollinaire'a. Wiersze Mallarmé'go. Traktacik filozoficzny w formie listu do Henryka Szażewskiego. Te teksty nigdzie nie drukowane. Inne jeszcze. Niedokończony wiersz własny o biskupie polowym Gallu i wojskowej paradzie. I jak refren to pytanie: — Nieźle, prawda?

— Świetne — odpowiadam pośpiesznie i peszy mnie wyraz jego oczu.

Pochyla się z trudem i znów wyciąga jakieś połówki papiery spod tapczanu. Szelest przewracanych kartek. Wiruje kurz. Gorączkowy bilans. Niemy M. pragnie pozostawić jakiś trwały ślad po sobie.



Od dawna już ściany mieszkania ozdobiłem grafiką Lebensteina. Potwory otaczają zewsząd. Także rodzą się w środku. Starość, paskudne choroby, źli ludzie, sennie koszmary, chuć cuchnąca. Patrzę na jedną z maszkar, akurat oświetloną jaskrawym, zachodzącym słońcem. Zad monstrualnie wypięty, zwaliste uda w rozkroku, srom jak paszcza mątwy, mięso odchodzi już od kręgosłupa, pokazują się żebra, twarz zamienia się w ryj. Trupiozielonkawa. Spowita w brudną szarość.



Jeszcze powrót do siostrzeńca Piorunka! Powieściowy wątek. Zdeprawowany chłopak. Strzały i krzyki. Jego droga. Więzienie.

Wyrasta na kozaka. Albo go niszczą. Zderzenie chłopaka z opozycyjnym działaczem. Chrystus i jego uczniowie. I tak dalej. I tak dalej. Płaskie zabiegi. Z tej maki nie będzie chleba! Tylko jedno pytanie dręczy. Dlaczego ci chłopcy (tyle w nich ekspansji, odwagi) idą na przemiał. Pokoleniami wpadają w ten cuchnący kanał. Czegoś chcą. O coś ślepo walczą. Ale tylko na ślepo. Ciągłe w odruchach. Nigdy nie wzniosą się wyżej. Toną w ciemnych odmętach. Bezsensownie trwonią swe siły i zdolności. Redukują się, zamieniają w półzwierzęta. Pograżone w zacieklej samozatracie. Początek jak olśnienie. Wyzywają do boju świat. A później krok po kroku, rok po roku grzęzną. Gasną. Mierzwa. Nawóz dla następnych chlastaczy, połykaczy, alkoholików, dementów.

To samo! Ciągłe to samo.



Tatuaż wyprzedził następstwo zdarzeń. Było to intuicyjne dążenie w pewnym kierunku. Zawierało znamiona wyboru. Jeszcze na zebraniach szkolnej organizacji ZMP, w której piastowałem odpowiedzialną funkcję kierownika agit.prop., występowałem ze swadą i zaangażowaniem. Słuchano mnie z uwagą, liczyło się bowiem w tym gremium moje zdanie poparte zasługami i oddaniem nie pozostawiającym żadnej wątpliwości. Ale już coraz częściej bywałem w tej drugiej izbie szynku „U Dziadka”. Tam przy bilardzie zbierała się elita: Zenon Morda, Kulawy Karol, Gruby, Tygrys, inni. Przysłuchiwałem się ich rozmowom. Ogarniały mnie trudne do wyrażenia rozterki, niepokoje. Po kryjomu (jakby wobec siebie) podążałem do Filipiaków na Budy i poczytywałem sobie za zaszczyt, jeżeli zaproszono mnie do wódki czy gry w oko. W tamte upalne dni także zachodziłem nad gliniankę, której brzegi były tutejszą plażą i miejscem spotkań. Z pochyłej wierzby skakali do wody mężczyźni. Poznaczeni byli tatuażami. Starsi mieli wzory jeszcze przedwojenne, wyblakłe, często nieczytelne. Młodszy z niedawnych odsiadek na Gęsiówce, Toledo, czy gdzie indziej. Tatuaż stanowił dowód stażu, bogactwa doświadczeń. Patrzyłem na pokryte gąszczem niebieskich rysunków, brązowe od słońca ciała tutejszych bywalców. Niektórzy wyglądali jak totemy. Zabieg, któremu się poddałem w chaszcach opuszczonej posesji rybaka, był wyprzedzeniem czegoś, co wkrótce miało nastąpić. Tatuaż wykonał opłacony ćwiartką wódki fachowiec, Sewek, atletycznej postury młodzieniec. Siedziałem na ceglach, on obok. Trzy igły ciasno owinięte nitką, tusz w buteleczce, chustka do wycierania krwi i mój wystawiony bark.

Tatuaż był skromny — Palermo rok 1946. Później już w zgiełku nowego życia treść napisu wyjaśniałem rozmaicie. Raz powiadałem, że to z pobytu we Włoszech, gdzie zaniósł mnie wraz z rodzicami wojenna tułaczka. To znów tłumaczyłem, że istnieje taki zakład poprawczy, nazwany przez wtajemniczonych Palermo i kilku jego pensjonariuszy połączonych węzłem wspólnictwa ozdobiło swe barki takim oto napisem.

Po latach zastanawiałem się nieraz, dlaczego wybrałem tak niejasną ozdobę dla swego barku, zakładając niejako możliwość interpretacji swojskiej i egzotycznej zarazem. Powodem mogła być spontaniczna reakcja na postny charakter dotychczasowego życia, potrzeba mitologii i chęć okraszenia barwą i fantazją tego niebieskiego wyrazu i kilku cyferek. Miałem przecież niewiele ponad 16 lat.

Piękne są tatuaże. Wymyślne i prymitywne. Pełne marzeń i surowego realizmu. Groźne i kiczowate zarazem. Niektóre jak bajki w rozdziałach, magiczne zaklęcia.

Ubiegłego roku, jadąc do Włoch, zobaczyłem Sewka na podwórzu starego domu z gołębnikiem na dachu. Obnażony do pasa. Jego muskularne ciało rozděło się i zniekształciło. Jedynie tatuaże pozostały po dawnemu piękne i niepokojące. Rysunkowa mapa jego życia.



Jola na widzeniu z klientem osadzonym w więzieniu na prowincji. Małe miasteczko. Wielkie więzienie. Czekam w restauracji „Jubileuszowej”. Z okna mam widok na rynek. Dochodzi godzina 15-ta. Bawię się w statystykę. Czas obserwacji około pół godziny.

Jeden spał na schodach. Wychodził stąd. Ściąło go i padł. Leżał, ściskając oburącz teczkę. Zaraz pokazali się trzej. Jeden stary, ale dziarski. Dwaj młodzi jak flaki, uginali się i zataczali. Po schodkach w górę. Do „Jubileuszowej”. Dwaj średniego wieku. Obaj w kolejańskich czapkach. To samo. Za nimi pojawił się pełzak. Czołgał się do schodków. Z trudem unosił głowę miarkując odległość.

Gość w inwalidzkim wózku. Dziarsko podjechał pod schodki. Jak wejdzie? Ktoś musi mu pomóc. Albo wyniosą wódkę na zewnątrz. Młodzieniec z dziewczyną. Gwałtowna scysja między nimi. Ona odchodzi. On do „Jubileuszowej”. Niezauważalnie rynek zamienił się w szachownicę i widziałem już tylko pionki. Ruch pionków w jednym kierunku. Zgubiłem rachubę.

Opuszczając miejsce widokowe w sali bezalkoholowej, zajrzałem jeszcze do tej drugiej z wyszynkiem na stojąco. Ciemna i za-

tloczona. Bełkotliwy gwar z pojedynczymi, wzbijającymi się mocno porykami. Miasteczko niewielkie, około 7 tysięcy mieszkańców. Takich miasteczek setki, tysiące. We wszystkich o tej porze odbywa się ten sam niezmienny od lat ruch. Wokół płynie zapita, skretyniała magma. Bełkocze, bredzi i rzyga. Gdzie ten wspaniały naród? Opiewany przez poetów. Obdarzony nieugiętą potrzebą wolności stanowiącej drogowskaz dla pokoleń. Czy nie żyjemy w złudzeniach i mitach? Powodowani pychą lub rozpaczą uwznioślamy to, czego uwzniościć się nie da.

Na schodkach zatoczył się na mnie człowieczek z bochnem chleba pod pachą. Wyszczrzył pustą, bezzębną jamę ust i coś zabełkotał. Chwyciła mnie nagle chęć: zawrócić, zamówić coś na ząb, setę! A potem...



Kwitnie moda na uniwersalistów. Przykurcz wolności i nadziei powoduje osłabienie ducha. Wielu wybrało emigrację jako sposób na życie. Także na twórczość. Sztukmistrze ci budują kreację artystyczną wyzwoloną, żeby bogoojczyźnianie, ale zarazem uniwersalnie i światowo. Patrzą na zgiełk i krzątaninę krajową z pobłażaniem. Oni są wyżej, usunęli sobie ojczysty wosk z uszu i dzwoni im metafizyką i eschatologią, egzystencją i esencją. Kroją swą sztukę według wysokich wymogów, „miłoszują” i „herbertują”. Bardzo wrażliwi na koniunkturę zachodniego rynku, studiują starannie wahnięcia tej giełdy. Dla prozaików wzorem Kundera. Dla poetów jak wyżej.

To złorzeczenie z okazji usłyszanego w którejś polskojęzycznej rozgłośni wywiadu jednego z bardów sztuki wyzwolonej.



Jeden do drugiego: W dzisiejszych czasach to zacieśnić się raczej. Ani większego mieszkania, nic...

Stali na peronie. Przytupywali. Skurczeni. W przewiewnych płaszczach. Jesień przechodzi w zimę.

Ciekawy przypadek pana K., ambasadora. Ambitny dogmatyk, usta pełne doktrynalnych frazesów, okulary, łysy łeb, wyglądem ascetyczny — dalekie podobieństwo do jego patrona Gomułki. Wywyższenie i upadek. Odmrożony w czasie posierpniowym. Później znów zepchnięty na ubocze. Jego nagle ekspansja na ambadorskim stołku w Moskwie. Jedna kochanka. Druga. Porzuca. Bierze trzecią. Porzucona donosi o tym, co gadał jej w łóżku. O najwyższych dostojnikach partii. O Generale. Nawet

o Sowietach. Co knuł, jakie miał zamiary. Łóżko po rozkoszach powoduje rozluźnienie, utratę czujności. Donosicielka na pewno wyolbrzymia zwierzenia partnera. K. abcugiem odwołany z Moskwy. Koniec kariery. Przynajmniej tak mówią w mieście. Bierze się za pracę naukową.



Farmazon spotkany pod „Kameralną”. Wysoki, chudy, w czarnej jesionce. Twarz miał śniadą, ostrą, gruzińską. Ciemne okulary i białą laskę ślepcy. Ale nie był to ślepiec. Popatrzył na mnie bystro i podszedł. Zapytał: czy nie zna pan drogi do Teatru Narodowego?

Jednak wcale mu nie szło o żaden teatr, tylko o rozmowę. Było to jeden z ostatnich farmazonów tego miasta. Tak świetnego dawno już nie spotkałem. Artysta wysokiego lotu. Z tym swoim gruzińskim, drapieżno-pobłażliwym uśmieszkiem snuł historie z Tysiacy i Jednej Nocy. Jest ostatnim rezydentem brytyjskiego wywiadu na Sowdepie. Siatka została spalona, sam po niezwykłych perypetiach zdołał ująć z życiem i tu się zakonspirował. Białą laskę nosi dla niepoznaki. Wymienił nazwisko swego mistrza. Sidney Reilly. Był taki naprawdę, szpieg brytyjski podczas wojny domowej. Opowiadał barwnie, wykazując biegłą znajomość historii. Czas realny dla niego nie istniał. Mieszał przeszłość z teraźniejszością, tworzył swój czas. Wątki zmieniał jak rękawiczki. Za chwilę stał się ostatnim rzecznikiem przewiezienia zwłok Stanisława Augusta z Wołczyna do Polski.

— Na Wawel mu się należy! — wołał. — Jaki on tam był, ale królem był!

W epoce stanisławowskiej także biegły. Z lubością o kochankach króla. Pani Grabowska, inne. Wątek prowadził śmiało, z właściwą wybitnym farmazonom dezynwolturą. Przekradał się przez granicę polsko-sowiecką. Dotarł do Wołczyna. Grobowiec w fatalnym stanie. Kościół w ruinie. Zawaliło się sklepienie.

— A przygody z czekistami! — machnął ręką. — Gdyby nie panna Marusia, prosty seks, ale jaki gorący!

Jednak zwłok nie zdołał wykraść. Na poczekaniu stworzył opowieść godną Sergiusza Piaseckiego.

Cały czas kpiarski uśmieszek bajczarza z gór Kaukazu. Korzystając z chwili, kiedy nabierał oddechu, napomknąłem o jego klasycznej gruzińskiej urodzie.

— Orzeł Dagestanu! — powiedział patetycznie i natychmiast wywiódł swoje pochodzenie od bohatera powstania listopadowego, wcielonego później w carskie żołdacy i odbywającego tam służbę wojskową. Szamil i Hadzi-Murat. Ks. Woroncow. Niebywała,

osobliwa wiedza. Stamtąd właśnie jego przodek przywiózł sobie kruczowłosą Fatimę.

Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zaistniał Kaukaz, walki górali z Rosjanami, po rewolucji krótka niepodległość.

— Ale moja rodzina po kądzieli oporu nie zaprzestała! Wykonał błazeńsko-tajemniczą minę. Jego wędrówki po Tyflisie. A jakże! Był tam. Górską ścieżką do niedostępnego aułu, gdzie dotychczas ukrywają się niepokonani miuryci z kindżałami. Był wspaniały! Jak diament zalśnił na ulicy Foksał pod „Kameralną”. Wybitny farmazon o zacięciu polityczno-niepodległościowym, najwięcej uwagi w swojej improwizacji poświęcał wielkiemu mo-
carstwu.



Wiele takiego surowca, półfabrykatów. Złożyć w całość. Poukładać na czarodziejskim dywanie. Niech zbije się ponad dolny pułap. Rozmach, swoboda, humor. Syf też odpowiedni. Brzmi metaforycznie. Przepoić nim całość. Tragikomedia syfilitycznej zarazy w rejsie. Przeżyłem to osobiście. Pierwszy sygnał nastąpił zaraz po wypłynięciu w morze. Ledwo zanikły światła egzotycznego miasta. Od razu ponakładali długie spodnie. Dla kamuflażu. Z powodu pościeranych kolan podczas erotycznych uciech na trzcinowych matach. Okaleczenia i zatarcia długo się goją w tropiku. Przedtem wszyscy nosili szorty. Śmiech z tego powodu. Pierwszy oficer też w długich spodniach. Szef maszyny nie. A jak ja? Tego nie powiem. Później pokład. Melancholicy stali oparci o reling od zawietrznej. Elektryk, młody as, ci z maszynowni ze straszdełkiem na czole, bosman Dzyn-Dzyń. Odkryli niepokojące objawy, dręczy ich strach. Myślą. Liczą na łut szczęścia. Trzymają rzecz w dyskrekcji. Nikt nie zwierza się nikomu. Noc. Nad nami Krzyż Południa i bogactwo innych gwiazdnych konstelacji. Wieje lekka monsunowa bryza. Swoista metafizyka. Każdy patrzy w czarną dal. Z gorącą prośbą do Boga. Spacer dolnym pokładem. Bulaje ciemne. Już śpią. W jednym światelko. Zaglądam tam. Kajuta elektryka. Leży na koi. Lampka przy nim. Pochylony. Ogląda swoje krocze. Można sobie wyobrazić jego pełną udręki noc. Kilka dni później Jacek. Radio łapie kontakt z innym polskim statkiem. Oni byli w tym samym porcie przed nami. W tych samych burdelach. Komunikuje o tym, co przytrafiło się niektórym ich chłopakom. Pokazały się dziwne objawy.

— Wżery — tak powiedział Radio z tamtego statku.

Finał w Capetown. Naznaczeni pierwsi zeszli na ląd po trapie. Czekał na nich ambulans. Pojechali na badanie krwi. Było ich dziesięciu. Schodzili na reję ze zwieszonymi głowami.

Syfem połączyć całość. Bohater naznaczony przez pech łózkowy. Życie otwiera przed nim swoje czeluści. Wzniosłość napiętnowanego. Upadek z powodu zarazy. Musi być dużo fantazji, rozmachu. Potencji Grassa, Marqueza. Zatruta rzeczywistość. Zarażony widzi świat przez pryzmat swego nieszczęścia. Jego poczucie odrębności. Dostyć specyficzne. Gnije ciało, dusza. Nawet już po wyleczeniu. Choroba pozostała w duszy. Obsesja krętków błędnych. Niepokój, znów podejrzenie choroby. Ciągły związek, z najwyższym sędzią. Urzęduje w starej kamienicy. Niepozorna tabliczka w bramie. Brudna poczekalnia, stare czasopisma na stole, szyby popstrzone przez muchy. Ciężkie powietrze. Wreszcie wchodzi. Sędzia jest starym, masywnie zbudowanym mężczyzną niskiego wzrostu. Rubaszny.

— Wyjść fiuta — powiada.

Szerokie dłonie porośnięte rudym włosiem. Fartuch poplamiony fioletem i żółcią jakichś lekarstw, krwią. Szkiełko, mikroskop. Wzmacnia powiększenie. Chciwe wpatrywanie się w oblicze sędziego. Myje dłonie, wyciera ręcznikiem. Może ziewnąć, spogląda na zegarek. Nawet potrafi zapytać: — Dużo tam jeszcze pacjentów? Serce skacze do gardła, ucisk w skroniach. Co powie? Jaki wyda wyrok?



Prowadzą z nimi nieustanną walkę. Wieloletnią i cierpliwą. Nie mają litości, ale żywią pewien szacunek i uznanie dla ich przebiegłości, inteligencji. One zagrażają ich kurnikom. Gnieźdzą się często na strychach. Najchętniej zabierają jajka, duszą kurczęta. Potrafią poradzić sobie z kogutem. U niego zakradł się do domu. Trzymali w koszu pod schodami jajka. Codziennie dokładali świeżo zniesione. Dobrał się tam i wypijał, pozostawiając skorupki. Kobieta dopiero po tygodniu odkryła kilkadziesiąt skorupiek rozrzuconych wokół kosza. Założyli potrzaski, jak to mówią, żelazka. Przez wiele dni omijał pułapkę. Wreszcie złapał się za ogon. Zamęczyli go prądem. Podłączyli do kontaktu. Twarde miał życie, dym szedł mu z zębów i jeszcze żył.

Futerko tchórza jest bardzo ładne. Z kilku skórek może być czapka, kołnierz.

Tak samo ze szczurami żyją na co dzień. Stary dom roił się od szczurów. Biegały po mieszkaniu. W nocy wskakiwały do łóżek, szczypały za włosy. Chleb to na oczach ściągały ze stołu.

W nowym domu nie ma szczurów. Ale siedzą w chlewie

i oborze. Maciora się oprosiła i zjadły jej dwa prosiątka. Kula-
wego kurczaka nadzarły od kupra. Zdechł. Zatrutego ziarna nie
ruszą. Mądre. Kotkę zamykali w oborze. Bardzo łowna. W noc
zawsze ze dwa, trzy szczury zadusiła. Raz źle uchwyciła i dziob-
nęła ją w kark. Uszkodził kręgosłup. Nie mogła ustać na tylnych
łapach. Trzeba było ją utopić.

Od tamtego roku ilość szczurów zmniejszyła się znacznie.
Odeszły dlatego, że dwa oślepił i puścił wolno. Ślepe piszcza,
narzekają na swój los i wtedy inne odchodzą z niebezpiecznego
obszaru. Wypróbowany sposób. Oślepią się rozżarzonym w ogniu
prętem. Pac, pac po ślepiach i niech sobie leci.



Po uniesieniu ducha wywołanym „Solidarnością” i oporem
w stanie wojennym temperatura opadła. Marazm. Konformizm.
Cynizm. Stereotyp fazy spacyfikowanej. Nie jest to tak plugawe
i beznadziejne jak pod koniec fazy Gierka. Ale bardziej przynę-
biające z tego powodu, że „Solidarność” była najdłuższą i naj-
ciekawszą próbą życia po nowemu.

Znów jak dawniej odzyskują swą moc małe, okupacyjne struk-
tury przetrwania. Batalia toczy się o podstawy egzystencji. Zwią-
zki rodzinne, przyjacielskie. Cementowane wzajemną więzią usług
i interesów. Klasyczne struktury poziome w nowym wydaniu!
Kierownik sklepu spożywczego na tej ulicy pozostaje w ścisłych
związkach z kierownikami sklepów innych branż. Jego personel
odpowiednio do stanowiska także. Korupcja, cwaniactwo, zimne
wyrachowanie. Kwitnie życie pod skorupą. Wszystko można za-
łatwić, kupić. Byle nie wdawać się w tak zwaną „politykę”.
Można jeździć w świat, budować, inwestować. Władza przymy-
ka oczy na wiele spraw. Aprobuje zresztą ludzi uwikłanych, tacy
wiele mają do stracenia. Klany, grupy, gangi. Inwencja w po-
mnażaniu dóbr materialnych. Przykładem małżeństwo J., prężne
stadło z pamięcią okupacji, pełna niewiara w socjalizm, świadomi
jednak jego trwałości. Od lat pogrążeni w zawiłej architekturze
sekretnych korytarzy i sztolni. Twardzi i skuteczni w walce o
wygodną, jakby poza ustrojem zbudowaną egzystencję. Teraz
szczególnie są zaktywizowani, rozgałęzione stosunki, wzajemne
usługi, zakrapiane obficie wódką, tą polską fajką pokoju i bra-
terstwa. Tworzą zwarty krąg, złączony węzłami krwi i intere-
sów. Znają świetnie język szyfrów, min i gestów. Posługują
się nim bezbłędnie. Zachowują jednocześnie pewien dystans,
autoironię i kpinę wobec swych krecich zabiegów. Robią perskie
oko i zdają się mówić: — Co robić, tak trzeba dla chleba!

W istocie pędzą życie płaskie pozbawione głębszych motywacji, biologiczne.

Czy są to szczury? Trudne pytanie. Czasem przecież wykazują się bezinteresownością, lojalnością i gotowością do poświęceń nie opartą na żadnym rachunku. Mają świadomość zła i nieprawości. Także nie udają, nie osłaniają się żadnymi pożyczonymi szatami. Niczego nie firmują, partia, PRON, broń Boże! Na żadne kariery związane z reżimem nie mają ochoty, są poza nurtem. Stanowią potencję w innych, normalnych czasach bardzo wartościową i potrzebną jak drożdże. W czasach zarazy przystosowują się skutecznie. To nie są szczury.

◆

Stuknęła mu trzydziestka. Jak na stosunki wiejskie jest już starym kawalerem. Wcale nie kwapi się do żeniaczki. Kędzierzawy, czarnooki, muskularny; podoba się babom. Lubi dzieci, zwierzęta. Nade wszystko łowienie ryb. Wędką i kłusownictwo na prąd. Ryb nie jada, tylko łowi. Pomaga rodzicom w gospodarstwie. Akuratny, szybki w robocie. Dorabia sobie w lesie. Wyrąb, sadzenie młodnika, zimą zrywka. Pieniądze zaczyna przepijać w dzień wypłaty. Wypłaty są dwa razy w miesiącu. Wtedy znika. Wraca bez forsy, często posiniaczony, pobity. Kaca leczy na wodzie, bierze wędkę, wypływa płaskodenną krypą. Tak od lat.

W tym zredukowanym życiu zdawać się może, że prowadzi go jakieś ugruntowane *credo*. Z rzadka odzywa się tymi mniej więcej słowy: — I tak długo nie będę żył. Może jeszcze pięć, dziesięć lat... Albo: — Przecież to wszystko długo nie potrwa. Rozleci się w piździec!!!

◆

Znów sen — drwina z życiowego paraliżu. Jeszcze w tym krótkim momencie przebudzenia była nadzieja. Uwierzyłem w kłamstwo snu. Za chwilę świadomość prawdy. Fabułka z reguły podobna: wsiadam do samochodu, kluczyki, zapalam silnik, prowadzę śmiało i pewnie. Cudowna rozkosz pokonywania odległości.

◆

Opowiada o swoim szwagrze. Pije umiarkowanie, dobry gospodarz, spokojny i zrównoważony. Jedną tylko cechuje się pasją. Poluje na szczury. Chwyta je rękoma. Błyskawicznie. Sam widział nieraz. W chlewie na przykład. Pokazuje mu tucz-

niki. Opowiada ile waży, kiedy ma zamiar zawieźć na spęd. Nagle przychyła się i już go nie ma! Chwyta za kark palcami jak w kleszcze. Przyciska i wali o ścianę. Bryzgi krwi.

— Gołą ręką czujesz go, skurwysyna! — wyznał zadyszany i radosny. Rok temu źle chwycił i szczur ugryzł go w palec. Zastrzyki i leki przez kilka miesięcy. Na palec założyli sączonek; nie zagoiło się dotąd, ropieje. Ale łapie po dawnemu. Rękoma. Nie może się odzwycząić.



Nagłe słońce! Ostre, zimowe. Zalało zimnym blaskiem pokój. Odsłania rysy i pęknięcia na suficie, łuszczące się ściany, tłuste ślady od głów nad fotelami, czarne plamy na podłodze, warstwy kurzu na półkach, pomięte i poszarpane obwoluty książek. Na pewno również obnażyło moją twarz... Słońce, złoty wróg! Czym prędzej zasunąłem na okno kotarę. Przeczekać w ukryciu to promieniowanie.



Uczył polskiego i łaciny w prywatnym gimnazjum Kołakowskiego. Ojciec miał w nim wysokie mniemanie jako o nauczycielu. Nie tylko. Chrząkał i uśmiechał się zagadkowo.

— Kochliwy — powiedział.

Pewnej zimy jego żonę, także nauczycielkę, romanistkę, uczennice woziły sankami na gimnazjalne komplety. Złamała wtedy nogę. Widok był osobliwy. Tęga pani w futrze, dłonie wsunięte w mufkę, noga w gipsie, ułożona na wymoszczonych poduszkach sankach.

Już wtedy oni jako małżeństwo trzymali się osobno. Dochodziły pogłoski o jego romansach. Wynajmowali mieszkanie w willi felczera na Cienistej. Przybyli tutaj na początku okupacji ze Lwowa. On z dystansu traktował innych pedagogów. Podobno przed wojną drukował jakieś uczone rozprawy.

— Doktor nauk — powiadał ojciec i spotykając go pierwszy uchylał kapelusza. Chętnie wdawał się z nim w pogwarki.

Później było dużo wrzawy z powodu jego związku z uczennicą maturalnej klasy. Pojechali gdzieś razem. Starsi oburzeni. Nam to się podobało. W tradycyjnym, pocziwym środowisku nauczycielskim był postacią bulwersującą. W wieku mojego ojca. Z tamtych czasów pamiętam go mgliście. Czarna jesionka z aksomitnymi wyłogami na kołnierzu, getry opinające wyglansowane półbuty, typu golfowego. Długie, poetyckie włosy. Potem jeszcze słyszałem od rodziców o jego ostatecznym rozejściu się z żoną.

W rok czy dwa po wyzwoleniu wyniósł się z Włoch i zaczął uczyć w jakimś gimnazjum warszawskim.

Kurtyna zapada na wiele lat. Zupełnie o nim zapomniałem. Jedna z wielu postaci dalekiego planu. Dopiero w 1965 roku zostaliśmy przypadkowo sąsiadami. Zamieszkałem w małej kolonii czteropiętrowych domów. Mieszkał tu już od dawna. Włosy farbował tak samo jak mój ojciec i rdzawe strużki znaczyły mu czoło, skronie. Prezentował się nadal dosyć dziarsko. Trochę powłóczył nogami.

W tym spółdzielczym osiedlu popadłem w pewną zażyłość z cieciem, drapieżnym okazem warszawskiego cwaniaka dawnego typu. Ciec często opowiadał mi o starym profesorze.

Ciągle cechowała go niesłabnąca kochliwość. Ale nie był to uwodziciel, który traktuje kobiety jako jednorazową zdobycz i nasycając się, porzuca. Już we Włochach znany był z długotrwałych adoracji.

— Narzeczoną znów sobie zafundował! — śmiał się dozorca.

Zobaczyłem kiedyś ich oboje. Bardzo starych, pokurczonych, drobiących pracowicie nogami. Ona też z pretensjami, misternie ufryzowane włosy, szminka i róż. Profesor ujmował ją szarmancko pod rękę.

— Żenić mu się zachciało! — wytykał ich paluchem dozorca, który to już raz?

Motywy jego niechęci wobec matrymonialnych zamiarów starego profesora nie były jasne. W każdym bądź razie prowadził energiczną kampanię przeciw narzeczonej.

Zapewne będąc już wtedy osobą niezbędną w życiu samotnego starca, miał z tego pewne profity i nie chciał zostać wyrugowanym.

— Narieczona pukała! — chichotał wrednie. — Nie wpuściłem baby. A stary był w łazience i nic nie usłyszał.

Profesor niedołączył w tempie przyspieszonym i pozycja dozorca stale wzrastała. Gonił go, przynosił obiady w bańkach z pobliskiej stołówki, zajmował się zakupami. Chyba lubił go po swojemu.

— Jak mu zaśpiewam „Kiedy znów zobaczę kochane miasto Lwów”, to zrywa się z łóżka i płacze jak bóbr! — opowiadał ciec, który przed wojną służbę odbywał na południowych kresach.

No i dopiął swego. Nie dopuścił do trwałego związku profesora z narzeczoną.

— Po co mu baba — twierdził. — Zacznie się panoszyć i zatruje mu końcówkę.

Narzeczoną widziałem jeszcze kilka razy na ławeczce w osiedlowym ogródku. Wyczekiwała na swego wiekowego amanta.

Ale on już nie wychodził z domu.

— Przeważnie drzemie — opowiadał dozorca. — Coś sobie kwili, jakieś głupoty. Czasami spojrzy na mnie i mówi: A ty, chamie, co tu robisz?

Pewnego razu sądził, że stary już umarł. Leżał nieruchomo, żółta, wyschnięta twarz i rozchylone usta, błyszcząły złote zęby. Owinął go w prześcieradło. Miał zamiar zanieść do łazienki, wykąpać i ubrać w śmiertelny przyodziewek.

Starzec otworzył oczy.

— Żyje — zachichotał jak dziecko, które spłatało psikusa. Umysł miał jasny. Zażądał koniaku. Dużo rozmawiali o Lwowie. Jednak jeszcze tamtej jesieni wczesnym popołudniem przysnął na fotelu i już nie obudził się więcej.

Pojawili się spadkobiercy. Jakaś siostrzenica, kuzyn, też w podeszłym wieku. Nigdy przedtem nie pokazywali się u niego.

— Spadli jak wilki — spochmurniał cieć, opowiadając o nich.

W kilka dni po pogrzebie starego profesora zobaczyłem na śmietniku stos starych książek. Albumy reprodukcji malarstwa z galerii Florencji i Dreżna. Wydane przez Brockhausa w Lipsku. Tom szkiców historycznych Szajnochy z końca ubiegłego wieku. Nakładem i drukiem Józefa Ungra. Biografia carycy Katarzyny pióra Waliszewskiego po francusku. Pisma Andrzeja Towiańskiego, Turyn, rok wydania 1882. Inne jeszcze. Zeszyt z notatkami. Dotyczyły propedeutyki filozofii. Pożółkły, zbutwiały. Atrament wyblakły, dawna pisownia. Tyle po nim zostało.

Ostatnio często myślę o starym profesorze. Kim był? Banalna osobowość, oryginał, śmieszny uwodziciel? Samotność jego ostatnich lat. Nie miał potomstwa. A może miał i dzieci wyrzekły się go, opowiadając się po stronie porzuconej żony. Nic nie wiem.

Nadal mieszkam w tej kolonii czteropiętrowych domów i z podwórza widzę budynek po przeciwnej stronie. Dwa okna parteru na lewo od środkowej klatki schodowej. Były to okna jego mieszkania.



Poszedłem nad Wisłę. Gęsta mgła. Rzeką płyną kry. Ocierają się o siebie i chrzęszczą. Na krach siedzą gawrony. Jak na tratwach. Coś w tej lodowatej wodzie wynajdują. Dziobią. Pokryte białym szronem gałęzie drzew. Kosmate i piękne. Białe mech. Brzeg pusty. Drugiego nie widać. Schowany we mgle.

Stary człowiek biegnie z trudem. Ubrany w dres. Bieg po zdrowie. Jeszcze starszy drepcze o lasce. Młodych nie widać.

Nagle przystanąłem. Daleko we mgle pojawił się jakiś kształt.

Zrazu niewyraźny i płaski. Zbliżał się. Coraz bardziej wypukły. Pulsował. Zaborczy i drapieżny. Wychynał z mgły. Potrzebuje krwi. Świeżej krwi. Ciągłe krwi.

Zadzierając głowę, patrzyłem aż do bólu w oczodołach. I wtedy wypowiedziałem słowa swojej modlitwy: Wymarzona Fabuło, boski porządku życia i literatury, zstąp z wysokości! Ale zaraz przestałem. Zwykłe niebo, zwykłe chmury.

Ruszyłem dalej. W okolicy drugiego mostu spotkałem pewnego krytyka literackiego. Szedł bardzo szybko. Twarz napięta, siny nos, zmarznięte smarki na jego czubku. Najwyraźniej też po zdrowie.

W drodze powrotnej na śniegu świeża krew. Rubinowe krople. Komuś poszła z nosa? Bili się? Liczne ślady stóp w tym miejscu. Krew. Zgadza się. Czy naprawdę?

SPIS RZECZY

MOI PISARZE

<i>Karnawał i post</i>	9
<i>Elegia o umarłym świecie</i>	28
<i>Pan Julian Wołoszynowski</i>	42
<i>Folwark zwierzęcy Gogola</i>	49
<i>O „Wyroku na Franciszka Kłosa”</i>	60

SALONY I KNAJPY

<i>Pod gwiazdami</i>	67
<i>Żydowski hrabia</i>	77
<i>Historia pewnej przyjaźni</i>	83
<i>Imperatyw</i>	92
<i>Przestroga</i>	95
<i>„Jubileuszowa”</i>	104
<i>„Kamieniołomy”</i>	107
<i>Sierota Europy</i>	112

OPOWIADANIA

<i>Śmierć</i>	125
<i>Fabuła</i>	138
	189

**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 28 OCTOBRE 1988
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).**

Dépôt légal : 4^e trim. 1988.

N° d'imprimeur 9221.

